

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/506

1989



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. BRAUN: **POZA MARGINESEM**

B. SPINELLI: **PANTA REI**

M. POLESKI: **W ŁAPACH HUMANISTÓW**

J. DARSKI: **PRZEMIANY NA UKRAINIE**
(Rozmowa z Leonidem Mylawskim)

SPIS RZECZY

Kazimierz Braun:	<i>Poza marginesem (wspomnienia z lat 1948-58)</i>	3
Sławomir Mrożek:	<i>Na pierwszego września 1989</i>	21
Andrzej Dobosz:	<i>Wielkanoc w lipcu?</i>	23
	WIERSZE	
Adam Bąkowski:	<i>Popiół i wino</i>	34
Adam Poprawa:	<i>16 listopada 1988, jesień</i>	35
Jan Sochoń:	<i>*** — ***</i>	36
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	37
L.S.:	<i>Europa i narody</i>	48
	WYWIADY „KULTURY”	
Renata Głowacka:	<i>Dziennik opozycji (Rozmowa z Krzysztofem Leskim z Gazety Wyborczej ..</i>	50
Aureliusz M. Pędziwół:	<i>Rozmowa z J. Kuśmierkiem o energetyce</i>	57
	KRAJ	
Krystyna Starczewska:	<i>Zagrożenie polskiej oświaty</i>	64
Maciej Poleski:	<i>W łapach komunistów</i>	68
	SPRAWY I TROSKI	
Janusz Mondry:	<i>Problemy Polski widziane z Tokio</i> ...	73
Maria de Hernandez-Paluch:	<i>Koniec paryskiego bruku?</i>	75
	SĄSIEDZI	
Józef Darski:	<i>Przemiany na Ukrainie (rozmowa z Leonidem Mylawskim)</i>	80
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	88
M.Z.:	<i>Zakładnicy elektryfikacji</i>	94
M. Agopsowicz, K. Kopyński:	<i>Na wschód od wolności</i>	97
(amp):	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	101
	KRONIKA KULTURALNA	
Vaclav Havel:	<i>Słowo o słowie</i>	103
Maria Danilewicz-Zielińska:	<i>Goetel w oczach Warszawy i Londynu</i> ..	112
M.E. Żółtowska:	<i>Rękopis znaleziony w tezie</i>	116
—	<i>Festiwal Gombrowicza w Paryżu</i>	123
Redakcja „Kontynentu”	<i>Komunikat i Apel</i>	124
	CI, CO ODESZLI	
Stefania Kossowska:	<i>Feliks Topolski (1907-1989)</i>	126
	KSIĄŻKI	
Renata Gorczyńska:	<i>Ciemnowielmożny Simenon</i>	129
Janina Katz Hewetson:	<i>Rozmowy na schodach</i>	135
Marek Zieliński:	<i>Marzenie</i>	137
—	<i>Nadane nowe wydawnicze</i>	141
—	<i>Institut Literacki w Kraju (uzupełnienia)</i>	144
	Wydarzenia miesiąca	146
	Z OSTATNIEJ CHWILI	
Barbara Spinelli	<i>Panta rei</i>	149
	POLEMIKI	
Romuald Szeremietiew	<i>Nie grać z szulerem</i>	154
	Listy do Redakcji	157
Redakcja, J. Czapski, G. Herling-Grudziński, J. Venulet, Cz. Miłosz:	<i>Odpowiedzi redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1989

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Lidia Ciołkoszowa, Londyn	F. 600,00
Dla uczczenia pamięci szlachetnego człowieka i serdecznego przyjaciela Andrzeja Semkowa, M. i W. Toperman, Toronto — \$can. 50,00	F. 267,00
Ewa Hoffman-Jędruchowa, Summit, N.J. (USA) — w 10-ą rocznicę śmierci mego Ojczy, inż. Karola Angermanna — \$100,00	F. 635,00
Kiermasz Książki Polskiej SPK w Szwajcarii, Klub Polski w Bernie, Solidarność, Stowarzyszenie Polskie w Lozannie i Zrzeszenie w Genewie — część utargu na stoiskach w dniu Uchodźcy	F. 2.884,65
Janina Z. Kościatkowska, Laloubère (Francja) — pamięci Męża Wacława Zyndram-Kościatkowskiego w Dzień Zaduszny	F. 100,00
Ilse Maybach, Heilbronn (RFN) — po raz 26-y	F. 514,54
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg MB (Kanada) po raz 44-y — \$100,00	F. 635,00
Stanisław Radwański, Paryż — po raz 13-y	F. 500,00
Edward L. Salamoński, St Petersburg FL (USA) — po raz 14-y — \$20,00	F. 127,00
L.M. Stauber, Hanau (RFN) — zamiast kwiatów na grób Leny Cygańskiej-Walickiej, malarki zmarłej w Warszawie — DM 50,00	F. 168,00
Maciej Wierzyński, Evanston, IL (USA) w rocznicę śmierci moich rodziców — zamiast kwiatów na ich grób — \$30,00	F. 190,50
W hołdzie dla pamięci naszego Męża, Ojca, Teścia i Dziadka, Fryderyka Topolskiego, zmarłego w Toronto 8 października 1989 — żona, dzieci, zięć, synowa i wnuki — \$can. 100,00	F. 534,00
W trzecią bolesną rocznicę śmierci dr. inż. Maksymiliana Pszenickiego przeznaczają Żona, dzieci i wnuki — £50,00	F. 500,00

DZIĘKUJEMY!

Andrzej Jakubiec, Brooklyn, N.Y. (USA) — na walkę z PZPR-em i komunizmem w Polsce — po raz trzeci — \$50,00	F. 317,50
Jerzy Smolik, New York — na walkę z PZPR-em — \$100,00	F. 635,00
Dla uczczenia pamięci inż. Fryderyka Topolskiego, zmarłego w październiku 1989 r. w Toronto-Canada — przekazują na NSZZ „Solidarność” przyjaciele z Frankfurtu/M. — DM 250,00	F. 837,50

Poza marginesem (Wspomnienia z lat 1948-58)

W swoich rozmowach z pisarzami Jacek Trznadel starał się dociec, dlaczego wielu z nich, w tym on sam, popełniało w latach stalinowsko-bierutowskich czyny haniebne, a zwłaszcza pisało rzeczy haniebne. To jest już w samym dramatycznym tytule: „hańba”. *Hańba domowa*. Ta książka wyzwoliła we mnie masę wspomnień.

Byłem w tamtych latach chłopcem. Potem studentem. Wchodziłem dopiero w życie literackie, teatralne. Niektórzy z tych pisarzy byli wtedy także bardzo młodzi. Trzeba zatem najpierw ustalić daty. Urodziłem się w 1936 roku. Gdyby liczyć pokolenia artystyczne, to z ludzi prezentujących swoje wspomnienia w *Hańbie domowej* Jerzy Andrzejewski i Witold Wirpsza należeliby do najstarszego pokolenia, Zbigniew Herbert i Jacek Bocheński do średniego. A ja jestem jeszcze młodszy od reprezentantów najmłodszego z tych pokoleń, od Wiktora Woroszyłskiego czy Andrzeja Brauna. Nieraz pytano mnie, czy to mój krewny. Odpowiadałem, że nie. To po prostu dość popularne nazwisko w Europie centralnej. Nie jestem spokrewniony z Andrzejem Braunem. Jak mówi on w *Hańbie domowej*, jego rodzina pochodziła z Łodzi. Rodzina mojego ojca wywodziła się z Dąbrowy Tarnowskiej i Tarnowa. Z Galicji. Za to moim krewnym — stryjem — był Jerzy Braun, poeta, filozof, powieściopisarz, dramatopisarz, publicysta, wydawca (*Gazeta Literacka*, *Kultura Jutra*, *Tygodnik Warszawski*), w latach wojny polityk. Zmarł w 1975.

W *Hańbie domowej* pisarze mówią o latach 1946-56, zwłaszcza o 1948-56. O apogeum stalinizmu w jego bierutowskiej odmianie.

Powiem od razu bardzo wyraźnie, bo to mnie wtedy określało w sposób zasadniczy: przez te wszystkie trzy lata stryj

Jerzy siedzi w więzieniu. Jest torturowany. Traci w śledztwie jedno, wybite, oko. I całe zdrowie. Skazany na karę śmierci. Zamienioną na dożywocie. Należał do pokolenia Andrzejewskiego, Ważyka, Kruczkowskiego. Ci ludzie byli — wtedy — u władzy, przy władzy. Inni pisarze kolaborowali z władzą. Jeszcze inni, młodszy, wkupywali się w łaski, zapisywali się do partii, zasiadali do stołu. A to była ta sama władza, która więziła innego pisarza — Jerzego Brauna. Witkacy, przyjaciel stryja, powiedziałby „oni”.

Czy można tak identyfikować? W każdym razie ja tak to widziałem wtedy.

Jest rok, powiedzmy, 1950. Jestem uczniem liceum w Częstochowie, gdzie powojenne losy rzuciły moją rodzinę. Więc stryj Jerzy siedzi. Siedzi też jego żona, „stryjka Hanka”. A co jeszcze bardziej i bezpośrednio bolesne — siedzi i mój ojciec, Juliusz. Nie koniec na tym — siedzi i mój wuj, brat mojej matki, Jan Szymanowski. Ojciec siedzi, jak potem zostało podane oficjalnie, „za kontakty i współpracę z bratem”. (Tak było w uzasadnieniu wyroku ojca). Wuj siedzi za „kontakty ze szwagrem”. Stryjenka siedzi jako najbliższa współpracowniczka swego męża. Stryj zaś siedzi za Radę Jedności Narodowej i za „Unię”, obrzucaną wtedy jakimiś obelżywymi i plugawymi epitetami. „Unię” — kryształowo niepodległościową i bez reszty oddaną sprawie kultury narodowej; choć stryj umiał i produkcję granatów uruchomić. Był „Unii” twórcą i przywódcą, z jej ramienia wszedł do Rady Jedności Narodowej, przewodniczył ostatnim pracom Rady, napisał — to jego pióro — *Testament Polski Walczącej*. Ojciec współpracował ze stryjem w „Unii”. Sam w więzieniu przeszedł rzeczy straszne. Wszyscy — ojciec, stryj, stryjenka, wuj — zostali aresztowani w 1948, w ramach przygotowań do kongresu zjednoczeniowego PPR i PPS.

Pamiętam łomotanie do drzwi w grudniowej ciemności. Była dokładnie 6 rano 6 grudnia 1948 roku. UB pewnie wiedziało, że ojciec jest człowiekiem, jak to się mówi, „rodzinnym” i będzie na Świętego Mikołaja w domu, żeby dzieciom (czworgu) wsunąć pierniki pod poduszki. Taki był zwyczaj. Około dziesięciogodzinną rewizja. Nie poszedłem do szkoły. Kazano nam wszystkim siedzieć w kuchni. Do kuchni pakowano też przychodzących. Cały dom przewracano systematycznie do góry nogami. Przy rewizji byli tylko ojciec i matka, czasem tylko dochodząca do nas do kuchni, żeby nakarmić mego trzymiesięcznego brata Juliusza Jana.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że stryj — jeśli się nie mylę — aresztowany był już wcześniej. W każdym razie o tej samej porze, tego samego dnia, od takiego samego walenia w drzwi, rozpoczęły się rewizje w naszym domu letniskowym w

Milechowach, u mojego wuja Jana Szymanowskiego w Częstochowie i u mojego dziadka Michała Szymanowskiego w Kielcach. Obaj wyrzuceni ze swojego majątku — Mokrsko Dolne nad Nidą (tam się urodziłem). Obaj wysoko wykształceni rolnicy. Dziadek studiował przed pierwszą wojną światową w Belgii. Wuj był inżynierem rolnikiem. Zawołani gospodarze. Dziadek zmarł wkrótce potem, w 1949 r. Wuj siedział pięć lat. Więc to było uderzenie w szeroko rozgałęzioną rodzinę. A zarazem w inteligencję twórczą, w specjalistów od rolnictwa.

Po południu ruch na korytarzu. Patrzymy przez szparę. Ojciec kładzie płaszcz. Czterech obcych wokół niego. Słyszałem tę rozmowę. Obcy głos: „Tu jest nakaz aresztowania”. Głos ojca: „Ale to nie jest moje imię. Tu jest napisane Jerzy”. Obcy: „Nic nie szkodzi. Pójdziecie z nami do wyjaśnienia”. Mieli nakaz aresztowania stryja przez pomyłkę czy też na wszelki wypadek. Nie wiem. A wzięliby ojca i tak. Ojciec żegnał się z nami w drzwiach kuchni. Słyszałem jak powtarzali: „To tylko do wyjaśnienia, tatuś zaraz wróci...” Wrócił po pięciu latach. Z gruźlicą. Wypuszczony na „urlop” z bardzo ciężką gruźlicą — na leczenie.

Gdy go zabierali, miałem dwanaście lat. Gdy go widziałem następnym razem, miałem czternaście. Odczytanie wyroku w sądzie wojskowym na Koszykowej (chyba). Ojciec był jakby mniejszy. Ale z tymi samymi pełnymi życia oczami. Byłem z matką i babką. Pamiętam, że kiedy czekaliśmy pod drzwiami sali sądowej, a czekaliśmy wiele godzin, matka wyciągnęła butelkę z kawą zbożową i dała mi, a potem dała babci. A babcia nie mogła pić, tak jej się trzęsły ręce. Ale przez cały czas nie uroliła ani jednej łzy. Nie płakała i matka. Dwie matki-Polki, w ścisłym, mickiewiczowskim sensie. Moja babka, Henryka: najstarszy syn zginął w wojnie bolszewickiej w 1920; córka zawieruszyła się w Rosji w czasie II wojny, była w łagrze, wstąpiła do wojska, odnalazła się po wojnie w Londynie, który wtedy, w 1950, był dalej niż na innej planecie; najmłodszy syn (mój ojciec) był jeńcem wojennym w 1939; uciekł, więziony przez Niemców ponownie w 1939 i znów w 1943, cudem uniknął Oświęcimia; a w 1950 roku obaj synowie w ubeckich więzieniach. I druga Matka-Polka, moja matka, Elżbieta: mąż wielokrotnie więziony „za Niemca” i „za Ruska”; potem najmłodszy syn, Juliusz Jan, będzie ranny w 1968, internowany w 1981; internowana była w 1981 i córka Teresa; najstarszy syn (ja) od 1985 za granicą.

Pozwolono nam wejść do salki. Nie rozumiałem wiele, z krótkiego zresztą, odczytywanego niewyraźnie tekstu, dotarła do mnie tylko cyfra „siedem lat” i to, że za „kontakty z bratem”. Natychmiast po odczytaniu wyroku usunięto nas z sali. Staliśmy na korytarzu, chyba czekając na strażnika, który by nas

odprowadził do wyjścia. I nagle ukazał się ojciec, z bliska, w więziennym stroju, w drewniakach, prowadzony przez dwóch wartowników, jednego z przodu, drugiego z tyłu. Rzuciłem się do ojca. I on szarpnął się do mnie. Jeden strażnik pchnął mnie. Drugi przytrzymał ojca z tyłu.

Potem jeździłem do niego na widzenia do Warszawy. Zawsze przez siatkę albo blaszane sito. A po następnych dwóch latach zacząłem też jeździć na widzenia do stryja do Warszawy, potem do Wroniek. Jak już dostał wyrok. Jego śledztwo trwało dłużej. Była taka rotacja w jeźdźeniu na widzenia — babcia, dopóki nie umarła, matka, moja starsza siostra Teresa, ja. Każdy bilet bardzo drogo kosztował. Ojciec wyszedł z tą gruźlicą w końcu 1953 roku. Przyjechałem zaraz z Poznania, do domu. I natychmiast, zaraz potem, ojciec, bardzo chory, pojechał starać się o zwolnienie brata. Wziął mnie ze sobą do Warszawy.

Pamiętam wielki salon w mieszkaniu Leona Kruczkowskiego. Stryj Jerzy w latach dwudziestych drukował Kruczkowskiego w swojej *Gazecie literackiej* w Krakowie. Znali się dobrze z tamtych czasów i z ojcem. Po wojnie Kruczkowski był wice-ministrem kultury, potem prezesem ZLP, stał na szczycie partyjnej literatury. A stryj siedział w więzieniu. Kilka ulic obok. Pamiętam, że w czasie całej, krótkiej rozmowy (jednak ojca przyjął — nie wiem jak ojciec do tego doprowadził) Kruczkowski bardzo się spieszył. Chodził po salonie. Krzątał się. Poprawiał jakieś wazony. Rozkładał ręce. Nie pamiętam rozmowy. Pamiętam to jego rozkładanie rąk. Chyba się bardzo wstydził. Nic nie zrobił.

Potem ojciec dostał się na audiencję do ministra kultury. Sokorski? Chyba tak. Wtedy to nazwisko nic mi nie mówiło. Wiedziałem tylko, że to minister. Ojciec znów wziął mnie ze sobą. Pamiętam, że ojciec mu powiedział: „Czy historia ma zapamiętać, że gdy jeden pisarz był ministrem, to drugi zginął w więzieniu?”. Historia zapamiętała. Jeden pisarz był nadal ministrem, a drugi nadal siedział.

A potem już ja sam, jako student polonistyki i początkujący poeta, pojechałem prosić o stryja do pana Adama Ważyka. Zaraz na początku roku akademickiego 1955/56, na jesieni, w Kole Polonistów Uniwersytetu Poznańskiego postanowiliśmy, że zorganizujemy dyskusję nad *Poematem dla dorosłych*. Zgłosiłem się, że napiszę referat. Pod tym pretekstem pojechałem do Warszawy. Wyjaśniłem sekretarce w *Nowej kulturze*, że jestem studentem z poznańskiej polonistyki, że chciałbym rozmawiać z mistrzem o *Poemacie*. Dała mi adres. Aleja Róż. Portier, pewnie ubek. Powiedział mi, że pana redaktora nie ma w domu. Wytłumaczyłem wszystko od nowa. Pozwolił mi pójść na górę. Słuchająca. Wytłumaczyłem znowu wszystko. Pozwoliła mi czekać.

A stryj tam ciągle siedzi, we Wronkach i jest na widzeniach coraz mizerniejszy.

Przyszedł stary, niewysoki człowiek. Pierwszy raz go widziałem. Był najwyraźniej strasznie zmęczony. Coś mi odpowiadał na pytania o *Poemat* i nawet, pamiętam, zrobił jakąś poprawkę korektorską na moim egzemplarzu *Nowej kultury*, gdzie *Poemat* był wydrukowany na pierwszej stronie. A potem zacząłem mówić o stryju. Wzdrygnął się. „Okropne. Okropne”, powiedział. Wyszedłem z niczym. Na dole znów portier ubek.

Próbowałem jeszcze raz. Słysząc było na polonistyce, że poeta Wiktor Woroszyński, zażarty komunista, teraz prze ku odnowie. Zebrałem się na odwagę i pojechałem do redaktora Woroszyńskiego. Nie pamiętam daty. Pamiętam znów redakcję *Nowej kultury*. Długa kolejka interesantów. Czekałem. Wszedłem. Mówiłem o ojcu, który ciągle nie mógł znaleźć sensownej pracy, a potem, przełknąwszy ślinę, o stryju. Słuchał mnie ponuro. Powiedział krótko: „Ja się tymi sprawami nie zajmę”. Próbowałem go prosić. Wyrzucił mnie za drzwi.

To był dla mnie jeden świat, ich, nie mój: ten ubek rewidujący nasze mieszkanie i aresztujący ojca, ten portier, ten strażnik odpychający mnie na korytarzu sądu wojskowego, strażnik spisujący moje dane z legitymacji studenckiej w więzieniu na Mokotowie, we Wronkach, Kruczkowski, Sokorski, Ważyk, Woroszyński...

Jeżdżąc do Ważyka i Woroszyńskiego w połowie lat pięćdziesiątych, byłem już na polonistyce w Poznaniu. Najpierw się na Uniwersytet Poznański nie dostałem, w 1953, zaraz po maturze. Ojciec siedział. To było w moich papierach. W domu w Częstochowie było bardzo ciężko. Zostałem w Poznaniu i zamieszkałem u mego chrzestnego ojca i zarazem krewnego, profesora Kazimierza Tymienieckiego. On, jego żona, jego dzieci, wyświadczyli mi wtedy wiele dobrego. Ale nie mogłem nadużywać ich dobroci. Szukałem pracy. Wypełniałem ankiety personalne w różnych biurach. Nie przyjmowali mnie nawet na gońca. Zgłosiłem się do biura jakiejś budowy. Tam ankieta była krótsza. Zatrudnili mnie bez problemu. Pracowałem jako pomocnik murarza przy budowie poznańskiej Starówki. Kopaliśmy fundamenty. Ale najczęściej robiłem przy taczkach. Jeśli się pracowało tego dnia na dole, to taczki, drewniane („drzewniane” jak mówili niektórzy w Poznaniu) lub żelazne ładowało się na dole cegłą, dziurawką czy pustakami, zaprawą albo cementem w ciągle rozrywających się papierowych workach, po dwa, każdy po 50 kilo. Pchało się taczki do windy. Dawało znak windziarce. I od razu, nie czekając na odjazd windy, leciało się z pustymi taczkami po desce, nad piaskiem czy błotem, po nowy ładunek. Gdy się pracowało na górze, to odbierało się pełne taczki z windy.

Potem się je pchało, też po wąskich deskach i pochylniach, na stanowisko murarza. Rozładowywało się. A jak to było stanowisko przodownika, to już tam zaraz inny pomocnik pomagał rozładowywać. Puste taczki spuszczało się windą na dół. I tak w kółko.

Wiem, jak się z normalnego murarza robiło przodownika. Po pierwsze, obstawiając go najlepszymi pomocnikami, jeden pomocnik łał zaprawę, drugi kładł na nią cegły. A murarz poprawiał ułożenie cegieł, ogarniał zaprawę kielnią, pukał, umacniał i wyrównywał. To był system trójki murarskiej: murarz plus dwóch pomocników. Ale w rzeczywistości była to piątka albo i siódemka, licząc pomocników stale rozładowujących i dowożących materiał na dole i na górze. Murarz-przodownik pracował rzeczywiście jak maszyna. Ale cyrki z podbijaniem normy zdarzały się rzadko. Najczęściej murarz miał jednego pomocnika na górze i drugiego na dole, którzy dowodzili materiał. A murarz sam kielnią chlapał zaprawę i kładł cegły. Pomocnicy szarpali się z taczkami. Osiem godzin takiej roboty. Dość prędko mój majster jakoś się zorientował, że umiem pisać i liczyć. W piątki od rana zabierał mnie od taczki i pod jego dyktando sporządzałem „wypiski” pracy wykonanej przez poszczególnych robotników. Choć majster, oceniając robotę, używał często całówki, to jednak jego wyliczenia były bardzo „uznaniowe”. I jak już jakiś murarz był przodownikiem, to z reguły „naliczało” mu się więcej metrów kubicznych muru niż innym.

Na jesieni 1953 ojciec wyszedł — na „urlop”. Na wiosnę 1954 wziąłem przepustkę od majstra, poszedłem do dyrekcji mojego przedsiębiorstwa budowlanego i prosiłem o skierowanie na studia wyższe „w drodze awansu społecznego”. W ankiecie napisałem, że jestem robotnik. To było prawdą i zostało podpisywane przez panią personalną w biurze mojej budowy. Dostałem skierowanie. Zdałem egzamin bez przygód. Miałem dobrą punktację. Ale bałem się do końca, czy mnie przyjmą. Mogło coś wyjść. I brakowało mi legitymacji ZMP. Znalazłem jednak swoje nazwisko na liście przyjętych.

Nie należałem nigdy do ZMP. To w ogóle nie wchodziło w grę. Choć były naciski. W szkole wiadomo było, że jestem „obcy klasowo” i „wrogi politycznie”. W mojej klasie maturalnej byłem jedyny „niezorganizowany...”. Oczywiście, zapewne mogłem się odżegnać od ojca... Były wtedy takie wzorce nadsyłane ze wschodu, w lekturach szkolnych nawet... Wtedy bym dostał się na studia od razu, bez przeszkód. Wicedyrektor szkoły, który był zarazem sekretarzem partii i „panem od nauki o Polsce współczesnej”, niewątpliwie ubek, raz mi to powiedział wprost: że mogę dostać szansę, jaka jest cena, którą muszę zapłacić i co na tym zyskam. No, ale to po prostu nie było dla mnie możliwe, abym się zapisał.

Choć, naturalnie, miałem pokusy. Przecież czułem, że jestem na marginesie, a nawet poza marginesem. Poza marginesem życia ogromnej większości moich kolegów. To poczucie towarzyszyło mi latami. Czułem się odrzucony. Często się wstydzilem i po prostu bałem, jak mnie pytano o ojca. Odczuwałem także zazdrość.

W szkole komitet ZMP miał osobny pokój i oni tam — zapewne celowo, aby budzić respekt — nie zamykali drzwi w czasie przerwy i widać było jak palą papierosy, surowo przecież zabronione w całej szkole, łącznie z ubikacjami, gdzie jednak oczywiście koledzy popalali. A ZMP-owcy w swoim gabinecie palili jawnie. Kłęby dymu tam. I nikt z profesorów nie ośmielił się wejść i zwrócić uwagę. Pamiętam przewodniczącego ZMP, zawsze w zielonej koszuli i czerwonym krawacie, a na masówkach w białej koszuli, z tymże czerwonym krawatem, w bryczesach i w długich butach. Z papierosem. Ale wielokrotnie drzwi do ich pokoju były zamknięte. Wtedy wiadomo było, że obrażają, że mają strasznie ważne zebranie. Zarówno więc drzwi otwarte jak i zamknięte budziły podziw, zazdrość i grozę.

Wyrzucono mnie nawet z Ligi Lotniczej. W ósmej bodajże klasie można się było zapisać do Ligi Morskiej albo do Ligi Lotniczej. Ja wybrałem lotniczą, ze względu na tradycję rodzinną. Stryj Kazimierz Braun — po nim noszę imię — był lotnikiem. Poprzednio legionistą. Porucznikiem... Walczył z bolszewikami. Zginął w grudniu 1920 roku pod Przemysłem. I ja marzyłem o lataniu. Kleiłem modele latające. Zapisalem się do Ligi Lotniczej i zaraz potem na kurs szybowcowy. Ale najpierw był kurs teoretyczny, a jeszcze przed nim wypełnianie ankiety personalnej i indywidualna rozmowa z kierownikiem kursu, obok którego siedział ktoś. Oczywiście ubek. No i z ankiety wyszła sprawa ojca. A zaraz potem pytanie: „Macie krewnych za granicą?” Musieli wiedzieć! Ciotka Jadwiga Domańska to była jeszcze jedna legenda rodzinna. Już w czasie wojny, jako dziecko, wiedziałem niejasno, że siedzi w łagrze w Rosji, a potem, że jest żołnierzem Drugiego Korpusu. A potem, że prowadzi tam teatr. Przed wojną była aktorką. Po wojnie została w Londynie. Więc to pytanie — o nią. „Mam”, odpowiedziałem przerażony. „Kogo? Nic nie zatajajcie! I tak wszystko wiemy”. Wykrztusiłem: „Ciocię...”

Nie przyjęli mnie na ten kurs szybowcowy. I zaraz potem wyrzucili mnie z Ligi Lotniczej. A tak podobał mi się metalowy znaczek z dwiema „mewkami”. Marzyłem o podobnym, tylko większym, emaliowanym, oznaczającym pilota szybowcowego kategorii B. Po roku strasznie zazdrościłem kolegom, którzy nosili takie znaczki: dwie białe mewki na niebieskim tle. Po następnym roku kilku miało już trzy mewki: kategoria C. A ja

nie latałem. Naturalnie ci koledzy byli i w Lidze Lotniczej, i w ZMP, i w Służbie Polsce, bo szkolenie szybowcowe odbywało się wyłącznie w ramach brygad SP. Więc nie byłem i w SP. Fakt, że nie dopuszczono mnie do szkolenia szybowcowego odczułem z tego wszystkiego chyba najboleśniej. Było w tym pewnie i coś symbolicznego: nie latałem z nimi. I miałem dziecięce poczucie, że nie uczestniczę w wielkiej przygodzie.

Bardzo też wcześniej połączyło się to z trochę gorzką, ale jednak satysfakcją, że nie uczestniczę w słoństwie. Poczuciem odróżnienia się. Wewnętrznej suwerenności. Był jeszcze jeden element. Nie jeździłem na ich „akcje”, poza „wykopkami”, które dla wszystkich były obowiązkowe, ale nie musiałem też chodzić na ich zebrania i szkolenia, sabaty i nasiadówki. Nie wiedziałem dokładnie, co się tam odprawia. Ale miałem, trafne chyba, przeczucie, że jest to przede wszystkim strasznie nudne. Po drugie, na tych zebraniach odbywało się przecież uporczywe, wredne pranie mózgów tej młodzieży, ogłupianie jej. Nie przeszedłem przez to, więc nie wiem, czy to tak łatwo potem spływa z człowieka, jak woda po kacu? Jakież osady muszą chyba zostawać. Myślę, że zostały w nich. A gorycz chyba jeszcze większa, niż we mnie. To działo się jednocześnie: przemiał tysięcy ludzi, przerabianie ich na janczarów socjalizmu, lansowanie miernot, wpajanie hierarchii wartości, w których antywartości liczyły się najbardziej — donosicielstwo, dyspozycyjność, cwaniactwo itd. A w tym samym czasie trwało odpychanie tysięcy, milionów, wyzwanie ich — mówiąc dokładnie — z praw ludzkich i obywatelskich, uniemożliwianie normalnego rozwoju, kształcenia się, latania.

Dzieje tamtych lat można też opisać jako dwa równoczesne i równoległe procesy destrukcji: proces pierwszy był procesem destrukcji fizycznej i biologicznej, drugi był procesem destrukcji świata kultury i tego, co duchowe. Likwidowano fizycznie faktycznych i potencjalnych przeciwników politycznych; unicestwiono wszelkie partie, organizacje, związki; zrujnowano rentowne rolnictwo, zburzono, ledwie odbudowany, przemysł lekki. Na tych świeżych grobach ludzi i pod murami więzień, na gruzach struktur społecznych i gospodarczych, w krajobrazie kraju jeszcze ciągle leżącego w prawdziwych gruzach, zabrano się równocześnie do destrukcji tego, co niematerialne; narodowej pamięci, religii, nauki, oświaty, sztuki, dusz ludzkich. Niewielu pisarzy, naukowców, artystów, uczestniczyło aktywnie i czynnie w fizycznej likwidacji akowców, ziemian, przedwojennej inteligencji. Ale w destrukcji świata wartości duchowych — wielu. Obie akcje niszczycielskie trwały latami. Ruiny gospodarki i rolnictwa zamieniały się w pustynię ekologiczną; to trwa i postępuje, i przyspiesza się bardzo groźnie. Natomiast procesy gnilne

w dziedzinie świadomości i życia duchowego narodu były wyhamowywane już parę razy. Wszyscy znamy te daty. I o ile wśród kulturalnych elit dokonywały się dramatyczne zwroty, to jednak trucizny rozlały się masowo i szeroko. Nie przypadkiem wskazuje się na bezpośrednie związki „ofensyw ideologicznych” z lat pięćdziesiątych z rozkładem moralnym (upadek etyki pracy, lekceważenie życia nienarodzonych, alkoholizm, zanik poszanowania własności itd.) lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. I ostatecznie jakieś pożywki duchowe, tak, duchowe, muszą ciągle karmić tych, którzy jeszcze dzisiaj ciągle bredzą tym samym mniej więcej językiem, którym się posługiwali w latach czterdziestych i pięćdziesiątych nauczyciele od „nauki o Polsce i świecie współczesnym”, różni instruktorzy i politycy, „przywódcy”, prokuratorzy, no i pisarze.

Nie zapisałem się do ZMP w liceum. Potem były jeszcze dwie okazje. Na budowie i na studiach. Na budowie jednak nikt się takim plebsem robotniczym, do którego ja należałem, nie zajmował. Ważni byli przodownicy. Nie pamiętam w czasach mojej pracy na budowie ani jednego zebrania czy masówki. Czasem do stołówki w baraku, na drugie śniadanie, które wszyscy przynosili ze sobą i popijali rozlewana do metalowych kubków czarną zbożową kawą, przychodził ktoś z dyrekcji i przekrzykując gwar, coś tam mówił. Nikt nie słuchał. Raz tylko wyszło, że nie jestem w ZMP. Gdy prosiłem o skierowanie na studia, pani „kadrova” spytała mnie, czy jestem ZMP-owcem. Zdziwiła się, że nie. „To się zapiszcie na studiach”, powiedziała. I tyle. Zresztą na pewno bardzo się cieszyła, wypisując mi skierowanie. To było bardzo dobrze widziane — kierować robotnika na studia wyższe. Nie robiła mi najmniejszych trudności. A na studiach, zaraz na początku, była jedna propozycja, jeden „nabór”. Nie nabrałem się. I potem już nie miałem ofert. Ze strony ZMP.

Później przyszły jednak oferty ze strony partii. Wiedziałem, jak funkcjonują ludzie partyjni, jakie są ich możliwości, zyski. To była stała pokusa dla wielu. Ale nie należałem nigdy do partii. Choć to wykracza poza ramy czasu, o którym mówię, trzeba jednak zakończyć ten wątek. Bo w biografii bardzo wielu ludzi to właśnie był jeden wątek: ZMP, a potem PZPR.

I w moim życiu to się liczyło i miało bardzo poważne konsekwencje — że jestem „niezorganizowany”. Oczywiście, że byłem kuszony. Oczywiście, że wstąpienie do partii było potrzebne w mojej „karierze”. W mojej pracy, po prostu. Stale miałem utrudnienia, których nie miałbym jako partyjny. Oczywiście, że mogłem każdego dnia pójść i poprosić o przyjęcie. Wszyscy byliśmy w sytuacji wyboru! Codziennych wyborów. Wszyscy! Nie tylko ja naturalnie. I nie jest prawdą, że wybory

dokonywały się same. Dokonywali ich ludzie. No, więc to był mój wybór. Już wtedy nie instynktowny, jak z ZMP, ale świadomy. W ogóle mówiąc o tamtych czasach i tych sprawach nie można się posługiwać tylko kategoriami historii i polityki, filozofii i literatury, socjologizować czy też intelektualizować. Trzeba mówić, że te wybory dotyczyły dobra i zła. To były wybory moralne. Bez kategorii dobra i zła tego się ani nie zrozumie, ani nie wyjaśni, ani nie oceni.

Ale nie chcę oceniać, zwłaszcza innych. Chcę rozumieć. Siebie i innych. Aby zrozumieć, trzeba najpierw ściśle ustalić fakty. Kto, kiedy posługiwał się jaką legitymacją.

Mówiąc ściśle, trzy razy zaproponowano mi wstąpienie do partii. Do trzech razy sztuka...

Po raz pierwszy na jesieni 1964 roku, szukałem wtedy pracy reżyserskiej, już byłem żonaty z Zofią Reklewską, już miałem córkę Monikę i szukałem usilnie pracy — dlaczego, nie miejsce o tym mówić. Pojechałem do Łodzi, do Romana Sykała, który był tam wtedy dyrektorem Teatru Powszechnego. Sykała znałem z Poznania. W czasie gdy studiowałem polonistykę był tam dyrektorem Teatru Polskiego. Wciągnął mnie, jako jakoś tam wyróżniającego się aktora-studenta, do swego teatru. U niego właśnie debiutowałem na scenie teatru zawodowego jako aktor. Miałem tak zwane „prawo współpracy”, przyznane mi na wniosek teatru przez SPATiF i uprawniające do grania w teatrze zawodowym. W 1957 roku w Teatrze Polskim w Poznaniu grałem jednego z obywateli miasta Güllen w *Wizycie starszej pani* Dürrenmatta, ściśle, Trzeciego Güllenchyka. Więc Sykała mnie pamiętał. Od razu zaproponował mi etat reżysera. Rozmawiał ze mną po ojcowsku. I zapytał mnie, czy należę do partii. „Nie”, odpowiedziałem. A on powiedział: „A ja należę”. Zaprowadził mnie do okna gabinetu, powiedział: „Patrz pan, panie Kaziu, ile tam wozów stoi pod teatrem. Policz pan”. Taki miał styl wyśławiania się, trochę, powiedziałbym, przedmiejski. Liczyłem. Było kilkanaście Wartburgów i Moskwiczy. Był rok 1964 i dobry prywatny samochód był ciągle rzadkością i luksusem w środowiskach teatralnych. A Sykała powiedział: „To wszystko są wozy członków partii w teatrze”. Wrócił do biurka. „Niech się pan zapisze. Ja mam tego niebieskiego Wartburga. Pan też będzie miał wóz”. I dodał, zapamiętałem to dokładnie, takie to było uderzające: „Mamy tu swoją sitwę. Popieramy się, poprzemy i pana. Wejdzie pan do sitwy”.

Nie wszedłem. Byłem w tym teatrze rok, na pół etatu i uciekłem. Sykała był prominentem. Niedługo potem, nadal dyktując w Powszechnym, został rektorem szkoły teatralnej w Łodzi. To zresztą był pewien wzorzec w PRL-u, powielany. Kumulowanie stanowisk dyrektora teatru i rektora szkoły

teatralnej: Leon Schiller, Bronisław Dąbrowski, Kazimierz Dejmek, Jerzy Krassowski, Roman Sykała, Tadeusz Łomnicki...

To był pierwszy raz, gdy proponowano mi wstąpienie do partii.

Drugi zdarzył się w Lublinie. W 1967 r. byłem tam już kierownikiem artystycznym Teatru im. J. Osterwy, zaproszony do współpracy przez Jerzego Torończyka, który prowadził poprzednio teatr sam, ale mając kłopoty, postanowił sprowadzić nowego kierownika artystycznego, zachowując stanowisko dyrektora naczelnego. Z wielu powodów (i o nich nie miejsce tu mówić) takie stanowisko, taka praca i to miasto bardzo mi odpowiadało. Po paru miesiącach zgodnej współpracy Torończyk, który był głęboko partyjny, zaprosił mnie na dłuższą rozmowę. Powiedział: „Nasza współpraca układa się świetnie. Pan ma wielkie możliwości. Ja panu pomogę. I ja mam swoje możliwości. Pan mi pomoże. Co się będziemy marnować na prowincji. W tym tandemie — możemy dostać teatr w Warszawie. Jest tylko jedno ale. Ja za pana poręczyłem przy pana przyjeździe do Lublina. Ale teraz pan sam musi zrobić mały gest. Ja mogę pana wprowadzić do partii. I załatwię drugiego wprowadzającego. I powiem panu, co mówić na zebraniu, jak będziemy rozpatrywać pana kandydaturę”. Zrozumiałem, że zapisanie się do partii było warunkiem awansu naszego „tandemu”, jak się Torończyk wyraził, do Warszawy i otrzymania tam wspólnie dyirekcji teatru. Długo mnie namawiał. Po mojej — grzecznej — odmowie nasze stosunki ochłodziły.

Trzeci raz się zdarzył, gdy — po nagłej śmierci Torończyka na zawał — prowadziłem już teatr lubelski samodzielnie, od 1971 r. Antoni Juniewicz, wysoki urzędnik w wydziale kultury KC wyraźnie się zainteresował moją pracą. W niezobowiązującej jakby rozmowie wyraził ubolewanie, że nie należę do partii. Dał mi do zrozumienia, że jeszcze nie jest za późno się zapisać, że to odsunęłoby ode mnie wiele kłopotów — które istotnie narastały, oraz „stworzyło warunki”, do „powierzenia” mi jednego z „czołowych” teatrów w Warszawie. Nie zapisałem się. Nie powstały takie warunki. Więc to było do trzech razy sztuka. Nie było czwartego razu.

Oto, co pozostało z tego we mnie: proponowano mi sitwę, samochód, awans, karierę. Więc ja też nie potrafię myśleć o wyborach tych wszystkich pisarzy, artystów i wszystkich innych, którzy się do partii zapisywali w tamtych latach i należeli do niej latami, tylko w kategoriach „idei”, „zaczadzenia”, „zahipnotyzowania”, „tradycji lewicy europejskiej”, „naiwności”, „niewiedzy” i tak dalej. To strasznie bolesny wątek. Skończmy go.

Wracajmy w lata pięćdziesiąte. Od 1954 jestem na Uniwersytecie Poznańskim. Piszę wiersze. Gram w teatrze studenckim.

A ojciec szuka pracy. Byle jakiej. A stryj wciąż siedzi. I jest apogeum stalinizmu w Polsce. To mnie dotyka i oblepia. A zarazem uporczywie staram się nie dać wessać. Walczę o zachowanie odrębności. Wolności wewnętrznej. I coraz głębiej wchodzę w teatr. Uczę się — samoucko — jego historii. Zaczynam reżyserować. Myślę, że właśnie w tamtym czasie zaczęło się w mnie to, co potem określało mnie coraz wyraźniej. W roku akademickim 1954/55 przez wiele miesięcy próbowałem, a potem grałem w *Wieczorze trzech króli* Szekspira, a w roku akademickim 1955/56 w *Godiwie* Leopolda Staffa. W pierwszym wypadku nie miałem wpływu na wybór sztuki, ale bardzo się w niej dobrze czułem. W drugim wypadku miałem pewien wpływ na wybór. Potem zostałem kierownikiem tego teatru. Wystawialiśmy wtedy *Tamten brzeg* Suttona Vane'a, sztukę z przedwojennego repertuaru Osterwy, rzecz o podróży na tamten brzeg, brzeg śmierci, sztukę o tym, co po życiu na brzegu życia... Ale wracam do *Godiwy* — to dramat młodopolski, filozoficznie skrajnie idealistyczny, stylistycznie poetycki (dialogi w nim wierszowane), opowiadający się za sztuką, jako wartością najwyższą, stawiający życie duchowe i marzenie ponad rzeczywistość. A w tym samym czasie w Warszawie STS już grał swoje dziennikarskie „agitki”, potem pojawił się kabaret „Koh”, surrealistyczny Bim-Bom w Gdańsku. A myśmy w Poznaniu grali staroświecki poetycki dramat... Miał on wyraz artystowski, a zarazem przecież ostrą wymowę filozoficzną i polityczną. Już wtedy, zapewne nie bardzo świadomie, to przyszło dopiero później, sytuowałem swój sprzeciw nie na płaszczyznach doraźnych, a w dziedzinie metafory. *Godiwa* była wypowiedzią przeciwko jednowymiarowemu realizmowi, przeciwko ciasnemu marksizmowi, przeciwko produkcyjniakom w literaturze i dramacie. Ale wypowiedź ta była sformułowana w języku teatru. Miał on być językiem dialogu z rzeczywistością i był nim, ale pozostawał językiem teatru właśnie. Była to wypowiedź za wartościami duchowymi i artystycznymi. I tak już było potem we wszystkich moich najważniejszych, choćby najbardziej aktualnych, wypowiedziach teatralnych: w gdańskich jednoaktówkach *Mroźka* czy *Nocy listopadowej*, w lubelskim *Wyzwoleniu* czy *Przenikaniu*, we wrocławskiej *Annie Livii* czy *Dzumie*, w telewizyjnej *Starej kobiecie*. Wzorem i dyrektywą była dla mnie twórcza formuła Wyspiańskiego z *Wyzwolenia*: nierozdzielny związek wyzwolenia na trzech płaszczyznach — politycznej, artystycznej i moralnej. Ale to było potem.

W latach studiów zacząłem pisać. Debiutowałem jako poeta w jakiejś poznańskiej jednodniówce, w roku 1955. Pisałem dużo i bardzo szybko wszedłem w tę utartą koleinę dreptania ku publikowaniu: młody poeta przedstawia swoje wiersze starszemu

poecie, mistrzowi, dyrektorowi. Poznałem wtedy godnie milczącego i piszącego do szuflady Jerzego Zawieyskiego. Pokazywałem mu swoje wiersze i opowiadania. Podziwiałem jego prostolinijność i wytrwałość. Zrobił na mnie wielkie wrażenie. To trzeba zawsze przypominać: przecież nikt wtedy nie wiedział, jak długo ta zaraza będzie trwać. Stryj siedział z dożywociem. Jemu do więzienia nie mogłem swoich wierszy zawozić. On sam wspominał mi raz na widzeniu, że pisze. Nie pytałem co... Ani skąd bierze papier... Strażnik słuchał...

W Poznaniu miałem trzech bezpośrednich, bardzo różnych mentorów: życzliwy Włodzimierz Odojewski w *Tygodniku zachodnim*, apodyktyczny, partyjny Ryszard Derecki (jeśli nie myślę nazwiska, nigdy z nim potem nie miałem kontaktu) w *Głosie wielkopolskim*. Zaś redaktorem naczelnym pisma uniwersyteckiego, w którego zespole byłem przez jakiś czas, a potem pisma „młodej inteligencji” o tytule *Wyboje*, był marksista Michał Misiorny. Wtedy zresztą imponował mi dynamizmem i inteligencją. Ale bardzo prędko zmierzyła mnie rola „młodego poety”. Wysłuchiwanie rad. Godzenie się na przeróbki i skróty. Odrzucanie moich wierszy.

Miałem też bardzo wcześniej ważne doświadczenie inicjacyjne: gdzieś na wiosnę 1957 (chyba) napisałem długi poemat, zapewne pod wpływem Eliota, o pustynnej, jałowej ziemi, na której nic się nie rodzi, panoszą się tylko trzy kolczaste kaktusy. Dostałem zaszczytu osobistego wezwania do cenzury. Zazwyczaj takie rzeczy cenzorzy załatwiali tylko z redaktorem naczelnym. Ale w moim wypadku — nie wiem, może chcieli mnie socjalnie wychować, czy ostrzej postraszyć? — kazali mi się stawić osobiście. Pani cenzor oświadczyła mi, że mój poemat został rozszyfrowany; te trzy kolczaste kaktusy, to przecież partia, rząd i służba bezpieczeństwa, a ów pustynny krajobraz, to Polska. Zaproponowała, abym się przyznał. „Przyznał?”, zapytałem. „Do tych aluzji!”, powiedziała cenzorka ostro. Ja te moje, na pewno niezbyt oryginalne, obrazy poetyckie traktowałem doprawdy nieco szerzej i nie tak dosłownie jak pani cenzor, więc się nie przyznałem. Wiersz poszedł potem z jakimiś skrótami. Już nie pamiętam. W sumie jednak zarówno życzliwi mistrzowie, jak i podejrzliwi cenzorzy bardzo mnie wtedy do literatury zniechęcili. Pewnie z korzyścią dla ojczystej literatury... Zrezygnowałem wtedy z zabiegów o publikowanie wierszy i opowiadań. Dało mi to natychmiast ogromną wewnętrzną wolność. Pisałem już bez lęku, że redaktor mi pokreśli, a cenzor w ogóle zdejmie. Dla siebie. I przeważnie wyrzucałem to, co napisałem. Coś tam przechowywałem. Poginęło. Wkrótce potem zacząłem jednak ponownie publikować. Recenzje, reportaże, prace naukowe. Książki historyczne. Ale to już było związane z

tym, co stało się później. Z moją praktyczną pracą reżysera. Chciałem tym moim pisaniem przyczynić się do przekształcania praktyki teatralnej — poprzez przekształcanie świadomości twórców teatralnych... I świadomości widzów... Ale to znów potem, potem. Do literatury „pięknej” wróciłem po następnych wielu latach w opowiadaniach, adaptacjach, scenariuszach i sztukach teatralnych.

Cofam się jednak znów w tamte lata, do Poznania. Jest rok 1956. Czerwiec. Nie byłem w czerwcu w Poznaniu! Nie byłem pod gmachem ub. W czasie wakacji zawsze w tamtych latach pracowałem. Prowadziłem jako przewodnik spływy kajakowe. Poznański czerwiec zastał mnie gdzieś na Wiśle w okolicy Sandomierza. Potem, na jesieni, długie godziny wypytywałem tych moich kolegów, którzy tam byli. I ja wkrótce miałem wraz z innymi trzymać wartę na placu przed Collegium Maius, przed zniczem, który zapaliliśmy tam dla walczących Węgrów, miałem śpiewać i skandować na wiecach. Na wiosnę 1957 byłem jednym z organizatorów pierwszych w Polsce studenckich Juwenalii; pierwszych, bo w Krakowie były parę tygodni później... Wtedy też byłem po raz pierwszy przesłuchiwany przez ub, już na swoje własne, nie rodzinne konto — jako organizator Juwenalii. Bo w pochodzie przebierańców pojawiła się między innymi grupa „Repatriantów z ZSSR”: studenci w poplamionych „fufajkach”, w kajdanach, o kijach. Twarze mieli umazane teatralnymi szminkami w kolorach brązu, siności, czerwieni. Ta charakterystyka pozwoliła mi twardo argumentować, że nie wiem kto to był, nie znam nazwisk, bo przecież wszyscy byli ucha- rakteryzowani do nie poznaki... Dali mi spokój. Wtedy.

I tak skończył się dla mnie stalinizm. Dla mnie to był nie tylko październik, ale przede wszystkim, już po październiku, już po uwolnieniu Prymasa i — o ile wiem — częściowo za jego też sprawą, zwolnienie z więzienia stryja Jerzego. To była dla mnie właściwa cezura. I miara zmian. Bo ja sam nie musiałem się zmieniać. Zmieniała się dookoła mnie rzeczywistość. Ja — może po prostu odetchnąłem głębiej. Nie musiałem robić zwrotu. Ani zwracać żadnej legitymacji. Ani się z czegoś wypisywać, ani gdzieś wpisywać. Na Ligę Lotniczą i latanie na szybowcu było już za późno...

Rok akademicki 1957/58 był ostatnim rokiem moich studiów polonistyki. I akurat to się prawie zbiegło z zamknięciem tamtego rozdziału okresu stalinowskiego w Polsce. Bo przecież stalinizm, w innych formach, trwał.

Nie wyszedłem z niego „czysty”. Pozostały na mnie różne plamy. Chociaż mam wyraźne poczucie, że się nie utytlałem. Nie napisałem czegokolwiek, ani jednej linijki, które

musiałbym się wstydzić. Nie wygłosiłem ani jednego przemówienia, którego bym żałował. Nie przekroczyłem żadnej granicy przyzwoitości, po prostu... Nie wyrzekłem się... (wiary). Nie zaparłem się... (rodziny). Nie zapisałem się... Nie popełniłem... To zaczyna robić wrażenie rachunku sumienia. Może nie przypadkiem? Bo myślę, że w nasze myślenie o tamtym czasie, w powroty w ten czas trzeba koniecznie włączyć tę kategorię: sumienie. Nie da się tego wszystkiego ani opisać od zewnątrz, ani zrozumieć od wewnątrz, w innych i w samym sobie, jeśli się chce tylko mówić o historii, uwarunkowaniach politycznych, o sztuce, stylach, o rynku literackim, układach literackich, literatach i tak dalej. „Myśmy żyli w literaturze” — tak zatytułowana jest jedna z rozmów w książce Trznadla. Mnie się wydaje, że trzeba raczej mówić o sumieniu.

Wyszedłem z tego czasu z wieloma skazami, skrzywieniami, zrostami, lękami. Wiele ich. Ciągnęły się za mną. Towarzyszą mi do dziś. Ciągłe boje się walenia do drzwi w nocy.

Zostałem nauczony podwójności. Myślenia i mowy. Czynów ukrywanych i czynów ujawnianych. Pisania i publikowania. I tak dalej. Rzecz dziwna. Wzory takiego podwójnego postępowania, myślenia, życia w ogóle — szły do mnie z dwóch stron. Z domu, od rodziny, z kręgu ludzi uczciwych i szanowanych. Bo było oczywiste, że o pewnych rzeczach mówi się tylko w domu, i to tylko w łazience przy szumie lejącej się z kurka wody, ze względu na podsłuch, a o tych samych rzeczach trzeba milczeć jak grób w szkole, z kolegami, nawet najbliższymi, bo przecież zawsze może ktoś donieść. Było oczywiste, że idzie się do kościoła w niedzielę i nie tylko w niedzielę. Ale, jak każą, to idzie się też na pochód pierwszomajowy. Jak się tylko da — fałszuje się ankiety personalne. Ubęcy z Ligi Lotniczej w Częstochowie dali mi tego niezapomnianą nigdy lekcję. Nie wymienia się głośno pewnych nazwisk, zarazem czcząc je w myśli. To, co myśli się naprawdę, pisze się do szuflady — bez zamiaru nawet pokazywania tego jakimukolwiek redaktorowi. A jeśli się zamierza rzecz publikować, to już się pisze inaczej, stale zerkając na siedzącego po drugiej stronie stołu cenzora.

Ale te same wzorce podwójności, zakłamania szły przecież, i to jeszcze silniej, z drugiej strony. Bezcześnie zakłamywano historię, historię literatury, nawet biologię! Te wszystkie zakazane nazwiska i tytuły! Te wszystkie fałszywe, puste autorytety! I to samo było w literaturze współczesnej. Ja odbierałem wtedy literaturę współczesną jako nie-literaturę! Jako jakąś fałszywkę! Czytając te koniunkturalne wiersze, te laurki dla partii i wodzów, te lektury obowiązkowe, *Lewanty*, *Na przykład Plewa*, *Pamiętkę z celulozy*, *Popiół i diament*, ja nie przypuszczałem nawet, że ci ludzie piszą to, co myślą, że piszą wedle serca i sumienia. I że to jest literatura.

W mojej rodzinie panował kult literatury. Dała to matka, gruntownie czytana, o ogromnej kulturze literackiej, a zarazem z rodziny ojca promieniował kult pisarza, stryja Jerzego. Dla mnie prawdę mówiąc autorzy tych wierszy, tych socrealistycznych powieści, a także sztuk teatralnych, to nie byli wcale pisarze. Ja o pisaniu myślałem jako o powołaniu. I dlatego też może, nie będąc pewny tego powołania — odsunąłem je od siebie w pewien sposób. Była więc ta skaza podwójności, rozdwojenia.

Drugą była skaza nietolerancji. Bo w dzieciństwie i młodości mój świat był czarno-biały. Najpierw byli Niemcy z jednej — a my, moja rodzina, z drugiej. To na takiej płaszczyźnie się rozgrywało. Potem zaś byli komuniści z jednej, a Polacy z drugiej. Tak ja to przeżywałem. Świat był rozłamany na dwoje, dramatycznie, boleśnie, strasznie. Po tej stronie byłem ja, tępiący w szkole, przepracowana matka, ojciec siedzący w więzieniu, krewni w więzieniach, znajomy z czasów wojny ksiądz Piotr Oborski, sądzony, skazany, opluwany w radio przez Wandę Odolską, tłumy w kościołach, rodzina, przyjaciele rodziców, opiekunowie. Po drugiej stronie byli oni — partyjni nauczyciele, ubek, strażnik więzienny, autorzy moich obowiązkowych lektur, ci literaci, którzy odmawiali ujęcia się za stryjem, przywódcy na gigantycznych portretach i przywódcy na trybunach. Ten pierwszy świat był w ruinie, rozpędzany, zagrożony, chwiejny, jego wartość i sens były bez przerwy publicznie i gromko podważane i kwestionowane. Ten drugi świat był zaborczy, atakował, imponował, kusił. Żeby się nie zgubić, trzeba było stale, każdego dnia, w każdej sprawie odwoływać się do wartości elementarnych, trzeba było odróżniać jedno od drugiego. To był potworny stress. To był ciężar często ponad siły. To było obijanie się o ściany w ciemności. I latami nie było widać żadnego światła. Trzeba było uciekać od rzeczywistości. To kształtowało postawę. Będąc stale w defensywie, hodowało się też myśli o odwecie. Ale szło stąd upraszczanie wizji świata. Była to szkoła trwania przy zasadach, a zarazem szkoła nienawiści wszystkiego, co oficjalnie nauczane i lansowane, co przeniesione ze wschodu, łącznie z wewnętrznym bojkotem uczenia się języka rosyjskiego. W szkole i na uniwersytecie uczyłem się go — wraz z milionami — chyba przez dziesięć lat. A do dziś, niestety, z trudem rozpoznaję alfabet. Zalewany bzdurami tzw. naukowego poglądu na świat, uczony marksizmu od siedmiu boleści, propagandowo spreparowanego, raczony naiwnymi pogadankami zamiast wykładów filozofii, piłowany już w liceum teorią realizmu socjalistycznego, nabierałem sam agresywnych chęci, aby — na przykład — moje najświętsze nawet lektury Norwida interpretować przeciwko komunistom i marksistom. Pisząc

referaty na polonistyce, nie potrafiłem być bezstronny w badaniach.

Postawa moja i ludzi takich jak ja była w tym wszystkim kształtowana jako konserwatywna — w dobrym i zdrowym znaczeniu umiłowania tradycji, tego co zabrane, ale nie odżałowane, postawa rewindykacji, trwania przy pamięci narodowej i literackiej. Ale zarazem był to konserwatyzm uporny i zamknięty. I w tej dziedzinie także nastąpiły skażenia. Trudne do wyleczenia. Tam się one ukształtowały. I stamtąd promieniają różne bóle. Choć to dawno minęło. Jak z odciętej ręki. Z odciętego dzieciństwa. Z zabranej młodości.

Jest jeszcze i trzecia sfera schorzeń. W moim pokoleniu ludzi stojących poza marginesem, a jednak cały czas atakowanych propagandą życia stadnego — wytworzyła się bardzo głęboka niechęć do wszelkich form organizacyjnych. Pamiętamy to: „jednostka zerem, jednostka niczym”. Ale to schorzenie ma dwa różne objawy. Jedni, ci którzy byli „zorganizowani” w ZMP i w partii, a także ich potomkowie, wciąż nie mogą w ogóle egzystować poza strukturami zbiorowymi, są przerażeni na samą myśl, że zabrakłoby im partii obronicielki, zapewniającej opiekę i przywileje nie w oparciu o indywidualną pracę i talenty, ale ze względu na sam fakt przynależności. Ci ludzie boją się jak widma wszelkiego pluralizmu, demokracji, nie mówiąc już o niepodległości, która przecież będzie po pierwsze po prostu samodzielnością. A we mnie i w środowiskach mnie bliskich zabite zostały naturalne instynkty życia społecznego, życia zbiorowego. Choć nie uczestniczyliśmy w „ich” nieustającym capstrzyku, to przecież nie ominęły nas masówki, apele, pochody, szkolenia wojskowe i to, co sączyło się latami z megafonów na ulicach, co lało się z łam prasy. Broniąc rozpaczliwie naszej indywidualności, jednostkowości, podmiotowości, niezależności — nabraliśmy głębokiego obrzydzenia do wszelkich form organizacyjnych, nieufności do działań zbiorowych. Nie nauczyliśmy się zasad funkcjonowania demokracji, sprawnego obradowania, merytorycznego wypowiadania się publicznie i tak dalej.

W książce Trznadla, od której zacząłem to wspomnienie, wiele jest o tych uszkodzeniach, skrzywieniach, chorobach. I — mogę się mylić — ale niektórym rozmówcom Trznadla wydaje się, że właściwie, to nic się takiego nie stało. Otóż stały się straszne rzeczy. Straszne krzywdy. Nieodwracalne zniszczenia. Dokonano zbrodni. Na ludzkich ciałach i na ludzkich duszach.

Wypowiadają się w *Hańbie domowej* również ludzie, których darzyłem i darzę najwyższym szacunkiem. Może niepotrzebnie się tam znalazli? Statystują tylko. A główni „bohaterowie” tej książki robią wrażenie, jakby taka rozmowa ich „oczyszczała” i „rozgrzeszała”. A to chyba nie jest takie proste.

Wtedy utraciłem niewinność, choć jeszcze o tym nie wiedziałem. I utraciłem ją wraz z całą Polską, która też nie wiedziała. Polska była ciężko ranna, ale z ran można się wyleczyć. Ale gdy leżała, jeszcze słaba, ale już wiadomo było, że wyżyje, zaraz dostała syfa. Syfilis może się trafić i hrabiemu, a jeżeli hrabia przy tym uzdolniony poetycko, może nawet ładne wiersze o syfie pisać, syfa, że tak powiem, sublimować, jak Baudelaire. Gdy jednak syf dostanie się prostemu człowiekowi, naiwnemu, o jasno niebieskich oczach, raczej dziecinnych, w głowie i mowie niezbyt sprawnemu, wtedy cierpienie głuche jest i — jakby to powiedzieć — niezasłużone? Bo nasz konopny ani do wykwinnych burdeli nie chadzał ani szampana nie pił jak Francuz, tylko kwaśne mleko z ziemniakami, a jednak syfa dostał. Niezwykły wypadek w medycynie. Nie drogą rozpusty, ani obłąki zwyczajnej nawet, tylko od zasyfionych, co drogą ze wschodu na zachód szli no i tak jakoś zawiąło. Z powietrza, czy co.

Dlatego później, gdy już niewinny nie był, ale zrozpaczony, krzyczał w knajpie po pijanemu, podpatrzony i podsłuchany przez Marka Nowakowskiego:

„Precz stąd, czerwone syfy!”

Krzyczy do dzisiaj.

Sławomir MROŻEK

W A W E L

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wielkanoc w lipcu?

Wyobraźmy sobie przeniesienie Wielkanocy na drugą połowę lipca. Powiem od razu, że nie jest to mój własny pomysł, a tylko sprawozdanie z lektury. „Wielki Post przypadałby w pełni wiosny i na początku lata, Wielkanoc zaś koło św. Piotra i Pawła... 1) zachowaniu zdrowia sprzyjałby ruch ciała, albowiem chłopci orzą wówczas ziemię, kupcy odbywają dalekie podróże na lądzie i morzu, a wojskowi zajęci są ćwiczeniami i marszami; 2) z powodu tych nieodzownych robót mniej byłoby beczynności, która rodzi niepowściągliwość, mniej byłoby wizyt, hulanek, pijaństwa, nieregularnego trybu życia i nieumiarkowanego odżywiania się... Ponadto, gdyby się kto nawet upił, to jednak wracając do domu nie zmarzłby po drodze, jak to bywa w zapusty i nie wpadłby pod lód, jak to się zdarza w tygodniu wielkanocnym”. Autor projektu zdaje sobie sprawę, że „trzeba pokonać ogromne przeszkody, nie są one jednak bardziej groźne niż te, które trzeba było przezwyciężyć, żeby zmusić ludzi do golenia bród, noszenia niemieckiej odzieży i okazywania uprzejmości innowiercom... znieść stan bojarów... i ustanowić w zamian Rządzący Senat, Święty Synod i nową regularną armię, przenieść stolicę na pustkowie i Nowy Rok na inny miesiąc! Naród rosyjski jest uległy!”

Zapobieżenie stratom ludności podczas karnawału omówione jest w części ósmej memoriału uczonego Michała Łomonośowa „O zachowaniu i pomnożeniu narodu rosyjskiego” z roku 1761. W części jedenastej jest mowa o uszczerbku, który przyniosła narodowi zabójstwa dokonywane przez rozbójników. „Ponoszą narodowi zabójstwa pogardą spoglądają na nasze bezładnie zbudowane miasta... rozbójnicy znajdują w nich bezpieczne schronienie... miasto bowiem jest większe i ze wszystkich stron w dzień i w nocy wrota do niego stoją otworem...”

gdyby zaś najmiłościwiej raczono rozkazać, aby wszystkie miasta... zostały umocnione jeżeli nie murami, to choćby tylko wałem, rowem i wysoką palisadą, z niewieloma bramami zaopatrzonymi w mocne zasuwę i strzeżonymi... aby każdy gospodarz codziennie zgłaszał w ratuszu, kto u niego nocował i jak długo... ..dużo jest miejsc odludnych i obszarów pozbawionych miast; miejsca te stanowią po prostu schroniska dla rozbójników i wszelkich ludzi zbiegłych i nie posiadających paszportu... W takich miejscach należy założyć i pobudować miasta... stosując wskazane wyżej środki ostrożności. Służyć to będzie nie tylko bezpieczeństwu powszechnemu i zachowaniu narodu..., lecz także przyniesie szczególną chwałę najmiłościwszej naszej monarchii, jako odnowicielce starych i współtwórczyni nowych miast rosyjskich”.

W części dwunastej autor uważa za wskazane „wspomnieć o żywych nieboszczykach. Z miejscowości pogranicznych ludzie uchodzą do obcych państw, szczególnie zaś do Polski, a przez to korona... traci wielu poddanych... tak ogromnej szczeliny siłą całkowicie zamknąć nie podobna: więcej można zdziałać łagodnością... Wydaje mi się przeto, że ludności mieszkającej na granicy polskiej lepiej jest przyznać ulgi podatkowe i zwolnić ją od służby wojskowej, rozłożywszy te ciężary na całe państwo”.

Memoriał ten ukazał się w języku polskim w roku 1956 w II tomie PISM FILOZOFICZNYCH Łomonosowa, stanowiących 21 tom BIBLIOTEKI KLASYKÓW FILOZOFII Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Tom pierwszy tej serii — LOGIKA Condillacca, napisana na zamówienie Komisji Edukacji Narodowej w dawnym tłumaczeniu profesora Uniwersytetu Wileńskiego Jana Znosko, z wstępem i przypisami Tadeusza Kotarbińskiego — ukazał się w roku 1952, całe przedsięwzięcie było jednak rozpoczęte już około roku 1950 czy 51. Przewodniczącym komitetu redakcyjnego był Tadeusz Kotarbiński, a wśród tłumaczy, autorów wstępów i przypisów widnieją nazwiska najwybitniejszych ówczesnych filozofów polskich, odsuniętych wtedy od katedr uniwersyteckich: Izydory Dąbrowskiej, Henryka Elzenberga, Romana Ingardena, Kotarbińskiego, Ossowskich, Tatarkiewicza i jeszcze paru innych nieco mniej znanych. Pracami redakcyjnymi w wydawnictwie kierowała od początku Irena Krońska.

Z pierwszych 20 tomów przynajmniej 13 — wśród nich Bacon, Hume, Kant, Leibniz, Locke, Platon lub Spinoza — byłoby doskonałym początkiem i ozdobą każdej poważnej biblioteki filozoficznej w każdym normalnym ustroju. Jest też normalne udzielanie uwagi miejscowym myślicielom; we Francji w latach osiemdziesiątych od maturzystów wymagano częściej komentowania Alaina niż Arystotelesa i Kanta, Alaina, którego

Jerzy Stempowski słusznym tytułem uważał za nudziarza. Tak więc porządne wydanie Sebastiana Petrycego z Pilzna (profesora Akademii Krakowskiej z przełomu XVI i XVII w.), Kollataja i Staszica było naturalne. Dziś już nieco trudniej byłoby uzasadnić wydanie w tej właśnie Bibliotece 5-ciu tomów PISM Edwarda Dembowskiego. Autor w chwili zgonu miał 24 lata, a owe 1987 stron tekstów uznanych za filozoficzne nie wyczerpuje jego dorobku. Juliusz Wiktor Gomulicki przypuszcza, że Norwid w liście do Tomasza Olizarowskiego, wspominając „poematy, w których Kędybój czy Kędymierz kocha się w Chyżosławie — i mówią z sobą greckim bohaterskim wierszem na francuski sposób, i odpowiada Kędybojowi czy Kędymierzowi Swędzysława”, miał na myśli poemat dramatyczny Edwarda Dembowskiego „Grzmisław”. Krasieński pisał, łagodząc i tak swoje sądy na wiadomość o śmierci D.: „szalony naśladowca nie swoich myśli i manier”. Ten zarzut naśladownictwa nie wydaje się całkiem sprawiedliwy. Podając się za wyznawcę Hegla, D. myśli mistrza skrajnie uprościł i „dokonał rewolucyjnego przekształcenia dialektyki heglowskiej”. Godny uwagi wydał mi się jego nieskrywany brak upodobania do konstytucji 3 maja. „Bezbarwna z niedołężności, z braku siły i odwagi... zamiast więc zniesienia przywileju szlachty, potwierdza go... wymyśla króla konstytucyjnego... żadne więc stronnictwo nie skorzystało z bezbarwnej konstytucji: ani postępowca, czysto polska myśl ludowa, ani wsteczna — monarchizmu i szlachectwo; a naród mając podcięte źródła żywotnej dziarskości, musiał w letargu, choć chwilowym, usnąć”.

„Największym niebezpieczeństwem dla postępu — streszcza tę filozofię Andrzej Walicki — okazywali się nie reakcyoniści, lecz liberałowie: reakcyoniści przyczyniają się do radykalizacji rewolucjonistów i w ten sposób służą postępowi”.

Dembowski, o cztery lata młodszy od Marksa uchodzi jednak za przedstawiciela „tego nurtu filozofii postheglowskiej, który poprzedził i przygotował pojawienie się heglizmu”. Dr Marks mając jego lata był jeszcze tylko filozofem, nie bez perspektyw kariery akademickiej, a jako publicysta *Gazety Reńskiej* odznaczał się nieporównanie większym umiarem. Ponieważ D. nie zdążył niczego się od Marksa nauczyć, wydano go w Bibliotece Klasyków Filozofii poświęconej prezentowaniu filozofów niemarksistowskich. Miał zapewne stanowić źródło nowej tradycji i być wzorem dla dopiero wychowywanych filozofów. Po raz pierwszy w dziejach tej serii, w czwartym roku jej istnienia, prace edytorskie powierzono dwóm młodym paniom. Obie zresztą potem przestały zajmować się Dembowskim i dokonały pożytecznych prac. „Pisma” ustawione na półce obok „Uzasadnienia metafizyki moralności” czy „Esejów” Davida Hume’a nie

dość dobrze wypadły w tym sąsiedztwie; w ciągu 34 lat od wydania szczęśliwie nie odegrały żadnej roli w kulturze polskiej.

Nieporównanie bardziej interesująca jest biografia D., godna pióra zarazem Hanny Arendt i Aleksandra Dumasa-ojca. Byłaby to powieść przygodowa i laboratoryjne studium komunizmu, w którym nikt prócz samego D. nie zginie, ale już niemal wszystko zostało zaprojektowane. Nasz bohater przemysłał się między granicami zaborów. Przygotowując powstanie w Galicji „w przebraniu dostawał się jako lokaj do domów wysokich urzędników, aby wysłuchać rządowych planów, wówczas gdy rząd wyznaczył był cenę za jego głowę... robił topograficzne i statystyczne zestawienia o siłach ludności i rozmieszczeniu wojska”. Jednocześnie oszukiwał spiskowych w przedstawianiu stanu przygotowań. Tym, których nie mógł dla sprawy powstania pozyskać, groził terrorem, widmo szubienicy stawiał przed oczyma Franciszkowi Smolce... Gdy wybuchło powstanie krakowskie 1846, stał się sekretarzem dyktatora Tyssowskiego. Po paru godzinach dyktatora, urzędującego w Szarej Kamienicy w Rynku Gł. na rogu Siennej, pod nieobecność sekretarza odwiedził właściciela domu — historyk literatury i filozof, profesor UJ, liberalny patriota Michał Wiszniewski. Wiszniewski w rozmowie nakłonił Tyssowskiego do przekazania sobie władzy. Ledwo nowy dyktator zdążył zredagować swój pierwszy manifest, gdy wpadł do sali Dembowskiego, mierząc doń z nabitego pistoletu. Cztery miesiące wcześniej profesor wrócił z kolejnej podróży do Włoch. Wybuch powstania zastał go przy pracy nad opisem tej podróży. Jednym z odwiedzonych miejsc była Padwa. „Byliśmy na lekcji historii profesora Menin, który jest teraz rektorem akademii. Uważaliśmy, iż młodzieży było za mało, ale za to wiele osób starych, a nawet podeszłego wieku, i jedna Włoszka uczona. Menin jest to człowiek po pięćdziesięciu latach, siwy, wysokiego wzrostu i wyrazistej twarzy. Mówił z pamięci o Teodoryku, rzecz bardzo zajmującą i ciekawą dla Włochów, bo właśnie i Padwa do jego państwa należała; tłumaczył się bardzo wymownie z coraz większym zapalem; nie zbywało i na gestach właściwych Włochom, szczególnie pięknie opisywał śmierć filozofa Boecjusza. Widziałem, jak duszonemu oczyma z głowy wyskakiwały, bo to nie tylko opowiadał, ale i rękami pokazywał”. Wiszniewski zasłonięty przed lufą przez własnego syna opuścił gmach. Dembowski zmusił Tyssowskiego do objęcia na powrót dyktatury a sam stworzył naprędce Trybunał Rewolucyjny i skazał Wiszniewskiego na wyjęcie spod prawa. Wiszniewski przeżył szczęśliwie jeszcze 19 lat, a wybór jego prac filozoficznych ukazał się w r. 1976 jako 120 tom BKF.

Po wybuchu rzezi Szeli D. „powziął myśl oddziaływania na chłopów przez duchowieństwo”. Zorganizował procesję z udziałem

30-tu księży i zakonników z krzyżami i chorągwiami, na czele której szedł w białej sukmanie i z krzyżem w ręku. Naprzeciw procesji wysłano oddział austriacki. Wojsko otworzyło ogień do nadchodzących. D., ujęty i rozbrojony, został przeszyty kulą w chwili, gdy chciał się wyrwać i uciec, i przeбитo go trzykrotnie bagnetem.

Prócz Dembowskiego, wśród pierwszych dwudziestu pozycji BKF, jeszcze trzy: CZŁOWIEK MASZYNA La Mettrie'go, TESTAMENT Mesliera i WYKŁADY o ISTOCIE RELIGII jej dziewiętnastowiecznego nieprzyjaciela Feuerbacha należały do lektur, podczas których rozważanie argumentów autora, próby dialogu okazywały się wkrótce mało owocne. Można je było czytać dla powzięcia wiadomości o tym, co kiedyś myślano. Na podobnej zasadzie szczególnie warto czytać Łomonosowa; wzbogaca to nasze wyobrażenia na temat oświecenia i racjonalizmu.

Można się zastanowić czy rozważania o pożytku miast dla wypływywania osób bez paszportów w istocie należą jeszcze do dziedziny filozofii. Umiem sobie jednak z łatwością wyobrazić traktat filozoficzny, wyszydzający podobne idee. W każdym razie związek między sprawdzaniem paszportów a filozofią może się przydarzyć. W sierpniu 1982 roku p. A. Romaszkan ogłosiła w *Polityce* (nr 25/82) reportaż z egzaminów w Wyższej Szkole Oficerskiej MSW im. gen. Józwiaka-Witolda w Szczytnie, gdzie program studiów obejmował 35 przedmiotów; obok prawa karnego, prawa państwowego, międzynarodowego prawa publicznego, prawa administracyjnego, wstępu do nauki o państwie i prawie, przedmiotów uzupełniających: psychologii, socjologii, organizacji pracy i zarządzania w organach MSW, maszynopisania była tam najnowsza historia Polski i filozofia marksistowska.

Studentom „ręce lekko drżą, brakuje słów i wszystkie myśli uciekają z głowy.

— Spokojnie kolego, pan to wszystko świetnie umie — łagodzi nerwową sytuację por. Zbigniew Łotys, który egzaminuje z filozofii i uznaje zasadę, że egzamin to prawie jak rozmowa dwóch uczonych. Wdaje się z podchorążym w dyskusję o śmierci, duszy, Bogu i egzystencjalizmie, a ja — opowiadała p. A. Romaszkan — wypisuję ciekawsze pytania: „Atrybuty materii i formy jej istnienia”, „Podstawowy system norm regulujących postępowania człowieka”, „Etyka autonomiczna Kanta a etyka niezależna Kotarbińskiego...”

W Bibliotece Klasyków Filozofii ukazało się 5 dzieł Kanta. W roku 1957 wydano KRYTYKĘ CZYSTEGO ROZUMU w przekładzie i opracowaniu Romana Ingardena. W roku 1962 uczeń Ingardena Jerzy Gątecki w przedmowie do przekładu KRYTYKI WŁADZY SĄDZENIA dziękował profesorowi Stefanowi Świeżawskiemu za wydatną pomoc w tłumaczeniu

niektórych łacińskich terminów filozoficznych. Przypomniałem sobie to podziękowanie, czytając niedawno w *Znaku* (nr 403) zwierzenie prof. Świeżawskiego: „Kant mnie irytował i nudził, lekturę jego prac ledwo wytrzymałem. Dla mnie czytanie tekstu średniowiecznego jest rozkoszą, a czytanie Kanta — katorga”.

Ja niezbyt lubiłem lekturę Hegla. Z WYKŁADÓW FILOZOFII DZIEJÓW zapamiętałem, że „Narodowi germańskiemu właściwe było poczucie naturalnej totalności w sobie... owa niewyraźna, nieokreślona totalność ducha w odniesieniu do woli, w której człowiek w sposób równie ogólny i nieokreślony znajduje zaspokojenie w sobie”. W popłoch wprawił mnie student, który oświadczył, że przeczytał 3 tomy ESTETYKI Hegla w dwa tygodnie; borykałem się z ESTETYKĄ jakieś siedem miesięcy. Gdy jednak poprosiłem go, by objaśnił dwa kolejno następujące zdania H., po paru minutach jego koledzy odetchnęli uspokojeni, że nie będą musieli na co dzień współzawodniczyć z geniuszem. Odkąd wydano w porządnym tłumaczeniach podstawowe teksty Hegla, nie słysząc już o nowych przykładach „heglowskiego ukąszenia”.

W wieku XIX-tym pisano w Polsce o Heglu i przeciw Heglowi, Polacy jeździli słuchać jego wykładów, nawet pisali u niego doktoraty (Karol Libelt) ale przez cały ten czas dostępny był w naszym języku tylko *Katolog muszkułów zewnętrznych ciała ludzkiego dla użytku sposobujących się na artystów, którym znajomość anatomii jego potrzebną*, przez Konstantego Hegla, rzeźbiarza profesora Szkoły Sztuk Pięknych. Dłuta tegoż Hegla, są lwy przed wejściem do pałacu Radziwiłłów czyli b. pałacu namiestnikowskiego na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie znanego także jako pałac rady ministrów.

W BKF znalazły się najważniejsze teksty od Arystotelesa do Husserla. Oczywiście świadectwem swobody ducha było wydanie TRAKTATU O ZASADACH POZNANIA LUDZKIEGO Berkeleya (oddano do składu 13 VIII 1955, podpisano do druku 5 V 1956, druk ukończono w czerwcu 1956). Redaktorem tomu był znany nieco później czytelnikom *Kultury* Witold Jedlicki. Przypis w krótkim i rzeczowym wstępie od wydawców zawierał suchą informację o tym, że Lenin wspominał o Berkeleyu. W istocie B. był dla Lenina najbardziej znienawidzonym ze wszystkich filozofów. W BKF nie do pomyslenia był wstęp wyjaśniający, że wydana właśnie książka cieszy się niezastępieniem dobrą opinią, że poglądy autora są niesłuszne lub że zalety dzieła pozostają w sprzeczności z jego intencjami. Oczywiście cały czas pracy wydawców towarzyszyły restrykcje. Główną ich ofiarą okazali się myśliciele rosyjscy. Wydano poza Łomonosowem tylko Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrułowa i Herzena. Nie było mowy o Czaadajewie ani o Włodzimierzu

Sołowjowie, Sergiuszu Bułhakowie, Bierdiajewie, Szestowie. Autorzy ci budzili zainteresowanie, pisywano o nich w *Znaku*. Egzemplarze były zresztą dostępne w Warszawie, gdzie Biblioteka Uniwersytecka dziedziczy księgozbiór po Imperatorskim Warszawskim Uniwersytecie, korzystającym z egzemplarza obowiązkowego wszystkich książek wydawanych w cesarstwie. Przyjeżdżający do W. wtajemniczeni inteligeneci rosyjscy skwapliwie korzystali z tej możliwości; u siebie uzyskując dostęp do tych prac, przechowywanych przecież w najważniejszych bibliotekach, byłiby jednak wciągnięci do kartotek. Wreszcie rosyjskich filozofów zaczęli wydawać polscy wydawcy emigracyjni, podziemni i OO Dominikanie.

Także TRAKTAT Berkeleya przeczytałem w Bibliotece Uniwersyteckiej. Przez wiele lat nie udawało mi się — mimo upartych wysiłków — znaleźć go w żadnej księgarni, również poza Warszawą. Gdy wreszcie wszedłem w jego posiadanie i przeczytałem go powtórnie, zajął miejsce na półce obok TRISTRAMA SHANDY Sterne'a, ŻYWOTU JOHNSONA Boswella i KLUBU PICKWICKA. TRAKTAT zawiera wyraźną tezę filozoficzną, jednak podczas lektury nie umiałem się oprzeć wrażeniu, że radosna swoboda, z jaką autor przeprowadza swój wywód, jest istotnym elementem filozofii Berkeleya. Elementem sprawiającym, że ta sama teza przedstawiana następnie skrupulatnie w podręcznikach historii filozofii, chwalcących ponadto B. za nieskazitelność formy, nie jest identyczna z rzeczywistą myślą autora. Czasem myślę, że mogliby się znaleźć na tej półce jeszcze Hume i Burke, a może nawet wydana w BKF ostatnio TEORIA UCZUĆ MORALNYCH Adama Smitha, znanego bardziej jako autor BADAŃ NAD NATURĄ I PRZYCZYNAMI BOGACTWA NARODÓW. Książka ta, będąca „dziełem człowieka — powiada angielski historyk literatury, którego cechowało urocze roztargnienie i który nie umiał mądrze ani wydać, ani zaoszczędzić nawet szylinga — zawdzięcza wszystko umiejętności formułowania trudnych abstrakcji w sposób przekonujący nawet dla umysłów kupieckich”. Tłumaczka TEORII Danuta Petsch sądzi, że „styl autora jest nierówny, miejscami mamy do czynienia z językiem potocznym, nawet żartobliwym, w innych partiach jest to język elegancki”. Przypomina mi się uwaga jednego z moich nauczycieli logiki, nie umiałbym już dziś powiedzieć, czy był to Jerzy Pelc czy Klemens Szaniawski, o tym że kobiety lubią dzielić samochody na czarne i amerykańskie.

Historia Biblioteki Klasyków Filozofii dzieli się wyraźnie na dwa okresy. Cezurą jest rok 1968. W ciągu pierwszych osiemnastu lat ukazało się 90 tomów. Na następne dwadzieścia jeden przypada 70 tomów. Ale nawet numeracja z obu serii nie może

być ze sobą porównywana; wydane przed 68, zresztą w różnych latach, 3 tomy ESTETYKI Hegla były odnotowane jako jeden (76-ty) tom Biblioteki, natomiast wydane w latach osiemdziesiątych 3 tomy WPROWADZENIA DO ONTOLOGII BYTU SPOŁECZNEGO Lukácsa są rejestrowane jako tomy 142, 149 i 150. Tak więc dorobek ilościowy drugiego okresu okazuje się znacznie skromniejszy. Na końcu każdego tomu jest umieszczona lista dotychczas wydanych tytułów. Od r. 68 zapis bibliograficzny został skrócony: pomija się nazwiska tłumaczy, autorów wstępów i przypisów. W ten sposób Państwowe Wydawnictwo Naukowe mogło uniknąć wymieniania nazwisk Bronisława Baczki, Leszka Kołakowskiego i pani Ireny Krońskiej. Zarazem z tego spisu nie dowiemy się już, czy jakieś dzieło tłumaczyła Izydora Dąmbska czy może Kazimierz Ślęczka oraz czy przekład przejrzał Roman Ingarden czy Marek J. Siemek. W roku 1969 pewien korektor PWN-u zwrócił uwagę dyrekcji, że w przypisie do przygotowywanej do druku rozprawy wymieniono, i to bez obelg, nazwisko Kołakowskiego. Przypis usunięto, a bystry pracownik w nagrodę został wysłany na wczasy do Bułgarii. Jeszcze wcześniej usunięto z księgarń i magazynów dotychczas wydane tomy, rozdając je za symboliczną opłatą: za LISTY MORALNE Seneki — 741 stron w płóciennnej oprawie na dobrym papierze, cena katalogowa 58 zł — pobierano 5 — ówczesna równowartość trzech dobrych buleczek z makiem. Ja akurat nie powinienem się na to użalać, bo właśnie wtedy stałem się posiadaczem niedostępnego wcześniej TRAKTATU Berkeley'a (nakład 500 egz. — najniższy w BKF). Przewidując, że będę miał więcej wolnego czasu, sprawilem sobie też parę książek w rodzaju Łomonosowa, po które w innych okolicznościach bym może nigdy nie sięgnął.

W roku 1974, przedstawiając na łamach *Kultury* (nr 12/327) zasługi zmarłej wtedy Ireny Krońskiej, dawny dyrektor PWN-u Adam Bromberg domagał się, by zgodnie z przepisami polskiego prawa autorskiego każda książka BKF była opatrzona adnotacją „Biblioteka zainicjowana i realizowana 1951-1968 przez Irenę Krońską (zm. 1974)”. Ten wymóg elementarnej przyzwoitości nie został spełniony do dziś.

Jeszcze przez wiele lat ukazywały się dzieła, nad którymi prace redakcyjne rozpoczęła lub zaprojektowała pani Krońska, bądź które były przygotowane przez osoby przez nią wciągnięte do współpracy albo wreszcie takie, które wychowały się na tej bibliotece i przyswoiły sobie jej standardy.

W roku 1979 znalazł się w BKF prawdziwy marksista, Fryderyk Engels z DIALEKTYKĄ PRZYRODY, po nim Lukács. Ponieważ jednak zaraz po Engelsie wydano Edwarda Abramowskiego, kolejny tom Arystotelesa (i to O NIEBIE) i Maxa Schelera,

prosiłem żeby odkładano dla mnie wszystkie tomy. I oto mam na własność MYŚLI O ŚMIERCI I NIEŚMIERTELNOŚCI oraz ZASADY FILOZOFII PRZYSZŁOŚCI Feuerbacha i WPROWADZENIE DO ONTOLOGII BYTU SPOŁECZNEGO Lukácsa. Wychowani w szacunku dla książek bywamy w kłopotcie, co zrobić z niechcianymi okazami. U państwa Słonimskich w przedpokoju przy drzwiach wyjściowych stała specjalna półka. Wychodzący goście byli proszeni, by zabierać z niej co zechcą. Bywały tam tomiki z dedykacjami. Parokrotnie odnajdywał je w handlu bibliofil Józef Chudek i z radosną miną, w kawiarni PIW-u, ofiarowywał na powrót panu Słonimskiemu. W ten sposób powrócił do przedpokoju MĄŻ FOŁTASIÓWNY.

„Dość długo uchodził Feuerbach za drugorzędnego myśliciela” — brzmi pierwsze zdanie przedmowy do F. Rozciągnięta na 50 stron niedołężna próba zakwestionowania tej opinii utwierdza ją tylko w umyśle czytelnika. Jednym z rozpaczliwych argumentów ma być fakt, że niektóre z poglądów F. „jeszcze i dziś budzą zainteresowanie”. Jedną z osób, które okazały zainteresowanie, jest Henryk Jankowski. Zasłużony Nauczyciel PRL, profesor doktor habilitowany, jest autorem nie mniej niż dziesięciu książek, publikowanych na ogół uprzednio w odcinkach po czasopismach, np. w *Trybunie Ludu*, która przyznała mu Nagrodę Naukową. Chciałbym zaproponować lekturę tekstu uczonego filozofa. Nie musi to być długi tekst. Może wystarczy, jeżeli ograniczymy się do odczytania tytułu jednej z dojrzałych prac Profesora: ETYKA MARKSIZMU A PRAKTYKA, Warszawa 1982.

Na ostatniej stronie pierwszego tomu Feuerbacha znajduje się zdanie: „Głowa państwa jest reprezentantem uniwersalnego człowieka”. Rozumiem, że książka ta może stanowić piękny prezent wydawnictwa dla pana prezydenta. Należało ją w takim razie wydrukować w 1 albo w 20 egzemplarzach na papierze welinowym, a nie w dziesięciu tysiącach na papierze offset.sat. kl. III.

Dwa kolejne tomy Feuerbacha zostały przetłumaczone niepotrzebnie, ale bardzo starannie. Nie da się tego powiedzieć o przekładzie Lukácsa, który postanowił oprzeć „myślenie filozoficzne o świecie na bycie”. Co parę wierszy potykamy się o „solidność i płonność ontologicznego ufundowania poznania”, „w sensie obiektywnym faktycznie fundującą rolę bytu”, „rolę ontologii... konkretnie wyznaczoną przez charakter bytowy samego ludzkiego bytu”. Gdy czytam, że „nie sposób ominąć ogólnych problemów bytu, a wyrażając się ściślej — (kwestii) związku i różnicy między trzema wielkimi rodzajami bytu” wiem, że o tych problemach można by mówić w zupełnie inny sposób. Gdy w roku 1838 Aleksander Herzen przebywał na

zesłaniu w Wiatce, „wśród różnych zarządzeń nadesłanych z Petersburga było również polecenie, by w każdym mieście gubernialnym urządzono wystawę różnego rodzaju wyrobów i wytworów miejscowych, klasyfikując je według trzech światów przyrody. Ten podział według światów przyrody wprowi w wielkie zakłopotanie kancelarię i poniekąd nawet samego gubernatora. By nie popełnić błędów, zdecydował on, nie zważając na swój nieprzychylny do mnie stosunek, wezwać mnie na naradę.

— A więc na przykład miód — mówił — do jakiego świata zaliczyć miód? Albo też rama złożona — jak określić, do jakiego świata przyrody ona należy?

Wynioskowawszy z moich odpowiedzi, że posiadam zadziwiająco dokładne wiadomości o trzech światach przyrody, zaproponował mi, bym zajął się rozplanowaniem wystawy”.

Tłumacz Lukácsa Kazimierz Ślęczka, nie panując nad składnią polską, przekłada nie zdania, lecz poszczególne słowa, które czasem się ze sobą łączą, a czasem zderzają jak w wierszu 23 na stronie 4 tomu 3: „Wszelako: następujące *tu* dalej dociekania...” Przekład Kazimierza Ślęczki przejrzał Marek J. Siemek. W roku 1952 Roman Ingarden przejrzał tłumaczenie Kanta dokonane pół wieku wcześniej przez Mściława Wartenberga. Miało to wówczas znaczenie nie tylko dla księgowości wydawnictwa. Ingarden uznał, że „stawiało ono sobie wymogi tak wielkiej wierności w stosunku do oryginału... stając się miejscami trudne do czytania... trzeba było tłumaczenie W. poddać dość wydatnej rewizji językowej... i nadać mu — przy zachowaniu wiernie sensu — charakter większej swobody”.

Opatrzanie przekładu Lukácsa adnotacją przypominającą, iż jest wydany w serii zainicjowanej przez Irenę Krońską byłoby urąganiem Jej pamięci.

Może jednak moje uwagi są świadectwem prostoduszności. Może mamy w tym przekładzie do czynienia z dialektycznym wyrafinowaniem. Przypuszczenie to nasunął mi fragment następujący: „... w taki sposób może owa teoria odzyskać ów patos, nigdy nie opuszczający ziemsko-immanentnych ram, który miała u samego Marksa, a który później — po części nie licząc Leninowskiego interludium — w szerokim zakresie zatraciła, zarówno w aspekcie teoretycznym, jak praktycznym”. Zastanawiając się, co tu o Leninowskim interludium dokładnie powiedziano, zdałem sobie sprawę, że właśnie tak sformułowany tekst jest bezpieczny w każdej koniunkturze politycznej. Oczywiście nie jest roztropne wydawanie w jednej serii TRAKTATU LOGICZNO-FILOZOFICZNEGO Wittgensteina i marksistów.

Wzmianka o Leninie przypomina mi, że już jakiś czas temu porzuciłem p. A. Romaszkan, notując ciekawsze pytania na egzaminie z filozofii w Wyższej Szkole Oficerskiej MSW im.

gen. Józwiaka-Witolda w Szczytnie oraz por. dr Zbigniewa Łotysa, który wdał się w dyskusję o śmierci, duszy, Bogu i egzystencjalizmie z podchorążym. Wróćmy więc w końcu do tej trójki. „Podchorąży Mariusz Róg, szczupły w okularach, wyjaśnia pojęcie świadomości ludzkiej. — Co to jest dialektyczne a metafizyczne myślenie? — pyta dalej egzaminator. — Myśląc metafizycznie traktujemy coś jako stałe, niezmiennie, stojące w bezruchu. Przykład typowej metafizyki — oceniamy Kowalskiego w kolorach biało-czarnych. Człowiek jest w kolorze szarym, tylko różne są odcienie tej szarości. — Co to jest rygoryzm moralny? — Wiąże się z filozofią Kanta i imperatywem kategorycznym — postępuj tak, aby norma twojego postępowania stała się obowiązującym prawem, nie kieruj się uczuciami, litością. Postępowanie ma wynikać z obowiązku moralnego. — Jak pan to ocenia? — Trzeba widzieć sytuację, w jakiej człowiek się znajduje i trochę kierować się uczuciem. — Co Epikur powiedział o śmierci? — Jeśli jest śmierć, to nie ma człowieka, jeśli jest człowiek, to nie ma śmierci. Granica między życiem a śmiercią jest płynna.

Podchorąży M. Róg odpowiada jeszcze na pytania, co to jest hedonizm filozoficzny i intelektualizm moralny. O Leibniza i monady już go dokładnie por. dr Z. Łotys nie wypytawał, bo i tak widzi, że słuchacz nie tylko umie filozofię, ale i rozumie ją, i wpisuje do indeksu piątkę”.

Andrzej DOBOSZ

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Adam POPRAWA

16 LISTOPADA 1988, JESIEŃ

Dowodzi w nim, że czasy zbliżają się ku końcowi, że człowieczeństwo przeżyło wiosnę i lato, nastąpiła dlań jesień, pora żniwa i winobrania, po której czeka nas ostatnia już, zimowa pora. Na nią to, jeżeli nie chcemy zginąć, powinniśmy w obecnej jesieni gotować sobie opał i wzorem niektórych gospodarczych zwierząt gromadzić zasoby żywności (rozumie się, w znaczeniu przemożnym).

Józef Przecławski o *L'Automne du monde*
de l'humanité Józefa Oleszkiewicza

Już chyba koniec. Kiosk przy placu Bema,
Znów niewolnicy stoją po gazety.
Witaj jesieni! Po wiekach, po wierszach
Przeżywam wszystko tak samo inaczej.
Panno miłosna w tęczowej sukience
Podszytej czernią spleśniałej koronki.
Już chyba koniec. Jeszcze tylko liście,
Miedziana czerwień z klonowego drzewa,
Siedmiokroć żółty wachlarz kasztanowca,
Jasnougrowa rdza dębowych blaszek
W dziecinnej rączce bukiet przemijania,
Też jestem dzieckiem łaski oraz grzechu,
Gubię źrenice w unerwieniu liścia,
Szukam w nim jego przedwiecznego sensu,
Wzroku Joanny, co przypadkiem musnął
Liść wirujący w gorącej mgłę dymu.
Już chyba koniec. Jeszcze tylko śmiechy
Przeciw wieczności, dym znad szklanek kawy
W rozgwarze rozmów — modłów zapomnienia,
Gdy kamień ulic czeka z tajemnicą,
Ulice płyną jako rzeki trwania.
Dzięki za łodzie. I chwała żeglarzom
W statku rybackim czasu jesiennego.

Adam POPRAWA

Wiersze

Adam BĄKOWSKI

POPIOŁ I WINO

Siedziałem na tarasie kawiarni i płatek
Popiołu opadł w mój kieliszek wina.
Nie popioł z papierosa ani sadza. Miasto
Drżało w leniwym upale jak gdyby
Nigdy nic, nie dojrzałem pożaru. Lecz światu
Nigdy nie brakowało popiołu, więc jeden
Płatek mógł się przedrzeć przez pokłady czasu
I przestrzeni. By dać mi znać, że jestem tylko
Popiołem, który stygnie? Przecież ja to wiem.
Czy był to płatek drewna, trawy, książki
Przeczytanej przez ogień, człowieka, zwierzęcia?
Czemu tu się zabłąkał, na gwarną ulicę,
Z tym nienapełniającym otuchą przestaniem?
To szaleństwo (coś więcej wręcz, bo niestosowność),
Niby marsz kropli wody na podbój pustyni.
Nikt go nie dostrzegł, ja go wnet zapomnę.
Wypiłem wino dbając, by nie potknąć
Popiołu: osadziłem go na szkle kieliszka
Jak na wybrzeżu kruchej, bezludnej wysepki.
Nieznana wcześniej gorycz poczułem, zdziwiony.

Adam BĄKOWSKI

Jan SOCHON

Adam POPRAWA

16 LISTOPADA 1988 JESIEŃ

* * *

Jestem księdzem, to znaczy?
 (waham się, jakiego użyć słowa)
 ale nie wiem, nie wiem,
 co dalej, żaden gest, żadne wspomnienie,
 nie przynoszą rozwiązania.

Jestem księdzem,
 po lewej i prawej stronie
 krzyża.

5.III.'88

Gdy noc opada na rzeczy i ciało
 zmieniając wszystko w swoje przeciwieństwo,
 nie pytaj nawet co zdarzy się dalej,
 nikt nie odpowie ani nie zaprzeczy.

Potęga ziemi aż nazbyt widoczna,
 człowiek umiera i rodzi się nowy,
 z odruchu życia, z głębi poniżenia
 które tak dawne, że już zapomniane.

Gdy noc opada na rzeczy i ciało,
 Nie ufaj także swojemu spojrzeniu,
 niech lepiej mówią modlitwa i lament
 tych, co odeszli i wrócić nie mogą.

Jan SOCHON

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

TAK JAK LENIN, TYLKO W ODWROTNYM KIERUNKU

Wir wollen aus. Tak brzmi wschodnioniemieckie tłumaczenie polskiego «100 lat» lub francuskiego *bon anniversaire*. Tak wołali Niemcy i tego sobie życzyli z okazji przypadającej 7 października 1989 (to znaczy w chwili pisania tych słów), 40-tej rocznicy powstania lub raczej utworzenia na terytorium sowieckiej strefy okupacyjnej sztucznego tworu politycznego pod nazwą Niemiecka Republika Demokratyczna. Jej 40-letnią historię naznaczyły trzy kryzysy i ten jeden wspomniany na początku okrzyk.

Pierwszy kryzys, w czerwcu roku 1953, załatwiony został odmownie przez sowieckie czołgi. Drugi, w 1961 r., rozwiązany został przez zbudowanie muru. Trzeci wybuchł w 1989. Jeszcze trwa, ale prawdopodobnie jest ostatnim.

Ostatnia, aktualna faza trzeciego kryzysu rozpoczęła się 2 maja 1989. Od pewnego już czasu węgierscy „reformatorzy” poszukiwali pomysłu na prezent dla George’a Busha, który wybierał się na Węgry, po wizycie w Polsce, a przed paryskim szczytem siedmiu najbogatszych państw świata, na którym zapaść miała decyzja o zachodniej pomocy dla reform na wschodzie. Bush już wszystko ma, o dobry prezent nie było łatwo. Aż ktoś wpadł na genialny pomysł: rozmontujemy — powie- dzieli reformatorzy — żelazną kurtynę i podarujemy ją Bushowi.

I tak się stało. 3 maja Bush opuścił Budapeszt z kawalkiem drutu kolczastego w kieszeni. Cały świat to widział w telewizji.

Niektórzy zaczęli handlować sfałszowanym drutem, a niektórzy zaczęli się zastanawiać.

Jak?

Właściwa akcja rozpoczęła się 29 lipca. Nagłym manewrem z flanki, 200 obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej spędzających pozornie wakacje nad Balatonem, zajęło siłą budynek ambasady Niemieckiej Republiki Federalnej w Budapeszcie, zapowiadając, że jej nie opuszczą jak tylko w kierunku na zachód, do RFN.

8 sierpnia. Władze RFN zamykają przepelnioną już ambasadę w Budapeszcie. 200 nowych „wczasowiczów” zajmuje wtedy konsulat RFN. Tysiące turystów wschodnioniemieckich nie ukrywa, że Węgry, choć kraj piękny, to tylko tranzyt. Najodważniejsi postanawiają atakować wprost granice bez żelaznej kurtyny. Przechodzą. Patrole węgierskie nie przeszkadzają. Wieże wartownicze są puste, żołnierze odwracają głowy.

13 sierpnia. Ambasada RFN nadal zamknięta. Tysiące ludzi koczuje w środku. Warunki higieniczne okropne.

15 sierpnia. Władze węgierskie podejmują środki zaradcze. Nie na granicy, a w Budapeszcie. Powstają pierwsze obozy dla uchodźców. Przeciętna „gwałcenia” granicy węgiersko-austriackiej sięga już ok. 100 osób dziennie. Plotki niosą, że ok. 10.000 obywateli NRD gotowych jest porzucić wszystko na Węgrzech, byle dostać się do Austrii, a potem do RFN. Wzdłuż szosy na zachód powstają cmentarze samochodów z rejestracją wschodnioniemiecką. Widać już tylko szkielety i kikuty. Przytomni Węgrzy wydrapali co się da: nawet u nich brak części zamienionych do Wartburgów i innych trujących atmosferę wschodnioniemieckich dwutęktów.

19-20 sierpnia. Pierwszy szlagier sezonu, *happening* godny „pomarańczowej inicjatywy”. Major wymyślił filię mauzoleum Lenina, „aby skrócić ogonki”, NRD-owcy urządzili piknik na granicy od strony Węgier, też aby skrócić czekanie. 500 uczestników pikniku na sjęstę wybrało się już na stronę austriacką. Imperium austro-węgierskie powoli nabiera rumieńców życia.

22 sierpnia. Pada pierwsza i na szczęście jedyna ofiara zielonej kuli węgierskiego pogranicznika. Jest więc już męczennik szlaku. Średnia dzienna sięga 200 „turystów”. Wypełniają się ambasady RFN w Pradze i Warszawie.

24 sierpnia. Pierwszy precedens. 108 „dzikich lokatorów” ambasady RFN w Budapeszcie uzyskuje za pośrednictwem Czerwonego Krzyża zgodę na legalny wyjazd z Węgier do RFN.

25 sierpnia. Niezapowiedziana podróż węgierskiego premiera Nemeta do Bonn. Drugi precedens. Minister spraw zagranicznych Węgier, Horn, ogłasza, że żaden obywatel wschodnioniemiecki mimo braku „odpowiednich dokumentów” nie zostanie siłą odesłany do NRD.

3 września. Prowizoryczny koniec wojny nerwów. Budapeszt ogłasza, że uciekinierzy z NRD będą mogli legalnie opuścić Węgry, teraz już z całym bagażem i własnym samochodem, jeżeli mają. Władze Austrii i RFN czynią odpowiednie przygotowania. W Bawarii, przy granicy austriackiej, powstają miasteczka namiotowe.

10 września. Trzeci precedens. Rząd w Budapeszcie ogłasza, że „czasowo zawiesza” umowę węgiersko-NRDowską, podpisaną w 1969 r., na mocy której wysokie podpisujące strony zobowiązane były do odsyłania do kraju pochodzenia obywateli drugiej strony nie posiadających ważnych dokumentów podróży.

11 września, godz. 3.30 rano. Pierwszy legalny uciekinier przekracza specjalnie otwarty punkt na granicy węgiersko-austriackiej.

20 września. Na żądanie NRD Czechosłowacja zamyka granicę z Węgrami. Droga do Austrii jest dla NRDowskich turystów zamknięta.

30 września. 6.000 obywateli NRD okupuje ambasadę RFN w Pradze. Warunki nie do życia. Groźba epidemii. Kohl dzwoni do Gorbaczowa, Genscher rozmawia w Nowym Jorku z Szewardnadze.

1 października. Czwarty precedens. NRD ogłasza „wydalenie” dzikich lokatorów z ambasady w Pradze. Jeszcze nigdy nie widziano tak szczęśliwych wydalonych. Pociągi z „wydalonymi” muszą tylko symbolicznie przejechać terytorium NRD. Inaczej wydalenie nieważne. NRD uprzedza: to tylko jednorazowy gest humanitarny.

2 października. Nie jednorazowy. W 24 godziny po wyjeździe pierwszych „wydalonych”, ambasada RFN w Pradze jest na nowo pełna: 6.000 kandydatów na wydalenie tłoczy się znowu wewnątrz wytwornego pałacu Lobkowiczów, a 5.000 czeka na wydalenie na zewnątrz. Kohl znowu dzwoni do Gorbaczowa itd. *da capo*. NRD ogłasza kolejne wydalenie. I tych z wewnątrz i tych z zewnątrz. Z Pragi i z Warszawy. Oraz ogłasza, że to ostatni raz, na dowód czego wprowadza wizy w ruchu osobowym z Czechosłowacją. W ten sposób, dla uczczenia 40-tej rocznicy powstania pierwszego (i najwyraźniej ostatniego) niemieckiego państwa socjalistycznego, NRD ciągle jest jedynym krajem centralnej Europy, którego obywatele nie mogą wyjechać w żadnym absolutnie kierunku bez zgody władz centralnych.

3 października. Zapowiedź przyjazdu Michaiła Gorbaczowa do wschodniego Berlina na uroczystości 40-lecia NRD. Dzięki „humanitarnej postawie władz NRD” pobyt Michaiła Gorbaczowa w NRD nie będzie (za bardzo) zakłócony telewizyjnymi reportażami z dramatu uchodźców koczujących w ambasadach RFN w Pradze czy Warszawie.

6 października. Gorbaczow w Berlinie.

8 października. Gorbaczow wrócił do Moskwy. Mur pozostał. Nowi kandydaci do wydalenia pukają do drzwi ambasad RFN w stolicach Europy wschodniej. Koniec mojego kalendarium. *Kultura* każe wysłać artykuł.

Tak jak z Leninem w 1917 roku, zaplombowane pociągi z ludźmi toczą się przez Niemcy. Ale w odwrotnym kierunku. Dosłownie i w przenośni.

Ile?

W NRD żyje ok. 17 milionów Niemców. W ciągu dziesięciu miesięcy 1989 roku z NRD do RFN przeniosło się ok. 120.000 osób, z tego połowa nielegalnie, licząc w tym Węgry i ambasad. Ocenia się, że do końca roku 1989 w RFN znajdzie się ok. 150.000 obywateli NRD.

Dużo to czy mało? Bardzo dużo. Pewnie, w stosunku do 17 milionów, to nie tragedia. Nawet w stosunku do 200.000 turystów NRDowskich obecnych na Węgrzech w chwili otwarcia granicy, liczba ok. 30.000 osób, które zamiast na północ pojechały na zachód, też nie jest czymś przerażającym (liczbowo, moralnie to naturalnie coś innego).

Ale jest to wiele razy więcej niż w roku ubiegłym. No a przecież chodzi o kraj, który i bez exodusu borykał się z poważnymi problemami demograficznymi. A do tego ucieka element najbardziej dynamiczny, to znaczy w zasadzie ludzie młodzi (połowa liczy między 20 a 40 lat) i wykształceni. To nie statystyka, to wyrok. W tym roku NRD sprowadziła 100.000 gasterbeiterów, w tym ponad 40.000 Wietnamczyków i 15.000 z... Mozambiku. Są także Polacy, ale to element niepewny ideologicznie i zachłanny materialnie: Polacy, ludzie znający życie, domagają się części zapłaty w dewizach twardych.

Politycznie biorąc, chodzi o nową jakość. NRD od zawsze sprzedawała swoich obywateli. Nawet specjalnie ich w tym celu składowała w więzieniach. Po zbudowaniu muru wyjazdy były rzadkie, właściwie do niedawna jeździli tylko emeryci. Procent udanych ucieczek był znikomy, 200 osób zapłaciło za to życiem. W zasadzie więc ruch był pod kontrolą. Władze NRD otwierały lub zamykały wentyl w zależności od potrzeb finansowych (za

dewizy lub towary), a potem politycznych, np. w 1987 r., kiedy Honecker wybrał się pierwszy (i chyba ostatni) raz po wojnie na drugą stronę muru.

W 1989 przyszło nowe: po raz pierwszy masowy ruch ludności za granicę odbył się nie tylko poza kontrolą i wolą władz NRD, ale nawet wbrew nim.

Skąd?

Łatwo się domyślić, dlaczego więją np. Żydzi z ZSSR albo Rumuni z satrapii rodziny Ceausescu, gdzie nie ma ani jedzenia, ani wolności. Można zrozumieć, dlaczego uciekają Węgrzy z Transylwanii. Są bowiem podwójnie męczenni: i jako Rumuni i jako Węgrzy. Nikt się nie dziwił, że uciekali młodzi Polacy w poszukiwaniu jakiejś perspektywy godziwego życia. Wiemy także, że wypchnięto właściwie siłą prawie 300.000 Turków bułgarskich.

Z NRD sprawa jest bardziej złożona. Wydawałoby się, że NRD daje swoim poddanym i godziwe życie — lepsze w każdym razie, niż gdzie indziej na wschodzie i ofiarowuje namiastkę nacjonalizmu, choćby w postaci zimnego wychowu rekordzistów i zbioru medali olimpijskich.

No a poza tym, psychologicznie patrząc, społeczeństwo NRD to co prawda wschodni, ale jednak Niemcy, zdyscyplinowani i wobec władzy grzeczni. Wydajna i wierna policja, zwłaszcza tajna (STASI) załatwia resztę. Zresztą, nawet dysydenci nie wychodzili tam poza krytykę niektórych sposobów funkcjonowania systemu, ale nie jego istoty.

Jakie są więc przyczyny exodusu? Jak może w cywilizowanym świecie, w sercu Europy, dojść do scen, jak te przed ambasadą RFN w Pradze, gdzie młodzi Niemcy w panice porzucali wszystko, deptali własne dzieci, byle zdążyć przed zamknięciem wrót do wolności.

Dlaczego?

Odpowiedź w paru krótkich punktach.

Po pierwsze, NRD to jedyny — nie wspominam o Rumunii — kraj europejski, który otwarcie poparł masakrę w Pekinie. Nie chodzi akurat o ten szczególny fakt, ale o mentalność i widzenie świata, które władze NRD do zajęcia takiego stanowiska doprowadziły. KC partii, parlament (jak to się nazywa) i prasa NRDowska nie tylko przyjęły ze „zrozumieniem fakt użycia siły dla przywrócenia porządku i bezpieczeństwa”, ale

oskarżyły prasę zachodnią o manipulowanie faktami i wrogą propagandę. W takim kraju nie jest przyjemnie mieszkać. To samo w innej skali dramatu dotyczy zmian w Polsce. Prasa NRDowska zrealizowała prawdziwy *scoop* kiedy, informując o wyborach w Polsce, nie tylko nie podała ich wyników, ale nawet potrafiła nie wymienić ani razu słowa „Solidarność”.

Po drugie, w NRD jest szaro i nudno, nic się nie zmienia. Ucieczki odzwierciedlają, jak wynika z rozmów z „wydalonymi”, poczucie beznadziei, zwłaszcza że wszystkimi kanałami, w przenośni i dosłownie, do mieszkańców NRD dochodzi obraz sytuacji na zachodzie, ale także rozmiar zmian w Polsce, na Węgrzech, i nawet w ZSSR. Otóż nie tylko nic z tego nie przenosi się do NRD, ale odwrotnie, władze negują jakkolwiek potrzebę i perspektywę zmian. „Fakt, że sąsiad maluje swoje mieszkanie — powiada Honecker — nie znaczy, że my też musimy odnowić swoje”. Młodzi Niemcy w NRD są przekonani, że za ich życia NRD nie stanie się krajem wolniejszym i bardziej sprawiedliwym, czy choćby krajem nadziei na wolność i sprawiedliwość. Wolą więc póki czas, spróbować żyć po ludzku gdzie indziej.

Po trzecie, właśnie „póki czas”. Tam gdzie nie ma nadziei, tam jest strach. NRD, i słusznie — jak się okazuje — jest krajem strachu przed nagłym zamknięciem granic. Powiadają więc: wujku, póki otwarte jest „okno możliwości”, póki granica węgierska jest otwarta, póki można wejść do ambasad RFN w Pradze czy Warszawie, póki nie strzelają na murze, bo pewnego dnia kurtyna znowu opadnie i będzie za późno. To prawdziwy paradoks: w NRD czasy Breżniewa i jego stagnacji były czasami nadziei. Na coś rzekomo czekano, wiedziano, że się to musi zmienić. Pięć lat po przyjeździe Gorbaczowa Niemcy z NRD na nic już nie czekają.

Po czwarte, pesymizm dotyczy także reżymu. Uciekinierzy powiadają, że panuje tam atmosfera końca królestwa, klimat moralnego zużycia albo moralnego upadku. Nikt w nic nie wierzy, poza tym, że następca Honeckera, który kończy 77 lat i jest ciężko chory, będzie jeszcze gorszy. Na miejsce potomków i ofiar Hitlera i Stalina przyjdą — powiadają uciekinierzy — agenturalni cynicy.

Po piąte, wchodzi w grę czynnik psychologiczny jedyny w swoim rodzaju. W 1988 r. RFN przyjęła, jak własnych synów, ponad 200.000 Niemców z kilku krajów Europy wschodniej. To są bardzo dziwni Niemcy. Są wśród nich Niemcy, którzy choć zwani „znad Wołgi”, przyjeżdżają z Kazachstanu, to znaczy potomkowie tych, których na rosyjską ziemię sprowadziła jeszcze 300 lat temu Katarzyna Wielka. Przyjeżdżają Szwaby (nie ma w tym niczego obraźliwego) z Rumunii, kupowani po

12.000 DM za sztukę od Ceaucescu, który za dewizy sprzedałby, jak wiadomo, i żonę, gdyby znalazł się nabywca. Przyjeżdżają wreszcie Niemcy z Polski, gdzie, jak się nagle okazało, żyją setki tysięcy nowych *Volksdeutsche* i gdzie jak się dowiedziałem z prasy polskiej, płaci się dziś wysoką cenę za dowód, że się miało dziadka w Wehrmachcie. W skrócie przyjeżdżają ci, o których ich zachodni bracia powiadają bez wielkiej sympatii, że ich jedyną więzią z niemieczynią jest bawarski owczarek.

Otóż, obywałe NRD nie chcą się z tym pogodzić. Wszyscy ci przyszywani Niemcy, protestują poddani Honeckera, mogą dziś łagodnie lądować w zachodniej demokracji i dobrobycie, a my — prawdziwi Niemcy — nie możemy. Wniosek jasny: wszystkie drogi prowadzą do Bonn.

Co dalej?

Nic dalej, albo niewiele. W tych warunkach, a wymieniałem tylko niektóre elementy exodusu, NRDowcy będą wykorzystywać każdą szczelinę w murze, tranzyt przez ambasad RFN, dziury w granicy bez zasieków, deltaplany i nurty Łaby czy Dunaju, aby się wydostać na zachód. Exodus będzie trwać. NRD bowiem zmienić się nie może, a przepaść między sklerotyczną skorupą państwa wschodnioniemieckiego, a wyobraźnią i aspiracjami jego obywateli będzie tylko rosła. Podobnie jak ich inwencja w pokonywaniu zasieków, znowu dosłownie i w przenośni.

NRD bowiem to twór specjalny. NRD jest skazana na pozostanie fortecą. NRD to coś innego niż tylko dowód na anachronizm komunizmu i niż rezerwuariat młodych dla gospodarki RFN. To także wyrok geopolityki. Stawką tej gry nie jest wielkość exodusu, ale los samego państwa.

Reforma demokratyczna, taka która by przekonała mieszkańców NRD, że w tym kraju można i warto żyć, taka reforma zakłada naturalnie — widać to w Polsce — odideologizowanie państwa, wyeliminowanie priorytetu czynnika partyjnego, decydującego o losie obywatela. Zakłada obalenie tabu, miejsca komunizmu i partii, koniec monopolu nomenklatury, koniec drętwej mowy i bełkotu indoktrynacji marksistowskiej. Otóż taka reforma w NRD nie jest możliwa. Z dwóch powodów.

Po pierwsze, NRD nie może się obyć bez ideologii. Polska np. może, i nawet bardzo tego pragnie, żyć bez komunizmu. Polska przecież żyła, i to lepiej, bez komunizmu przez prawie tysiąc lat. NRD jednak nie może, NRD to owoc i kształt komunizmu. Odjąć jej ideologię, to znaczy odjąć jej prawo istnienia, rację bytu, sens jej powstania. Komunizm to jedyne

źródło legitymacji NRD. Komunizm to zasadnicza różnica między NRD i RFN. Bez komunizmu nie ma różnicy z RFN. NRD jest wtedy niepotrzebna. Jedno państwo niemieckie wystarczy.

Za ile?

I to jest właśnie *po drugie*. Taka właśnie NRD jest skazana na istnienie. NRD będzie ostatnim dzieckiem zimnej wojny, które zniknie z mapy Europy.

Dlatego byli naiwni ci Niemcy, którzy z okazji przyjazdu Gorbaczowa na uroczystości 40-lecia szli wołając: „Gorby, Gorby” i dodawali jednym tchem *Wir wollen aus*. To są bowiem pojęcia ze sobą sprzeczne. Gorbaczow nie przyjechał do Berlina wyposażony w trąbę jerychońską dla obalenia muru. Wprost przeciwnie. Gorbaczow przyjechał, aby powiedzieć:

a) że, owszem, pomógł załatwić sprawę uchodźców. Uczynił tak gdyż nie mógłby sobie pozwolić — *noblesse oblige* — na picie szampana z Honeckerem, podczas kiedy tysiące rodzin niemieckich uchodźców koczowałyby w eksterytorialnych, ale okropnych warunkach w ogrodach ambasad RFN w Pradze czy Warszawie.

b) że jednak nie wyraża zgody na tego typu exodus i że nie należy liczyć na niego w przyszłości. Takie masowe i spontaniczne porzucanie NRD oznacza w specyficznych warunkach niemieckich przełamanie ważnej bariery psychologicznej. Exodus 1989 to ruch niekontrolowany, żywiołowy, a na żywioł prawdziwy socjalizm pozwolić nie może. Nie może, albowiem ruch taki, choć liczbowo niegroźny (już o tym wspominaliśmy), oznacza, *de facto*, symboliczny początek jednoczenia się Niemiec. To prawda, że chodzi o jednoczenie, że tak powiem, „prywatne” i to na terenie jednego tylko z dwóch państw niemieckich, ale nawet taki skromny początek może się odbyć tylko w takim trybie, w takim momencie i w takich okolicznościach, jakie odpowiadać będą scenariuszowi napisanemu na Kremlu. Taki scenariusz nie jest jeszcze napisany. I tak szybko nie będzie.

Kiedy?

Jeszcze nie jest? Dlaczego? Z kilku powodów. Oto one, niekompletne i w skrócie, naturalnie.

Po pierwsze, przynależność NRD do sowieckiej strefy wpływów stanowi podstawową równowagę sowieckich strat w drugiej wojnie światowej. NRD to zasadniczy element geopolityki sowieckiej, jej polityki europejskiej, równowagi sił na świecie

w ogóle. To kamień węgielny całej imperialnej konstrukcji sowieckiej, to miejsce, w którym, według Kremla, od Stalina do Gorbaczowa, gra idzie o przyszłość ZSSR.

Naturalnie można sobie wyobrazić powrót Kremla do pomysłu Stalina z 1952 roku: zjednoczenie w zamian ze neutralizacją. Ale trzeba mieć dużo fantazji, aby uwierzyć, że połączone, prawie 80-milionowe Niemcy, o dochodzie narodowym przewyższającym połowę dochodu narodowego ZSSR, mogą być neutralne. Nie mogą. To dla ZSSR nie byłby dobry interes.

Oczywiście wszystko jest możliwe, polityka zna nagłe zwroty w stosunkach międzynarodowych. Układ Hitler-Stalin z sierpnia 1939 pokazał, jak bardzo i szybko mogą się zmieniać układy geopolityczne. ZSSR, który wykonał taką wolę w 39 r. może ją powtórzyć, w innym układzie, 50 lat później. Ale na razie, w październiku 1989, można bez ryzyka przepowiedzieć, że zjednoczenie Niemiec figurować będzie na ostatnim miejscu porządku dziennego ostatniej fazy ostatnich negocjacji Wschód-Zachód. Potem panować już będzie nirwana i ogólne całujemy się. Na razie, jak wszyscy widzieli w telewizji, całują się ciągle nie Wschód z Zachodem, a Honecker z Gorbaczowem. W usta. Brrr...

Po drugie, pieriestrojka, operacja równie wybuchowa co na razie bezowocna, zagrożona przez bezwład systemu, bierność klasy robotniczej i konflikty narodowościowe, nie może być dodatkowo wstrząsana bardzo drastycznymi i gwałtownymi konwulsjami międzynarodowymi. Ewakuacja Afganistanu, operacja bolesna ale w końcu na drugorzędnym froncie, ciągle nie jest zakończona w sferze psychicznej i psychologicznej. Ewakuacja NRD byłaby operacją bezkrwawą, ale psychicznie niebezpieczną. *Pieriestrojka* potrzebuje spokoju na Kremlu. 400.000 żołdatów w NRD, to więcej niż GI US od Neapolu do Norwegii. Sowieckie bazy w NRD gwarantują spokój od zachodu.

Po trzecie, NRD, nawet obecnie, kiedy jej stopa wzrostu gospodarczego ma tendencję spadkową, stanowi ogromnie ważny element ekonomicznego bilansu ZSSR. Tak było zawsze, ale tak jest zwłaszcza teraz, po bankructwie Polski.

Nie trzeba się więc dziwić, że Michaił Gorbaczow jest taki delikatny z Honeckerem, mimo iż Niemiec nie lubi *pieriestrojki*, gardzi *glasnostią* i nawet czasem nie całuje, a wprost pluje w twarz.

W tym rozumowaniu Gorbaczow wcale nie jest osamotniony. Ani na wschodzie, ani na zachodzie. Wytarte zupełnie już powiedzonko Mauriaca, który tak bardzo kochał Niemcy, że cieszył się z ich podwójności, jest ciągle aktualne. Z tą różnicą, że nie chodzi już o kochanie, a o strach.

Gospodarczy najpierw: Francja czy Anglia wcale nie pragną

dołączenia potencjału gospodarczego NRD do ekonomicznej super-potęgi RFN. Polityczny strach także: nikomu nie spieszo do chwili, kiedy połączone i potężne gospodarczo Niemcy sformułują odpowiadające tej potędze wymagania polityczne. Nie chodzi tu nawet o prawdziwy „gorbacz”, do którego doprowadzili się Niemcy przy okazji niedawnej wizyty sowieckiego przywódcy w RFN. Rząd z Bonn się sprzeciwił, bo tak mu dyktowała polityka wewnętrzna rządzącej koalicji, i — chyba po raz pierwszy od wojny — amerykańscy stratedzy ulegli, choć byli przekonani o wojskowej i politycznej celowości tej modernizacji. Od tej kapitulacji USA do krzyku o groźbie hegemonii RFN w Europie jest już tylko jeden krok. Niektórzy go zrobili...

Na wschodzie także nie widać entuzjastów przyznania Niemcom prawa do samostanowienia. Jest to, z punktu widzenia Wschodu, bardzo selektywne prawo. Polakami np. targają wątpliwości. I chcieliby, i boją się. Z jednej strony przydałaby się tej nowej Polsce dobra, długa granica z demokratycznymi i bogatymi Niemcami. Z drugiej jednak strony boją się nawrotu super-potężnych Niemiec do nostalgii za mapą z r. 1937 i granicami, o których marzy np. p. Weigel. Jest to autor najgłupszego manewru politycznego w powojennej historii. Jego wołanie o granice z 1937 r. niczego jemu nie przyniosło (skrajna prawica już dawno opanowała ten odcinek propagandy), a w Polsce za to umocniło tych, którzy twierdzą, że jedyną gwarancją polskich granic jest braterska opieka armii czerwonej. Ale mniejsza, taka jest cena demokracji.

Ważniejsze, że jest jeszcze trzecia strona. Gorbaczow skłonny jest, widać to dobrze na przykładzie Polski, pójść bardzo daleko w rozluźnieniu sowieckiego pojęcia tolerancji wobec tego, co się dzieje w krajach strefy pojałtańskiej, inaczej mówiąc, w przesuwaniu progu doktryny Breżniewa i sowieckiej interwencji. Ale w pojęciu wielu strategów tolerowanie tak ostrych eksperymentów na drodze od socjalizmu do kapitalizmu, jak np. rząd Solidarności, jest możliwe tylko dlatego, iż ludzie Kremla wiedzą, że na zachód od Mazowieckiego czuwa kilkadziesiąt czerwonych dywizji. Zresztą Polacy wiedzą, że nie wszystkie dywizje sowieckie ewentualnie, po najdłuższym życiu, wycofane z NRD, zostaną rozlokowane za Uralem. Niektóre zostaną po drodze. W pobliżu Karpat. To nie jest zachęcająca perspektywa.

Dla kogo?

Dla ogromnej większości Europejczyków istnienie NRD jest czynnikiem stabilności politycznej kontynentu. Pierwszym

krajem, który jest tego zdania, jest sama RFN. Ona też nie chce żywiołowego jednoczenia i jest skłonna nawet płacić za polepszenie bytu mieszkańców NRD. Byle tylko, broń Boże, nie został zachwiany *status quo* w centrum Europy.

Osobiście przypuszczam, że strach przed zjednoczeniem Niemiec jest mało uzasadniony, że dopisanie 17-milionowej NRD do 60 milionowej RFN nie zmieniałoby zasadniczo obecnego stosunku sił w Europie, ale przyznaję, że jestem raczej odosobniony.*

Uważam jednak przede wszystkim, że czasy się zmieniły i że nie zachwianie *status quo*, a jego utrzymanie za wszelką cenę i na przekór wszystkiemu stanie się już niedługo czynnikiem destabilizacji, a m.in. spowoduje eksplozję w NRD. Jeżeli bowiem *pieriestrojki* w Europie mają się udać, czy choćby zacząć, to bardzo wiele *status-ów quo* będzie musiało ulec zachwianiu. Tak jak się to np. dzieje w ZSSR czy w Polsce, gdzie codziennie jakiś kiedys uświęcony „wieczny” porządek idzie w gruzy.

Nie chodzi więc o samo zjednoczenie, a o to, jaki to zjednoczenie miałyby mieć charakter. 1 stycznia 1993 zakończony zostanie — jak go ktoś nazwał — „największy w historii transfer suwerenności z 12 państw do jednej organizacji międzynarodowej”, zacznie funkcjonować, mówiąc mniej poetycko, już nie wspólny, a po prostu jedyny rynek (*marché unique*) w Europie zachodniej. Będzie chyba wspólny pieniądz, ale przede wszystkim zacznie funkcjonować coś w rodzaju konfederacji politycznej. Ta konfederacja będzie — jak to zresztą powiedział Adenauer — jedyną siłą zdolną naprawdę utrzymać RFN czy całe Niemcy w orbicie wspólnoty demokratycznej, przekonać Niemców, że należą nie do Europy środkowej a zachodniej, wyhamować niemieckie tendencje kolonizacyjne w stosunku do Europy wschodniej.

Założenie jest proste: zjednoczenie narodowe Niemiec może być tylko pochodną likwidacji podziału Europy. A nie odwrotnie. No, ale to zupełnie inny temat.

Na razie pociągi znowu toczą się przez Niemcy, przewożąc ludzi w zaplombowanych wagonach, na razie znowu jakiś naród musi „głosować nogami”. Nie wiem, czy ktoś, poza Kopalińskim, pamięta kto i kiedy wymyślił ten znakomity skrót. Otóż pierwszy raz usłyszano to zdanie z początkiem 1917 roku,

* *Kultura* od dawna stała na stanowisku zjednoczenia Niemiec. Podzielając poglądy Leopolda Ungera, wydaje nam się, że jego ocena jest zbyt pesymistyczna. Naszym zdaniem zjednoczenie w takiej czy innej formie nastąpi w niedługim czasie. Niestety odnosimy wrażenie, że w kraju nikt o tym nie myśli poważnie. REDAKCJA

wypowiedziane było po rosyjsku i dotyczyło masowych dezercji żołnierzy z rozkładającej się armii carskiej. Sformułował je Lenin.

Siedemdziesiąt lat później i ten pociąg jedzie w odwrotnym kierunku.

Leopold UNGER

7 października 1989

Europa i narody

Od 31 sierpnia do 3 września odbywał się w Krakowie zorganizowany staraniem Deutsches Polen-Institut w Darmstadt oraz Towarzystwa Lotniczego Lufthansa kongres poświęcony przyszłości Europy, w którym wzięła udział młodzież z Polski i RFN. Obrady prowadzone były w języku niemieckim. Temat spotkania: „Europa i narody”. Wygłoszono cztery referaty: Jerzy W. Borejsza mówił na temat „Polska i Europa”, Jan Prokop próbował odpowiedzieć na pytanie „Czy Polska leży w Europie?”, Günter Gaus, były redaktor tygodnika *Der Spiegel*, referował problem „Niemcy i Europa”, wreszcie Jan Józef Lipski przedstawił zagadnienie „Niemcy i Polacy jako protektorzy Europy”. W trakcie dyskusji wykrystalizowały się dwa stanowiska, z których pierwsze — kładące nacisk na konieczność kontroliowania i hamowania obserwowanej dziś eksplozji aspiracji narodowych przez instytucje państwowe i międzynarodowe — reprezentował Gaus, zaś drugie — zakładające spełnienie dążeń emancypacyjnych przez przyspieszone poszerzenie sfery wolności — polscy referenci, przede wszystkim zaś Lipski.

To drugie stanowisko poparła w dyskusji większość obecnych. Zwracano uwagę na fakt, że przedstawiona przez Gausa propozycja stworzenia międzynarodowego centrum dyskusyjnego dla rozwiązywania problemów Europy Środkowej jest stanowiskiem zachowawczym, stawiającym interesy państwowe ponad ambicjami narodowymi i że postawa ta wynika z obaw przed skutkami naruszenia dotychczasowej względnej równowagi, ustalonej w wyniku pojałtańskiego podziału stref wpływów. Obecne rozbudzenie narodowych aspiracji, argumentowano, jest procesem nieodwracalnym, zaś jego hamowanie musi doprowadzić do wzrostu napięcia na kontynencie. Podkreślano, że postawa reprezentowana przez Gausa przekreśla zasadę suwerenności i równouprawnienia narodów. Prokop przeciwstawił polityce gabinetowych uzgodnień tradycje Europy jako symfonii swobodnych głosów jej mieszkańców. Podczas wymiany zdań podkreślono kilkakrotnie, że wizja przyszłej Europy, stanowiącej wspólną własność społeczeństw, musi przezwyciężyć dominujący dotąd lęk przed Związkiem Sowieckim. Lipski podkreślił konieczność oparcia wzajemnych stosunków — w tym szczególnie polsko-niemieckich — na zasadach moralnych, postulował otwartość w analizie zasłóści historycznych, wskazywał też na niezbędność otwarcia granic między wschodem i zachodem Europy.

Zebrani zaapelowali o udział polskich intelektualistów w tworzeniu wspólnego literackiego dodatku do czterech znanych pism europejskich: niemieckiego *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, włoskiego *L'Indice*, francuskiego *Le Monde* oraz brytyjskiego *Times Literary Supplement*. Projekt ten przedstawił szef działu felietonu pierwszego z tych pism, Frank Schirrmacher.

Uczestnicy spotkania obejrzeli także film Zanussiego „Nocne drogi”, wysłuchali wykładu prof. Józefa Wolskiego na temat „Sonderaktion Krakau”, wreszcie wzięli udział w wieczorze trojga poetów krakowskich — Wisławy Szymborskiej, Ewy Lipskiej i Bronisława Maja, których utwory przełożył Karl Dedecius.

L.S.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London 3W5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madam C. Piquard-Zabłocki,

12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Wywiady «Kultury»

Dziennik opozycji

Z KRZYSZTOFEM LESKIM Z WARSZAWSKIEJ GAZETY
WYBORCZEJ ROZMAWIA RENATA GŁOWACKA

RENATA GŁOWACKA: — W poniedziałek 8 maja 1989 pojawił się najpierw w punktach kolportażu a później w kioskach „Ruchu” 8-kolumnowy dziennik z charakterystyczną, czerwoną czcionką pod pionowo umieszczoną winietą. W notce redakcyjnej pierwszego numeru czytamy: „po z górą czterdziestu latach ukazuje się pierwszy w Polsce, a chyba i w całym bloku, normalny, wielkonakładowy dziennik niezależny”. Jak doszło do wydania tego pierwszego numeru? Jak doszło do powstania pisma?

KRZYSZTOF LESKI: — Istnienie *Gazety Wyborczej* postanowione zostało przy Okrągłym Stole, przy podstoliku do spraw środków masowego przekazu. Było to jedno z nielicznych, konkretnych postanowień tego podstolika. Przez cały luty trwały gorące spory, ale już w połowie marca było jasne, że opozycja dostanie przydział papieru na gazetę codzienną. Funkcjonowała ona właśnie jako *Gazeta Wyborcza* już w tym porozumieniu. Wbrew wcześniejszym obawom, że uzyskamy zgodę tylko na okres kampanii wyborczej, w końcowym porozumieniu podstolika znalazł się zapis, że *Gazeta* przekształci się po wyborach w codzienną gazetę opozycji.

Po zakończeniu Okrągłego Stołu długo nie było wiadomo, kto i jak będzie ten dziennik organizował. Co prawda już w marcu Adam Michnik został mianowany na stanowisko redaktora naczelnego, ale decyzja ta nie została ogłoszona i w pewnym momencie cała sprawa stanęła pod znakiem zapytania. Brak

decyzji najwyższych gremiów czy, mówiąc wprost — Wałęsy — mocno nam utrudniał przygotowania. A naciski na to, by jak najszybciej zacząć wydawanie *Gazety*, były olbrzymie. Od zaistnienia tego pisma miało zależeć częściowo nasze powodzenie w kampanii wyborczej.

W pewnym momencie zaczęto rozpowszechniać plotki, że *Gazeta* odrzuca kolejne lokale zaproponowane przez władze miejskie. Prawda była taka, że proponowano nam klitki, zupełnie nie do przyjęcia. Na przełomie kwietnia i maja przedstawiono Helenie Łuczywo lokal przy Iwickiej 19 — żłobek przeznaczony do remontu — gdzie wprowadziliśmy się na początku maja.

Pomysł był taki, żeby podzielić gazetę na działy według stron. Wcześniej robiliśmy więc nie tyle próbne numery, co próbne strony. W piątek 5 maja udało nam się wydać numer próbny, 100 egzemplarzy. Ten numer gdzieś tam, w niektórych archiwach spoczywa i lepiej, żeby go zbyt wiele oczu nie oglądało...

R.G.: — Nie wyszedł na światło dzienne?

K.L.: — Z założenia. Znalazły się w nim jeszcze teksty dość słabe. Ale szczerze mówiąc, byłem przerażony. Od początku przyszłego tygodnia mieliśmy zacząć wydawać ten dziennik, tymczasem był piątek... Pomimo wszystko zapadła decyzja, że w niedzielę, z poniedziałkową datą 8 maja naprawdę ruszamy. Mnie wydawało się to wtedy dość nierealne, mimo, że pierwszy numer zapowiadał się względnie łatwo. Wewnętrzne 6 stron zajmowała lista kandydatów, akurat kończyła się Krajowa Konferencja Delegatów, zbierały się w Warszawie poziome struktury ZSL-u, zapełnianie kolum informacyjnych też nie wydawało się trudne. Ale należało pamiętać, że ten pierwszy numer oznacza, że potem już codziennie...

Pierwsze dwa tygodnie były zupełną prowizorką. Z największymi kłopotami borykał się w dziale krajowym, w którym ostatecznie znalazłem się od pierwszego numeru. Niestety, osoby odpowiedzialne za zorganizowanie tego działu nie bardzo wzięły sobie do serca swoje obowiązki, myśląc raczej o *Gazecie Wyborczej* jako całości i że w najgorszym razie skorzystamy z PAP. Dla mnie było oczywiste, że oprócz krajowe informacje w tej właśnie gazecie na PAP-ie, to położyć gazetę od pierwszego numeru. Było sporo kłótni na ten temat, ostatecznie z PAP-a do dziś skorzystaliśmy bezpośrednio może dwa czy trzy razy...

W całej redakcji mieliśmy do dyspozycji najpierw dwa, potem cztery telefony, a korzystały z nich wszystkie działy plus kolportaż i administracja. To był czas rozruchu i nie da się

opisać tego, co się wtedy działo. Jakoś zapelnialiśmy te kolumny informacyjne — lepiej czy gorzej. Nawet nie mam czasu, żeby wrócić do tych pierwszych numerów...

R-G.: — Jak uporaliście się z cenzurą?

K.L.: — Kiedy dział krajowy przekazuje swoją produkcję do sekretariatu redakcji — traci z tym kontakt. Negocjacje z cenzurą i użeranie się z nią to sprawa sekretariatu. Celuje w tym Helena Łuczywo, ale także Julek Rawicz, Ernest Skalski. Adam Michnik, jeśli akurat jest, bywa doskonałym negocjatorem, potrafi nawymyślać cenzurze, wziąć ją pod włos... Negocjacje są niestety konieczne. Zdarza się nawet, że zgadzamy się na zmianę jakiegoś słowa bez zaznaczenia ingerencji. A ingerencji jest rzeczywiście sporo. Cenzura ma prawo wstrzymać tekst do 12 godzin (to nie oznacza zdjęcia i wtedy nie można zaznaczyć ingerencji). Jeżeli o piątej po południu tekst zostanie wstrzymany na 12 godzin, to o piątej rano nie jest nam już do niczego potrzebny. Bardzo rzadko zdarza się tak, że warto walczyć o tekst, by umieścić go nawet po trzech dniach. Największe kłopoty z cenzurą ma dział zagraniczny, w którym informacji jest najwięcej (zwłaszcza z Europy Wschodniej). Zdarzyło się, że cenzura zdjęła dosłowny cytat z oficjalnej, budapeszteńskiej gazety rządowej. Trzy dni trwały negocjacje o oświadczenie młodego chłopaka, jednego z przywódców strajku na pekińskim Placu Niebiańskiego Spokoju, który, jako poszukiwany, zdołał się przedostać do Hong-Kongu. Wygłosił tam oświadczenie, w którym m.in. nazwał władze chińskie faszystowskimi. Cenzura to u nas zdjęła. Nie pomogły wyjaśnienia, że jest to cytat, nie pomogła dramatyczna rozmowa Michnika z cenzorem. Po trzech dniach ostatecznie dano nam zgodę na publikację tego materiału.

Podkreślam, że ingerencja cenzury w gazecie codziennej jest czymś zupełnie innym niż w tygodniku, gdzie zwykle jest dużo więcej czasu na zastąpienie zdjętego tekstu innym.

R.G.: — Pierwsze numery pisma poświęcone były niemal w całości wyborom do odrodzonego po pół wieku Senatu i pierwszym w PRL w 35% demokratycznym wyborom do Sejmu. Stąd nazwa — Gazeta Wyborcza. Mimo wielu propozycji czytelników — po wyborach nazwa pozostała...

K.L.: — Głównie dlatego, że nie było lepszego pomysłu. W plebiscycie czytelniczym, który zorganizowaliśmy, napłynęło wiele różnych propozycji. Wiele z nich wydawało się niestrawnych, nie do wymówienia. W końcu to powinien być tytuł, który daje się szybko rzucić kioskarcie, żeby otrzymać to, czego się chce. Sporo było propozycji, które nawiązywały do bardzo

patriotycznych tradycji, ale w gruncie rzeczy czytelnicy chyba nieświadomie proponowali nazwy, które nie tylko dla specjalistów wiążą się wyraźnie z tradycją Narodowej Demokracji. *Gazeta Wyborcza* oczywiście nie mogła sobie pozwolić na to, żeby przyjąć nazwę związaną wyraźnie z jakimkolwiek kierunkiem politycznym (to jest moje prywatne zdanie, ale podejrzewam, że większość redakcji by je podzieliła). Nie mogła to być więc *Gazeta Polska* ani tym bardziej *Gazeta Narodowa*. Proste *Gazeta*, co niektórzy proponowali i co miało także zwolenników w redakcji, ostatecznie upadło jako zbyt pretensjonalne. W rezultacie pozostaliśmy przy *Gazecie Wyborczej*. Argument dodatkowy pochodził z listu czytelniczki, że słowo wyborczy a dawniej miało inne jeszcze znaczenie — nie wiązało się z wyborami, ale oznaczało coś... wyborowego. *Gazeta Wyborcza*, czyli *Wyborowa* — czyli po prostu wybór rzeczy najlepszych, najważniejszych. Myślę, że ten tytuł już się zakorzenił. Chyba brzmi nienajgorzej. I chyba wszystko jedno jak to się nazywa, byle nie nazywało się *Gazeta Polska*, byle nie nosiło tytułu zbyt łatwo kojarzącego się z endecją...

R.G.: — Skoro już o polityce... *Gazeta nie ukrywa swoich pro-solidarnościowych sympatii, dopuszczając na łamy również ideowych przeciwników. Kogo reprezentuje Wasze pismo?*

K.L.: — Ja nie wiem, co to znaczy „prosolidarnościowe sympatie”, bo jeżeli mówimy o polityce, to nie wiem, co to jest obecnie „Solidarność”. Jeżeli natomiast mówimy o Obywatelskim Klubie Parlamentarnym, myślę, że to, co dzisiaj wydaje się oczywiste dla większości obserwatorów-insiderów, w ciągu najbliższych tygodni stanie się oczywiste dla wszystkich na zewnątrz — że OKP nie jest żadnym monolitem i że „Solidarność” jest bardzo daleka od politycznej jednolitości. Zgoda dotyczy spraw podstawowych. Wszyscy nie chcemy ograniczeń demokracji, nie chcemy cenzury, ale to się może okazać za słabą płaszczyzną porozumienia. Tak dalece, że w tej chwili nie bardzo wiem, co znaczy „prosolidarnościowa”.

Gazeta niewątpliwie w jakiś sposób chce i próbuje reprezentować stanowisko Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, bo w tej chwili najpełniej zdaje się on uosabiać politycznie „Solidarność”. Powiedziałem: chce i próbuje, pytanie — czy jej to wychodzi (abstrahuję tu od strony szóstej, na której znajdują dla siebie miejsce wszelkie istniejące w kraju odłamy ruchów politycznych). Zdarzają się również polemiki. Artykuł Michnika „Wasz prezydent, nasz premier” spotkał się w *Gazecie* z oporem tak silnym, że nawet dla mnie było to dość mile zaskakujące, iż nie ma problemu z zamieszczeniem na łamach szeregu

mocno krytycznych wobec naczelnego wypowiedzi (a były to wypowiedzi rzeczywiście ostre, niektóre odmawiały Michnikowi podstawowego rozsądku politycznego).

Natomiast generalnie nie wiem, jakie jest dzisiaj stanowisko Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i co oznacza „polityczne stanowisko 'Solidarności'”. Złośliwi mogą twierdzić, że jest to akceptacja Jaruzelskiego jako rzekomo jedyne kandydata na prezydenta. Ale 222 członków OKP głosowało jednak przeciw i że należałoby raczej takiej intencji doszukiwać się u tych kilku nastu, którzy powstrzymali się od głosowania, nie wzięli w nim udziału bądź unieważnili swoje głosy (ze zdziwieniem wnikać w ich intencje i nie do końca je rozumiem). Trudno powiedzieć, że *Gazeta* reprezentuje stanowisko OKP w sprawach, w których takiego stanowiska nie ma...

Chcielibyśmy relacjonować to, co dzieje się w polityce w tym kraju. Oczywiście sprawy gospodarcze są jak najbardziej istotne, tyle, że akurat moja wiedza o nich jest ograniczona — to nie jest moja specjalność.

R.G.: — *Raczej informowanie o programach niż propagowanie konkretnych?*

K.L.: — Myślę, że tak. Na razie, z wyjątkiem kampanii wyborczej, kiedy opublikowaliśmy program wyborczy „Solidarności”, właściwie nie było u nas żadnych tekstów, które wyraźnie propagowałyby jakiś kierunek myślenia. Może z wyjątkiem niektórych wstępniaków Michnika...

R.G.: — *...Reprezentatywnych dla zespołu redakcyjnego?*

K.L.: — Reprezentatywnych dla Michnika. Adam podpisuje je własnym nazwiskiem, nigdy nie udają wstępniaków redakcyjnych. Wiem, że jest wokół nich w redakcji sporo kontrowersji, sam mam do niektórych poważne zastrzeżenia. Oczywiście, fakt, że Adam jest naczelnym *Gazety* i zarazem jednym z głównych polityków w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym ma jakieś znaczenie i w jakimś stopniu wpływa na linię *Gazety*. Ale dopóki inne stanowiska będą mogły być prezentowane, nie wydaje mi się to niebezpieczne.

R.G.: — *„Jesteśmy grupą kilkudziesięciu dziennikarzy z różnym doświadczeniem zawodowym” — czytamy we wspomnianym „wstępniaku” do pierwszego numeru. Oprócz dziennikarzy w Gazecie znalazły się nazwiska polityków, artystów, ekonomistów, literatów. Jest krytyk muzyczny, jest dziennikarz sportowy. Kto pisze w Gazecie Wyborczej? Jaki jest jej zasięg?*

K.L.: — Gros pracy opiera się na ludziach z *Tygodnika Mazowsze*. Jest to spore grono o niespecjalnie znanych nazwiskach. Jest trochę młodzieży. Dział zagraniczny w dużej mierze opiera się na ciężkiej pracy stażystów (musimy pamiętać, że umów o pracę wciąż jeszcze nie ma, bo dyrekcja nie miała czasu, żeby przedyskutować system płac, system zatrudnienia itd.) Gromadka młodych ludzi z dwoma bardziej doświadczonymi kolegami z *TM* przygotowuje kolumnę trzecią, publicystyczną, sporo młodych pracuje w dziale reportażu, wypełniając kolumny czwartą i piątą. Znane nazwiska raczej współpracują z nami. Są to ludzie gotowi niemal na każde zawołanie, żeby napisać komentarz krótszy czy dłuższy.

R.G.: — *Jak wygląda współpraca z prasą regionalną?*

K.L.: — Nie zauważyłem jej. Mamy korespondentów regionalnych w kilku miastach, ale w ogóle z tym jest niedobrze. Do tej pory nie mamy na przykład swojego korespondenta w Gdańsku i nie stać nas na to, żeby regularnie, co tydzień, wysyłać tam kogoś na czwartkowe konferencje Lecha. O współpracy z prasą regionalną właściwie nic mi nie wiadomo. Być może kogoś krzywdzę mówiąc to.

R.G.: — *Korespondencje zagraniczne?*

K.L.: — Z tym nie było kłopotów. Jest sporo osób, zwłaszcza z Paryża. Także z Londynu, Brukseli, z kilku innych miast. W Europie Wschodniej (za sprawą personalnych kontaktów szefa działu zagranicznego — Wojtka Kamińskiego) także mamy współpracowników, którzy chętnie komentują dla *Gazety* ważniejsze wydarzenia. Głównie na Węgrzech i w Związku Radzieckim. Z NRD i Czechosłowacji pewnie przyjdzie jeszcze trochę poczekać...

R.G.: — *Wspomniałeś o nazwiskach nowych. Zaznaczmy, że nie chodzi o debutantów. Czy to znaczy, że dziennikarze niezależni, bo o nich tu mowa, do niedawna pisujący w pismach podziemnych, wychodzą „na powierzchnię”?*

K.L.: — Bardzo różnie. Pracują u nas ludzie z doświadczeniami z podziemia, są ludzie z prasy oficjalnej i wreszcie jest spora grupa studentów ostatnich lat. Liczebność tych trzech grup jest jak 1:1:1. Nie zauważyłem większego napływu ludzi z prasy podziemnej. Oprócz *Tygodnika Mazowsze*, który niemal w całości do *Gazety* przeszedł, jest kilka osób z *Przeglądu Wiadomości Agencyjnych*, z *KOS-a* chyba nikt, z *Woli* — nikt...

Doświadczeń z prasy podziemnej nie można zastosować w

legalnej prasie codziennej. To jest zupełnie inny rodzaj pracy, inny styl pisania, inny sposób podejścia do informacji. Prasa podziemna zawsze była tylko uzupełnieniem — odkłamywaniem pewnych spraw, które były zakłamywane. *Gazeta Wyborcza* musi zajmować się wszystkim. Musimy robić to jednak inaczej niż prasa oficjalna. Chcemy, żeby ta gazeta różniła się od *Trybuny Ludu*. A uczyć się musimy jeszcze długo, bo do obecnego kształtu *Gazety* mamy wciąż sporo zastrzeżeń.

R.G.: — Na przykład?

K.L.: — Wciąż wydajemy coś, co bardziej przypomina tygodnik niż gazetę codzienną. Kolumny wewnętrzne — 3, 4, 5, 6 — musimy mieć gotowe w przeddzień daty, z którą się ukażą. Musimy zdążyć z drukiem, zanim ruszy *Trybuna Ludu* i *Rzeczpospolita*. Materiały na te kolumny muszą więc być trochę „podnadczasowe”. Mamy ogromne trudności z aktualnością gazety. Poza tym jesteśmy chyba jedyną gazetą na świecie, która nie może — jeśli chodzi o wiadomości krajowe — korzystać z agencji. Nie możemy opierać się na PAP-ie, nie tylko dlatego, że mu nie ufamy. Styl PAP-owskiego pisania to papka, która potrafi pominąć wszystko, co najważniejsze. Dziennikarz PAP nie potrafi sformułować wiadomości inaczej, niż tylko według utartego schematu: Dnia (dzień tygodnia, dzień miesiąca, rok) odbyło się posiedzenie (nazwa instancji), posiedzeniu przewodniczył (imię, nazwisko, funkcja), omówiono różne zagadnienia (zagadnienie 1, zagadnienie 2, zagadnienie 3), wyrażono głęboką troskę, by rozwiązanie zagadnienia 3 nastąpiło w możliwie szybkim terminie... I jeszcze parę podobnych zdań.

Nasza gazeta musi polegać wyłącznie na sobie samej, musimy sami organizować sobie wszystkie wiadomości z kraju. cały czas marzymy o tym, żeby wreszcie powstała porządna niezależna agencja informacyjna. Na razie nadzieje na to, że w taką przekształci się Serwis Informacyjny Solidarności są dość nikłe — nie mają możliwości technicznych i kadrowych. Wciąż zdarza nam się zawczasu nie wiedzieć o jakimś ważnym wydarzeniu politycznym, potem w ostatniej chwili próbujemy się czegoś dowiedzieć i wówczas informacja pozostawia sporo do życzenia.

R.G.: — Czyli wciąż aktualne zdaje się być zdanie jednego z Waszych stałych czytelników, że *Gazeta Wyborcza* jest najlepszą polską gazetą, ale nie można się z niej niczego dowiedzieć...?

K.L.: — Jest sformułowane chyba zbyt ostro. Nieoficjalne wyniki wyborów opublikowaliśmy przecież 60 godzin przed oficjalnymi i okazały się — z jednym wyjątkiem — identyczne z tymi, które później ogłoszono... Jest to jeden z wielu przykładów.

To, co mnie w tej chwili najbardziej pociąga, to wprowadzenie pewnego sposobu pisania, sposobu traktowania informacji, dotąd właściwie nieznanego w polskiej prasie oficjalnej. Chodzi o tworzenie informacji — robienie *hitu* z czegoś, co nie jest łatwo dostrzegalne. Chcemy wchodzić za kulisy polityki, zbierać opinie na temat wydarzeń, które dopiero nastąpią, a nie zwyczajem PAP czekać, aż jakiś urząd zostanie obsadzony i dopiero informować, że został obsadzony. Myślę więc, że zdanie jest krzywdzące, chociaż oczywiście nie odmówię mu części racji.

Bardzo bym chciał, żeby czym prędzej powstała druga, już nie marzę w tej chwili o wielkim pluralizmie, bo nie bardzo widać na to pieniądze, ale żeby powstała przynajmniej druga, prawdziwie wolna gazeta codzienna, bo w tej chwili trudno nam sprostać wielkim oczekiwaniom.

R.G.: — Życząc konkurencji — dziękuję za rozmowę.

Z Krzysztofem LESKIM rozmawiała
Renata GŁOWACKA

Warszawa, 25 lipca 1989

Rozmowa z Józefem Kuśmierkiem o energetyce

Pamiętna noc sylwestrowa 1978 roku przeszła do historii jako wprowadzie nie pierwszy, ale chyba najbardziej spektakularny sygnał katastrofy, z której Polska do tej pory nie może się wygrzebać. Poprzedniego dnia było jeszcze całkiem ciepło, wieczorem padał nawet deszcz, a potem w ciągu kilkunastu godzin temperatura spadła do minus dwudziestu stopni. I wtedy w całej Polsce zgasło światło. Od Nowego Roku trzeba było zacząć przyzwyczajać się do smutnej rzeczywistości.

Do wydarzeń tamtej nocy nawiązał Józef Kuśmierek w szkicu „O czym wiedziałem”. Kuśmierek pisał o przyczynach polskiego kryzysu energetycznego. Zabrakło — jego zdaniem — Górnej Odry i Połańca, dwóch elektrowni, które miały dać prąd w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Zabrakło zapasów węgla w ciepłowniach i elektrowniach, bo gromadzenie zapasów uważane było wtedy za zbrodnicze marnotrawstwo, a nie gospodarską zapobiegliwość.

Problemy polskiej energetyki miały rozwiązać elektrownie atomowe. Kiedy więc nadeszła wiadomość o zaniechaniu budowy Żarnowca, postanowiłem zadzwonić do Kuśmierka i zapytać go: „Co teraz?”

— A zatem...

— Moja reakcja na tę noc sylwestrową i mój szkic „O czym wiedziałem” brał się z mojego bardzo prymitywnego poglądu na energetykę, który przejąłem zresztą z barbarzyńskiego środowiska naszych inżynierów. Oni wychodzą bowiem z założenia, że jeśli potrzeba więcej energii elektrycznej, to po prostu trzeba jej więcej produkować. Wszystko jedno jakim kosztem i wszystko jedno jak jest ona zużywana. Potem przyjrzałem się bliżej tej sprawie i dziś jestem przeciwny rozwijaniu polskiej energetyki, przynajmniej w najbliższym dziesięcioleciu. Nam energii elektrycznej absolutnie wystarczy, wręcz produkujemy jej za dużo jak na nasz dochód narodowy. Zużywamy — w porównaniu ze światowymi standardami — o 50% energii za dużo w stosunku do tego, co wytwarzamy i konsumujemy. Marnotrawstwo energii w Polsce przechodzi wszelkie wyobrażenia barbarzyństwa — inaczej tego nazwać nie można.

— A zatem?

— Cały wysiłek powinien pójść na to, żeby tę energię oszczędnie i technicznie sprawnie wykorzystywać. To dotyczy zresztą wszelkich form energii, wszystkich jej nośników, również ropy czy węgla. To jedyna droga wyjścia z naszej pułapki energetycznej.

Po szoku naftowym cały świat tak się przestawił, że teraz — mimo wzrostu poziomu życia i liczby samochodów — zużywa o 5% mniej ropy naftowej, niż przed szokiem. U nas jest dokładnie odwrotnie: dziś zużywamy więcej ropy niż przed dziesięciu laty, mimo spadku poziomu życia¹.

— Jak temu przeciwdziałać?

— Dam panu jeden przykład. Trzeba było w połowie lat '70 na uruchomienie produkcji silnika Diesla do samochodów dostawczych wydać 120 milionów dolarów. Dałoby to natychmiast oszczędność 3 milionów ton ropy rocznie w porównaniu z

1. Już po rozmowie z Kuśmierkiem przeczytałem w *Tygodniku Powszechnym*: „przy spadku produkcji o 5% (w ciągu ostatnich 12 miesięcy) nie zauważono spadku zużycia energii elektrycznej — to fenomen czysto polski”. *TP*, nr 36 z 3.09.1989, *Obraz tygodnia*.

tymi silnikami Forda, których pod nazwą *pobieda* używamy do dziś w naszych *żukach* i *nysach*. Przez te dziesięć lat to jest 30 milionów ton niepotrzebnie zużytej ropy! A to jest tylko jeden typ samochodów! Kosztuje to dużo, dużo drożej, niż kosztowałyby ta inwestycja. Na tym właśnie polega barbarzyństwo. W chwili budowy myśli się, żeby budowa kosztowała jak najtaniej, a tego, że późniejsza eksploatacja będzie droga i energochłonna, nie bierze się pod uwagę.

— Najlepszym przykładem są polskie mieszkania, szczególnie te z wielkiej płyty, budowane od czasów Gierka. Ja mieszkam w Wiedniu, w budynku niedawno zbudowanym. Proszę sobie wyobrazić, że przez dwie ostatnie zimy prawie nie włączałem kaloryferów. Wystarczyło to trochę ciepła, które przenika z biegących gdzieś w ścianach rur, znakomita izolacja budynku od zewnątrz i jeszcze lepsze, naprawdę szczelne okna!

— A w Polsce standardowe mieszkanie zużywa 7,5 tony węgla na samo tylko ogrzewanie. Normy skandynawskie przewidują — przy trochę innym klimacie — 2,5 do 3,5 tony. Wy tłumaczenie jest jedno: nie stać nas na budownictwo solidne. Ale my się pchamy w sytuację bez wyjścia, bo niedługo zabraknie nam i paliwa, i urządzeń na ogrzewanie tych lodówek, które nazywamy mieszkaniami. Na dodatek te 7,5 tony zużywamy ciągle marznąąc w mieszkaniach. A przecież nie mieliśmy jeszcze takiej zimy jak w roku '29, jak w roku '39 czy w '41. Taka zima zawsze jednak może się zdarzyć i wtedy nie będzie już chodziło o ciepło, lecz jak się ratować przed zamrożeniem w mieszkaniu. Po prostu instalacje nie wytrzymają spadku temperatury do -40 czy nawet -30 stopni, co nie jest w naszym klimacie taką anomalią, zdarza się co parę dziesięcioleci.

— Niezwykła energochłonność polskiej gospodarki jest tajemnicą poliszynela. Czy jednak istnieją jeszcze w ogóle rezerwy energii?

— Proszę pana, w prawie każdy swój tekst do znudzenia wpisuję takie oto *credo*: trzeba wyciągać pozytywne wnioski z negatywnych zjawisk. Uważam, że kryzys energetyczny, nieuchronny przy naszym dotychczasowym lekceważeniu tego problemu, spowoduje w końcu wymianę całej naszej struktury odbioru i zużycia energii. Po prostu nie będzie innego wyjścia. Na nowe elektrownie nas nie stać, a poza tym nie będzie dla nich węgla, bo nam się przede wszystkim załame jego wydobycie. Jeśli za pięć lat będziemy w stanie wydobywać 150 milionów ton, będzie bardzo dobrze. Bo po prostu zawała nam się te rabunkowo eksploatowane kopalnie. One wał się już teraz. Będziemy

musieli więc spojrzeć, jak sobie bez węgla i z mniejszymi zasobami ropy radzą inne kraje... i żyją lepiej od nas.

— *Pan mówi, że Polski nie stać na nowe elektrownie. A czy w tym kryzysie stać ją będzie na wymianę odbiorników energii — maszyn i urządzeń w przemyśle, ale i sprzętu w gospodarstwach domowych — na bardziej nowoczesne, bardziej ekonomiczne, mniej paliwo- i prądożerne?*

— Alternatywa jest taka: albo się wyłączy połowę gospodarki, ze wszystkimi tego skutkami, albo się całość nastawi na energooszczędne odbiorniki. To ostatnie będzie na pewno wielką jednorazową inwestycją. Ale jaka jest różnica między jednorazową inwestycją na elektrownię, która będzie kosztowała biliony, a jednorazową inwestycją na wymianę energochłonnych maszyn i urządzeń? Ta ostatnia też będzie kosztowała biliony, ale podczas gdy do pierwszej przez całe dziesięciolecia trzeba będzie dokładać miesiąc w miesiąc miliardy, druga będzie przynosiła przez długie lata wymierne oszczędności.

Jeśli zaś chodzi o gospodarstwa domowe, to sytuacja jest szczególnie tragiczna. Teraz nie można kupić po prostu niczego, nawet garnków. Ale jeśli mamy wrócić do jakiegoś minimum cywilizacyjnego i podjąć zaopatrywanie rynku w sprzęt gospodarstwa domowego, to musi to być sprzęt nowej generacji. Na to bym nie żałował pieniędzy, nie żałowałbym nawet importu, bo to się w końcu opłaci.

— *Wymieniać to znaczy jednak najpierw zbudować fabryki, które te energooszczędne maszyny będą produkować. To znowu znaczy — tym fabrykom dostarczyć energii. To jakiś diabelski krąg!*

— Zacząć trzeba od wymiany aluminiowych kabli w sieciach przesyłkowych i aluminiowych uzwojeń w transformatorach na miedziane. To na pewno leży w granicach możliwości naszego przemysłu, ale poza granicami wyobraźni naszych inżynierów.

— *To byłyby możliwe pierwsze kroki w przemyśle. Ale co zrobić z zimnymi mieszkaniami?*

— Odpowiem brutalnie, wręcz nieludzko. Uważam, że nie obędzie się bez szoku zimowego, kiedy temperatury przez dłuższy czas spadną poniżej -30 stopni. To pochłonie oczywiście ofiary, ale i otrzeźwi całe społeczeństwo, które wtedy dopiero zrozumie, że dalej tak budować nie można, że staje się to po prostu niebezpieczne.

Nieszczelne mieszkania, to przede wszystkim prawie całe budownictwo od połowy lat siedemdziesiątych. Innymi słowy

oznacza to około 1,5 miliona mieszkań do uszczelnienia. To będzie oczywiście robotą głupiego, a do tego może ona kosztować więcej, niż sama budowa tej cholernej betonowej płyty. Zresztą z tą płytą to jest wielkie nieporozumienie. Znakomita jej większość — w wyjątkiem dwóch rodzimych projektów — wyprodukowana została na zachodnioniemieckich licencjach. Ja je widziałem — te płyty — jeszcze w czasie rozruchu. Wszystkie były ocieplane, wszystkie miały wkładkę z wełny mineralnej. Taka była licencja, tak wyglądała ta płyta w oryginale. Dopiero nasi kochani racjonalizatorzy, żeby uczynić budownictwo tańszym, zrezygnowali z ocieplania, wałąc tylko beton plus uzbrojenie. Ze skutkiem takim, jak jest. Do tego dochodzi niesamowita niechlujność przy robocie, te wszystkie dziury i szpary.... Proszę pana, ja widziałem, jak się buduje wielką płytę w Szwecji — bo tam też się buduje tą technologią — i wiem, że można ją położyć starannie, solidnie ją dopasować i uszczelnić. Ale licencji na uczciwą robotę nigdzie się nie dostanie...

— *Wróćmy jeszcze do elektrowni, bo domyślam się, że jednak bez budowy nowych elektrowni się nie obędzie...*

— Musi się obejść! Nie ma pieniędzy na żadną nową elektrownię. Koniec, kropka. I nie będzie przez najbliższych dziesięć lat.

— *Jeśli jednak — to jakie elektrownie budować? Nie atomowe, z nich zrezygnowano. Jakże więc?*

— Do roku '75 budowano elektrownie jak najtaniej, nie patrząc na to, że będą one najbardziej węglochłonne i najmniej wydajne. Dzisiaj połowa elektrowni, a natychmiast przynajmniej jedna trzecia — te z planu sześciolatniego i z wczesnych lat gomułkowskich — wymaga generalnej wymiany w zasadzie wszystkich urządzeń. Nie ma ich już po co remontować, to są urządzenia poprzedniej generacji. Nasz przemysł — fabryki w Raciborzu i Elblągu — produkuje już i sprzedaje za granicę kotły i turbiny nowej generacji, które przy tej samej ilości węgla są w stanie dać o 50% więcej energii elektrycznej. Po prostu turbiny 25-, 50- czy nawet 100-megawatowe trzeba wymienić na turbiny 220 i 360 MW. To jest jedyna i zarazem konieczna droga — bo te stare elektrownie już wysiadają. Jest to jedyna droga podniesienia produkcji energii elektrycznej.

Jakie byłoby jeszcze wyjście? Budowanie małych, ale naprawdę małych i bardzo czystych elektrociepłowni dzielnicowych lub lokalnych. I to też nasz przemysł jest w stanie budować i buduje. Skończyć wreszcie z tymi gigantycznymi i bardzo

niesprawnymi, przy naszym wykonawstwie wręcz niebezpiecznymi próbami ogrzewania jedną elektrociepłownią milionowego miasta, bo to się kończy tak jak w Warszawie. Miasto jest rozkopane, mamy trzy i pół tysiąca awarii sieci podziemnej rocznie, czyli koło dziesięciu dziennie, od względnie małych od takich, które wymagają potem od pięciuset do tysiąca wywrotek ziemi, by zasypać ogromne wyrwy, które taka awaria powoduje.

Małe elektrociepłownie — tylko na to byłoby nas stać i to by było racjonalne z punktu widzenia technicznego i ekonomicznego.

— Podsumowując naszą rozmowę: czy widzi Pan jakąś perspektywę rozwiązania problemu energetycznego Polski w przeciągu najbliższych kilku lat?

— Niestety, widzę czarno. U nas najpierw dojdzie do katastrofy energetycznej, do wyłączania na całe tygodnie wielkich miast, do wyłączania całych zakładów z powodu braku energii, bez patrzenia, jak ważna i jak potrzebna jest ich produkcja — a potem dopiero weźmiemy się za usprawnienia. Katastrofa energetyczna jest nieuchronna, dlatego że nic się nie robi, aby jej uniknąć. Ją się tylko odwleka. Ale czym dalej się ją odwleka, tym groźniejsze będą skutki i tym większe rozmiary.

— Nie pokłada Pan nadziei w nowym rządzie pana Mazowieckiego? Nie widzi Pan osób, chcących uprzędzić katastrofę?

— Tak się składa, że z połową obecnego rządu siedziałem razem w ciupie. To są ludzie, których problemy techniczne — problemy, nie hasła — bardzo nudzą. Oni ziewają, kiedy im się mówi o technice. Tak że będziemy mieli na pewno znów lawinę wspaniałych programów i wspaniałych haseł, ale żadnego kroku technicznego w tym kierunku.

— Mam nadzieję, że Pan się myli...

— Ja też chciałbym mieć taką nadzieję. Ale gdy podsumowałem moje prognozy z ostatnich dziesięciu lat, to okazało się, że byłem wciąż niepoprawnym optymistą.

— Coś w tym jest. W pierwszych dniach grudnia 1981 roku — Pan sobie pewnie tego nie przypomina — siedzieliśmy z Panem — my, to znaczy oprócz mnie jeszcze dwóch dziennikarzy z wrocławskiej prasy — w bufecie Wydawnictwa Prasowego we Wrocławiu. Powiedział Pan wtedy, że dolar będzie kosztował 3.000 złotych. Oczywiście nie wierzyliśmy Panu...

— Kiedy teraz mówię, że będzie kosztował 30.000 jeszcze w tym roku, to też nikt mi nie wierzy.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć Panu, by się Pan mylił.

rozmawiał Aureliusz M. PĘDZIWÓŁ

AUKCJA POLSKIEJ SZTUKI I ANTYKÓW — CZĘŚĆ I ze zbiorów

śp. dra Józefa A. Malejki
z Nowego Jorku

Duży zespół obrazów, akwarel i rysunków wybitnych polskich artystów XIX wieku. Polskie memorabilia wojskowe, szable, orderzy, medale, monety i banknoty. Stare polskie srebra, listy i dokumenty królewskie.

Stare polskie ryciny — widoki miast i portrety.

Aukcja dnia 20 stycznia 1990 r. o godz. 4:00 pm.

Wystawa wszystkich przedmiotów 19 stycznia oraz w dniu aukcji. Adres: 177 Kent Street, Greenpoint, Brooklyn, NY 11222. Ilustrowany katalog w cenie \$8.00 oraz wszelkie informacje otrzymać można u Z. Michael Legutko, Lipert Gallery, 147 Milton Street, Brooklyn, NY 11222, tel. (718) 383 4429

Aukcja — Część II — malarstwo nowoczesne — planowana jest w maju 1990 r.

Kraj

Zagrożenie polskiej oświaty

Jeszcze do niedawna głównym zadaniem oświaty PRL była ideologiczna indoktrynacja najmłodszego pokolenia. To, co działo się w szkołach, budziło zrozumiały opór. Postawę wielu młodych ludzi, późniejszych działaczy opozycji, kształtował sprzeciw wobec szkolnej indoktrynacji. Obecnie presja ideologiczna szkoły osłabła. Wychowanie sprowadza się do rutynowych czynności porządkowych, a nauczanie do zmuszania uczniów, by przyswoili sobie przewidziane przez program informacje z poszczególnych przedmiotów. Odsloniła się pustka, którą skrywały dotąd komunistyczne frazesy. Osłabienie ideologicznej presji nie uzdrowiło jednak automatycznie polskiej oświaty. Szkoła nadal nie sprzyja rozwojowi ucznia, lecz deformuje fizyczny, umysłowy i duchowy rozwój dzieci i młodzieży. System oświaty w PRL jest chory. Choroba ta jest groźna dla przyszłości naszego narodu.

Jest rzeczą oczywistą, że wieloletnie oszczędzanie na oświacie doprowadzić musiało w końcu do całkowitego załamania infrastruktury szkolnej. Ilość dzieci i młodzieży w wieku szkolnym przekracza obecnie kilkakrotnie liczbę miejsc w szkołach. W budynkach przeznaczonych na 250 uczniów uczy się ich często ponad półtora tysiąca. W nowych wielotysięcznych dzielnicach wielkich miast szkół po prostu nie ma, nie wybudowano ich z braku pieniędzy. Tak jest na przykład na warszawskim Ursynowie. Nie istnieje tu ani jedna szkoła średnia, a w niewielkich szkołach podstawowych nie starcza miejsc dla większości dzieci z tej dzielnicy. Muszą one dojeżdżać do szkół w podwarszawskich miejscowościach lub do śródmieścia Warszawy. W całym kraju wprowadzono wielozmianowy system nauczania. Wszędzie też dzieci uczą się w przeładowanych klasach, często nieremontowanych od lat budynkach.

Złe opłacani, przeciążeni nadmiarem zajęć i nadmiarem uczniów nauczyciele stanowią jedną z najbardziej umęczonych grup zawodowych w Polsce. Od lat trwa negatywna selekcja do tego zawodu i ucieczka ze szkół osób ambitniejszych i bardziej przedsiębiorczych. Obecnie zatrudnia się często osoby bez jakiegokolwiek przygotowania do zawodu pedagoga. Pracę nauczycielską podejmują np. nierzadko młodzi ludzie bezpośrednio po maturze.

Opisane warunki kształtują klimat wychowawczy. Oto wypowiedź młodej nauczycielki jednej ze szkół warszawskich:

Poszłam do szkoły zaraz po ukończeniu studiów. Traktowałam zawód nauczyciela jako swoje powołanie. Teraz jednak bliska jestem załamania, zamierzam rzucić szkołę, gdyż czuję, że moja praca nie ma po prostu sensu. Nie jestem wychowawcą swych uczniów, lecz urzędnikiem rozliczanym z wykonania szeregu biurokratycznych czynności. W szkole nie ma możliwości oddziaływania wychowawczego, gdyż nie ma w niej miejsca na osobisty kontakt nauczyciela z uczniem. Jeśli w każdej klasie mam czterdziestu kilku uczniów, a uczę w pięciu klasach — to najwyższe kojarzyć mogę nazwiska z twarzami swych wychowanków. Nie mogę też naprawdę nikogo niczego nauczyć. Proszę sobie wyobrazić czterdzieści pięć minut lekcji z czterdziestoma pięcioma dziećmi. W tym czasie należy sprawdzić listę obecności, wystawić kilka ocen, wprowadzić nowy, przewidziany przez program temat. W praktyce po załatwieniu wszystkich czynności porządkowych czasu starcza na odpytanie i zadanie nowego materiału do nauczania się w domu. Liczy się tylko to, czy uczeń ma wystawioną określoną liczbę ocen i czy wpisane zostały do dziennika przewidziane przez programi tematy lekcji. Nauczanie sprowadza się do odpytywania i wystawiania stopni, wychowanie zaś do tzw. 'walki o dyscyplinę', czyli do zmuszania dzieci, by siedziały spokojnie przez sześć-siedem śmiertelnie nudnych lekcji. Szkoła to zmęczenie, strach, nuda. Zarówno nauczyciele jak i uczniowie są znużeni, znudzeni i zirytowani. O byle co wybuchają awantury. Wszyscy do wszystkich mają pretensje: nauczyciele do uczniów, że się ruszają, kręcą, nie umieją tego, czego kazano im się nauczyć, rodzice do nauczycieli, że stawiają ich dzieciom zbyt wygórowane wymagania, a sami niczego nie uczą, a uczniowie? Oni są w tym wszystkim najbiedniejsi — muszą wykonywać szereg absurdalnych czynności, których sensu nikt im nie wyjaśnia, są nieustannie karani za tak naturalne w ich wieku potrzeby jak potrzeba ruchu i zmiany wrażeń.

Każdy przejaw własnego sądu dziecka jest w szkole tępiony — bo niewygodny, wszelkie zainteresowania są ignorowane — bo „nie ma czasu na głupstwa”. Pozytywnie ocenia się ucznia za to, że siedzi cicho i bez dyskusji wykonuje to, co mu każą. Dziecko przyzwyczaja się żyć w tłoku i nieustannym pośpiechu, a jednocześnie uczy się nieprawdopodobnego wprost marnotrawstwa czasu. Wszędzie brakuje nauczycieli, często więc nie ma lekcji z określonych

przedmiotów, w mojej szkole na przykład przez kilka miesięcy nie było w niektórych klasach lekcji matematyki. Klasy te miały zastępstwa i nie były zwalniane do domu — dzieci po prostu miały same siedzieć w ławkach i nie hałasować. To siedzenie stało się podstawą do wystawiania stopni ze sprawowania. Dyżurni otrzymywali zadanie zapisywania nazwisk tych, którzy wstawali z miejsc i głośno rozmawiali. Lekcje matematyki zmienione zostały w ten sposób w praktyczne zajęcia donosicielstwa. Z takimi absurdami stykamy się w szkole co dzień — nie wychowujemy lecz demoralizujemy, nie uczymy, lecz tępimy wszelkie zainteresowania, wszelką żywszą myśl, wszelką autentyczną aktywność. Uczymy dzieci nie traktować niczego na serio, niczemu nie wierzyć, do nikogo nie mieć zaufania, działać wyłącznie pod przymusem. Pojedynczy nauczyciel nie może zmienić tego niszczącego dziecko klimatu, może co najwyżej starać się na własną rękę łagodzić skutki absurdu, w którym uczestniczy. Po pewnym czasie, kiedy widzi, że jego wysiłki są bezcelowe, ucieka ze szkoły.

Dziecko uciec nie może, jest zmuszone do spędzania w szkole połowy swego życia. Tłok, lęk, bezosobowe relacje z rówieśnikami i dorosłymi, chaos połączony z pseudorygorem, wszystko to powoduje wzrost agresywności u jednych, a bierność, apatię i skłonność do depresji u innych. Są to zjawiska na tyle masowe, że bez przesady można mówić o zagrożeniu całego pokolenia niezrównoważeniem emocjonalnym. Realność tego zagrożenia potwierdza wzrastająca z roku na rok liczba młodocianych pacjentów w przychodniach psychiatrycznych, a przecież tylko niewielki odsetek dzieci znerwionych trafia do lekarzy.

Z roku na rok obniża się poziom absolwentów szkół podstawowych i średnich. Wadliwie skonstruowane, przeładowane wiadomościami programy mogą być realizowane tylko w atmosferze przymusu i strachu. Ucznia zmusza się do wkuwania na pamięć mnóstwa informacji niepowiązanych w zrozumiale dla niego związki. Nie widząc sensu tego, czego się uczy, pracuje on wyłącznie dla uzyskania dobrego stopnia i promocji. Dla sprostania nieracjonalnym wymaganiom szkoły nawet zdolni uczniowie korzystać muszą z korepetycji. Ci, którzy ich nie mają, często po prostu nie kończą szkoły. Nic dziwnego, że tak przebiegająca nauka nie rozwija zainteresowań i zniechęca do zdobywania wiedzy. Badania socjologiczne potwierdzają, że ambicje intelektualne najmłodszego pokolenia wyraźnie się obniżyły. Spada też zdecydowanie zainteresowanie dla studiów wyższych. Coraz więcej młodych ludzi nie chce uczyć się dalej, lecz jak najszybciej podjąć pracę zarobkową.

Obniżenie prestiżu wykształcenia wiąże się w sposób oczywisty także z absurdalną hierarchią w PRL. Polskie dzieci wiedzą doskonale, że wysokość zarobków nie ma nic wspólnego z wykształceniem. „Po co mam się uczyć — powiedział mi 12-letni chłopiec — mój tata jest docentem, żyjemy z tego, co zarabia na winobraniu w

RFN, a nie z tego, co mu dają w jego instytucie. Żeby zbierać winogrona, nie trzeba było się tak wysilać. Ja nie będę taki głupi, na żadne studia nie pójdę, tylko będę jeździł na Zachód i handlował, jak tatuś Staśka. Oni mają dom, komputer, dobry samochód, kolorowy telewizor, pomarańcze i banany co dzień, a tata Staśka nawet matury nie zdał — sam się chwalił”.

Poziom aspiracji najmłodszych wyznaczają wielkomiejskie bazy, na których za ciężkie pieniądze kupić można zachodnie towary zwożone przez turystów-handlarzy. „Tylko naiwni myślą o nauce, która nic nie daje, a nie o tym, jak zrobić pieniądze, żeby kupić na Skrze to, co się chce” — powiedział mi pewien szesnastolatek. Czy można mu się dziwić? Nikt nie wprowadził go przecież w świat wartości innych niż atrakcyjne i nieosiągalne w Polsce drogą uczciwej pracy dobra materialne. Szkoła nie budzi zainteresowania światem, kulturą, przyrodą i nie przekazuje młodzieży żadnych wartości, wokół których mogłaby się skupić jej bezinteresowna i twórcza aktywność. Jeśli pewne grupy młodzieży żyją jednak w sposób twórczy i aktywny to zawdzięczają to wpływom wychowawczym środowisk pozaszkolnych: Kościoła, rodziców, niezależnego harcerstwa, elitarnych kręgów rówieśników skupionych np. wokół Klubów Inteligencji Katolickiej. Nie każdy ma jednak szczęście zetknąć się z ciekawym środowiskiem. Wypaczający wpływ szkoły bywa zresztą często silniejszy.

Czy można uzdrowić polską szkołę?

Kilkakrotne reformy systemu szkolnego nie tylko nie przynosiły skutków pozytywnych, lecz pogłębiały patologie. W ramach reform oświatowych zniszczono na przykład małe szkoły wiejskie. Wdrażany z żelazną konsekwencją pomysł zbiorczych szkół gminnych doprowadził do całkowitego upadku oświaty na wsi. W ramach reform zlikwidowano też licea pedagogiczne, przygotowujące nauczycieli dla klas początkowych, i doprowadzono do absurdu system kształcenia i doksztalcania nauczycieli. Rozbudowano za to do gigantycznych rozmiarów tzw. nadzór oświatowy, osiągając dzięki temu pełne podporządkowanie poszczególnych szkół dyrektywom władz. Celem dotychczasowych reform było wyrugowanie wszelkiej różnorodności w oświacie, scentralizowanie decyzji, ujednolicenie metod kształcenia i wychowania. Chodziło przede wszystkim o zwiększenie zewnętrznej kontroli nad działaniami poszczególnych nauczycieli, o uczynienie z nich funkcjonariuszy państwowych dyspozycyjnych wobec władzy, a jednocześnie o zmniejszenie wydatków na oświatę.

Naprawa polskiego szkolnictwa, jeśli ma mieć sens, musi pójść we wręcz odwrotnym kierunku niż dotychczasowe reformy. Szkoła, by stać się autentycznym środowiskiem wychowawczym, musi wyzwać twórczą aktywność nauczycieli, rodziców i uczniów. Dążyć należy więc nie do ograniczenia, lecz do zwiększenia autonomii placówek oświatowych, do większej niezależności zespołów pedagogicznych i poszczególnych nauczycieli, do autentycznej samorządności

uczniowskiej i rzeczywistego wpływu rodziców na życie szkoły. Nauczyciele, rodzice i uczniowie muszą stać się współtwórcami społeczności szkolnej. Aby przywrócić nauczaniu i wychowaniu twórczy charakter, szkoły nie mogą pracować wedle jednego narzuconego im wzoru, muszą być związane z lokalnym środowiskiem i działać zgodnie z jego potrzebami. Taki właśnie kierunek zmian w oświacie zaproponowali w roku 1981 działacze oświatowi „Solidarności”. Hasło „uspołecznienia szkoły” określało wówczas kierunek zmian, o które walczone w czasie negocjacji z ówczesnym Ministerstwem Oświaty i Wychowania.

Dziś hasło to staje się znów aktualne, bo może powstać społeczny ruch na rzecz uzdrowienia polskiej szkoły. Chodzi przede wszystkim o połączenie inicjatyw pedagogów, rodziców zainteresowanych stworzeniem środowiska wychowawczego dla własnych dzieci i firm, przedsiębiorstw oraz spółek, mogących wspierać materialnie ruch na rzecz uzdrowienia oświaty w Polsce. Chodzi o zmobilizowanie szerokich kręgów społeczeństwa do działań na rzecz polskiego szkolnictwa.

Nie wydaje się to przedsięwzięciem beznadziejnym, bo coraz więcej ludzi w Polsce zdaje sobie sprawę, że przedłużający się kryzys oświatowy jest groźny. Z miesiąca na miesiąc wzrasta liczba członków Społecznego Towarzystwa Oświatowego, którego głównym celem jest tworzenie niezależnych szkół społecznych oraz wspieranie wszelkich inicjatyw, zmierzających do przezwyciężenia kryzysu w polskim szkolnictwie. Społeczne Towarzystwo Oświatowe zamierza powołać wydawnictwo, w którym ukazywałyby się podręczniki, projekty programów, informacje o pomysłach i innowacjach pedagogicznych, poszukiwane przez uczniów i nauczycieli opracowania, książki popularno-naukowe, monografie historyczne itp.

Krystyna STARCZEWSKA

W łapach humanistów

Sens wyzwania

Co zrobić, żeby ponure przepowiednie się nie sprawdziły? Myślę, że trzeba mówić na głos o naszym koszmarze nocnym, który dla Jaruzelskiego czy Gorbaczowa jest cudownym snem. Znika na ich oczach podział my-oni, tymczasem pozostajemy nadal w łapach humanistów. Złagodzony obozowy rygor nie zwiódł

Mandelsztama; czy uśpi prawdziwych humanistów? Gdy Wałęsa musi wzywać demonstrantów, aby nie występowali przeciw kandydaturze Mazowieckiego z demagogicznym hasłem *Chcemy chleba, nie premiera*, zbliżamy się do pułapki ze snu generałów.

Trwa gambit *pieriestrojki*. Ile trzeba stracić, żeby zyskać w następnym ruchu? Jaką część władzy trzeba oddać, żeby pozostać przy tym, co stanowi o jej istocie? Dopóki jesteśmy świadomi, że przeciwnik cofając się podstawi nam figury do bicia i kalkulujemy ryzyko — wszystko w porządku. Mamy już naszego premiera. Jeśli przynajmniej finanse znajdą się całkowicie w rękach Solidarności, będzie to początek autonomii galicyjskiej. Jeśli taki rząd podzieli część dotychczasowej władzy z samorządami lokalnymi mającymi własny budżet i kompetencje oraz zacznie kontrolować sprawy wewnętrzne, można mówić o zbliżeniu się do fińskiej suwerenności. Jednak wyimpasować taką stawkę można tylko mając już karty na stole. Wyzwanie jest zbyt poważne, by zasady gry nie były publicznie znane, albo by zmieniać je po rozegraniu rozdania. Z policją polityczną nie wchodzi się w konfidencyjne układy na stronie.

Komunistyczni humaniści mają w ręku siłę. Opozycjoniści rację. Ale racja opozycyjna zwycięży dopiero, gdy stanie się siłą: gdy większość społeczeństwa zobaczy perspektywę ludzkiego życia w Polsce, gdy poczuje się na tyle u siebie, aby na własną odpowiedzialność w to życie inwestować. W wypadku porażki działań rządu Solidarności tak zwani wszyscy stwierdzą, że są nadal w łapach humanistów, tyle że naszych. Bowiem jak długo można być za kimś, a nie za czymś? Stawiać na ludzi, którzy nie mają odwagi powiedzenia, co konkretnie chcą zrobić, aby polska codzienność przestała być udręką, ożywioną politycznymi pasjami? Przeciwno komunistom jesteśmy przecież dlatego, że dokładnie wiemy, czym jest komunizm. To nie bajka, lecz groźna rzeczywistość. W obecnej sytuacji — bardziej niż analiza teraźniejszości i przeszłości, do której wciąż ucieka bezpiecznie opozycja — liczą się lekarstwa usuwające źródło bólu istnienia w PRL-u. Potrzebny jest syntetyczny program działania, zdolny wyrwać z apatii milczącą większość. Opozycja walczy więc z nomenklaturą o duszę *homo sovieticus*.

Legalizacja rzeczywistości

Obecny rząd może wygrać gambit *pieriestrojki*, wyprowadzając Polaków z socjalizmu do kapitalizmu: odważnie odblokowując mechanizmy rynku, którym rządzić zacznie prawdziwy, a nie kartkowy pieniądź, i chroniąc tylko konsumentów, nie mogących się bronić własną pracą. Unikając tego wyzwania dla komfortu humanistycznych frazesów, rząd wpadnie w zasadzkę, którą komuniści razem z nami już przygotowali: rewindykacje nie wymuszają lepszej organizacji produkcji, a tylko nakręcają inflację, gdy przedsiębiorczość blokowana jest bezprawiem gospodarczym; korzysta z niego

tylko samouwłaszczająca się nomenklatura. Po latach oczekiwań rząd musi zdemonopolizować rynek, wyrzucić zgodę na bezrobocie i bankructwo nierentownych przedsiębiorstw. Wreszcie, w kraju, w którym niczego nie można kupić od stali po kielbasę zacznie się opłacać produkcja wszystkiego, co ludzie chcą kupować i sprzedawać. Prędzej wolny rynek uspokoi inflację niż zezwolenia, przydziały, łapówki i w skali kraju negocjowane podwyżki cen i płac. Pokonamy absurd polskiej biedy, gdy człowiek zacznie szukać pracy, a nie praca — człowieka.

Niczego nie trzeba wymyślać. Wystarczy zalegalizować rzeczywistość i nie spychać normalności do podziemia. Rząd musi uznać, że pod legalnym surrealizmem ekonomicznym kryje się szary i czarny rynek, który pozwala ludziom żyć. Nasz polski *model włoski* umyka wzrokowi rewizjonistów; pruderia opozycyjnych intelektualistów przeszkadza przyznać, że także prawdę o ich życiu można odtworzyć tylko na podstawie wydatków, a nie dochodów.

Co znaczy dziś w Polsce ubóstwo, a co bogactwo, gdy średnia zarobków wynosi 15 dolarów miesięcznie? Dla tysięcy przechodniów, których oficjalnie stać na parę amerykańskich jeansów w tej cenie, szynka po ostatnich podwyżkach jest wciąż tania, gdyż kosztuje mniej niż dolara za kilogram. Ilu nie byłoby pokrzywdzonych przez wolny rynek, tylko *niewidzialna* ręka może nas wyprowadzić z surrealistycznych proporcji cen, paraliżujących produktywność społeczeństwa.

Największym zagrożeniem rządu Solidarności jest inflacja słów bez pokrycia. Komuniści liczą, że wykończą nas ociekające troską wystąpienia i puste półki. Po roku musi coś drgnąć w gospodarce, po dwóch latach muszą być widoczne pierwsze owoce wyprowadzenia rzeczywistości z podziemia na powierzchnię — więcej czasu nawet Solidarności nikt nie da. Zadaję sobie pytanie, dlaczego w tej sytuacji nasze zamysły polityczne nie wychodziły poza *protokoły rozbieżności*. Społeczeństwo uzyskało realny zakres wolności w obozie. Ale nie utrwaliło go w formie opozycyjnych projektów ustaw, poprawek do konstytucji czy ustalonych procedur funkcjonowania rządu niezależnego od nomenklatury w decyzjach gospodarczych i finansowych. Do uzyskania przyszłego ładu ekonomicznego nie wystarczy improwizacja na kanwie dwóch motywów: dobrych intencji władzy i słusznych postulatów opozycji. I oto w wyniku wyborów, które zmieniły się w referendum, mamy większościową mniejszość w Sejmie i rządzie, a nie mamy projektów, które pozwoliłyby społeczeństwu wdrażać się do powrotu z sowieckiej utopii do rzeczywistości porządkowanej przez powszechnie zrozumiałe reguły gry.

Dlaczego tak się stało? Przecież nie tylko z powodu intelektualnej deformacji opozycyjnej polityki, z powodu dominacji *słowaczynu* — słowa identyfikowanego z czynem. Może dlatego, że PiNom (polskim intelektualistom — *copyright by Rafał Grupiński*) żyjącym latami w oparach naukowości wpojono przekonanie o wyższości teorii ekonomicznych nad zdrowym rozsądkiem? Jakby bez

nich fizyczni i umysłowi proletariusze nie poradzili sobie z mechanizmami gospodarczymi! Tymczasem prawa nie są wyprowadzane z doświadczeń naukowca, który na moment zatrzymuje życie w fotografii mikroskopowej, żeby je opisać, przedyskutować na seminarium i na powrót uruchomić. Protokoły rozbieżności Okrągłego Stołu nie pomogą w tworzeniu nowych reguł gry, które uprawnocniłyby rzeczywistość, nasza lewica siłowała się tam z naszą prawicą, zamiast określić zadania opozycji sięgającej po władzę.

A zatem, co ma robić *sentymentalna panna S*, którą już raz *zgwalciono w teatrze w oczach zdziwionej wciąż widowni*? Jest dzisiaj w sytuacji aktora, grającego dotychczas parę ról w tym samym spektaklu, którego teraz ma być reżyserem. Spektaklu na miliony, gdzie każdy jest aktorem i widzem, spektaklu pod nazwą Nowy Ład Gospodarczy. Żyję już wystarczająco długo w naukowym ustroju, aby stracić ochotę na oddawanie się w łapy humanistów, technokratów czy ekspertów tam, gdzie reguły gry wyprowadzane są nie z twórczości, lecz z szacunku dla *honoru zdrowego rozsądku*. Nielegalne życie w Polsce wykazuje pokrewieństwo z życiem normalnych społeczeństw. Dlatego z naszego podziemnego życia i doświadczeń wolnych krajów należy czerpać wiedzę, jak rządzić społeczeństwem, które od lat prywatnie buduje niepodległość gospodarczą zamiast *pieriestrojki* socjalizmu.

Dotykamy tu problemu altruizmu czyli dobra społecznego. Naturalność systemu kapitalistycznego jest odwrotnością komunizmu. Egoistyczna chęć zysku jednostek służy swoimi efektami całemu społeczeństwu. Tylko fetysz *interesu ogólnospołecznego* nie pozwala zamykać kopalni, która — w rachunku ekonomicznym — więcej zużywa węgla niż wydobywa. Solidarność była związkiem obywateli wyzyskiwanych przez państwo. Przejmując część tego państwa, ruch nasz musi się rozstać z socjalistyczną frazeologią. Po obu stronach umów społecznych będą teraz ludzie Solidarności. Cud ze stoczną Lenina zdarzy się ponownie tylko, gdy na oczach świata Barbara Johnson zrobi na tym dobry interes. Jej gest umysłowic powinen Solidarności, że plahta i zmiana właściciela to nic innego tylko restrukturyzacja gospodarki, o której komuniści tylko mówili, i nie warto bronić przedsiębiorstw przed bankructwem tradycyjnymi postulatami związkowymi o interesie zatrudnionych. Solidarność musi dopilnować jednego: aby masa upadłościowa PRL-u nie przechodziła w ręce tych, którzy doprowadzili do bankructwa. Nomenklatura może mieć równe szanse, ale nie — równiejsze.

W dzisiejszym świecie większym problemem jest znalezienie ludzi zdolnych przerabiać pomysły na pieniądze niż znalezienie kredytów. Popularyzowane przez publicystów Akcji Gospodarczej przekonanie, że są w Polsce ludzie ze świetnymi pomysłami gospodarczymi, lecz bez pieniędzy i są ludzie z pieniędzmi, którzy nie wiedzą, co z nimi zrobić — jest literacką fikcją. Kapitał z prawdziwego zdarzenia (a nie skarbowe pieniądze wyjęte przez urzędnika z państwowego banku lub manna z Zachodu) i przedsiębiorcy z

prawdziwego zdarzenia odnajdują się wzajemnie natychmiast, gdy wolność gospodarcza jest zagwarantowana przez prawo. Jeśli nie mamy zaś ludzi z pomysłami gospodarczymi, to dlatego, że zaślepiła nas polityka — nie widzimy klasy średniej, która wyrosła na naszych oczach, *stanu trzeciego* między nomenklaturą i opozycją. Zastanawiam się nieraz, co też tak niepokoi różową intelektualną szlachtę i czego złego szuka w białej burżuazji: przecież zdystansowała ona czerwoną ekonomicznie i zmusiła system do reform równoległe z Solidarnością. Czy aby różowymi PIN-ami nie kieruje przecucie, że w normalnej czyli tzw. burżuazyjnej demokracji parlamentarnej siła pieniądza będzie ważniejsza niż humanistyczny frazes?

Solidarność została relegalizowana. Teraz rząd, w którym uczestniczy, powinien zalegalizować rzeczywistość gospodarczą, żeby móc ją przekształcać, a nie wymyślać od nowa.

Wolność pod rządami prawa

Na polską formułę kompromisu pada cień węgierskiej opozycji. Nasi przyjaciele z południa powiedzieli jasno: nie interesuje nas objęcie rządu bez tek ministra obrony, spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych. Kierownictwo Solidarności uznało, że siła racji przebiję się przez rację siły i sięgnęło po rząd. Sięgnęło w sytuacji, gdy nie ma programu gospodarczego dla tego rządu i nie ma prawnego oparcia dla decyzji egzekutywy. Istnieje ryzyko rewolucyjnej drogi, która będzie tylko karykaturą drogi komunistów: decyzje wykonawcze rządu będą traktowane jako tymczasowe prawo, zaś legislacja — jako sposób podejmowania decyzji politycznych. Znam kontrargumentację: komuniści zdołali zorganizować aparat władzy i przejmując ją dzięki takim metodom, więc od razu odpowiadam: bolszewickimi metodami można dojść tylko do bolszewizmu, a nam chodzi przecież nie o naszą władzę, lecz o inny sposób rządzenia.

Rząd bez prawa, które reguluje życie obywateli, będzie tym, czym był poprzedni. Miał być nowym stróżem, stanie się na powrót portierem, który zacznie legitymować obywateli i pytać, dlaczego przeciwstawiają się jego zarządzeniom, gdy chcą ich dobra i mają rację. Przegramy gambit, gdy Solidarność stanie się opozycją samej siebie. Jeśli nie przeforsujemy w Sejmie programu przebudowy państwa, a rząd natychmiast skutecznie go nie zinstrumentalizuje, nasz ruch zostanie pożarty przez rakową tkankę komunistycznej władzy.

Maciej POLESKI

Sprawy i troski

Problemy Polski widziane z Tokio

Podobnie jak w krajach zachodnich, zainteresowanie sprawami i problemami Polski jest w Japonii duże, o czym mogłem się ponownie przekonać w czasie niedawnego pobytu w Tokio. Wszystkie komentarze polityczne o Polsce skupiają się głównie na jednym centralnym zagadnieniu: do jakiego stopnia nowy rząd premiera Mazowieckiego ma rzeczywiście swobodę nieskrępowanego działania w sprawach wewnątrz krajowych, tzn. przede wszystkim w kierowaniu gospodarką. W odróżnieniu od umiarkowanego optymizmu na Zachodzie, w Japonii nadal panuje brak przekonania i sceptycyzm co do „niezależności politycznej” nowego rządu: jest on wprawdzie uważany za historyczny wyłom w dotychczasowym monopolu władzy komunistycznej, co jednak jeszcze nie oznacza końca władzy komunistów w Polsce, skoro trzymają w swych rękach cały aparat siły wojskowej i milicyjnej. Sympatie i szczerze życzenia powodzenia dla rządu premiera Mazowieckiego są znaczne, lecz równie mocne są wątpliwości co do ostatecznego sukcesu, w obliczu licznych problemów, z jakimi musi się na co dzień uporać. Mizutani Takeshi z Ośrodka Badań Polski w Tokio, niewątpliwie jeden z największych autorytetów w sprawach Polski w Japonii, w niedawnej analizie „eksperymentu polskiego” zwrócił uwagę na dwa główne problemy. Pierwszy, to odziedziczenie w spadku po komunistach nie tylko głębokiego kryzysu gospodarczego, lecz również kryzysu „praktyki politycznej”, tzn. braku doświadczeń i odpowiednich struktur dla demokratycznego sprawowania władzy. Drugi problem to walka z nomenklaturą, czyli próby

wprowadzenia mechanizmów demokratycznych i wolnorynkowych w sytuacji, gdy cały aparat administracji państwowej znajduje się nadal pod kontrolą i wpływami komunistów. Są to tylko dwa, zasadnicze zagadnienia, a podobnych i pokrewnych pytań, jakie dziś nurtują ekspertów do spraw polskich w Tokio, jest wiele. Składają się one w sumie na ogólną ocenę sytuacji politycznej w Polsce jako chwiejnej i niepewnej. Jak rzutowałyby takie oceny na zainteresowanie Polską w japońskich kołach przemysłowych, a w szerszym zakresie na możliwości pomocy gospodarczej dla Polski?

Otóż pomimo niepewności, świat biznesu japońskiego jest żywo zainteresowany nowymi możliwościami inwestycyjnymi w Polsce, w kontekście zachodzących przemian wolnorynkowych. Wielkie korporacje handlowe zajmują się już teraz przygotowaniem specjalnych funduszy inwestycyjnych, wywierając równocześnie naciski na rząd w kierunku zmiany polityki kredytowej wobec Polski, nawet bez oglądania się na Międzynarodowy Fundusz Walutowy. W czasie licznych rozmów na ten temat w różnych instytucjach finansowych i rządowych, np. Japan Center for International Finance, głównym problemem w sprecyzowaniu nowej polityki finansowej wobec Polski jest absolutny brak konkretnych danych odnośnie nowej polityki gospodarczej i budżetowej rządu w Warszawie. Inne zarzuty, z jakimi się często spotykałem, dotyczą braku wiadomości co do priorytetów inwestycyjnych, konkretnych projektów itp.

Zwleknięcie ze sformułowaniem nowej polityki kredytowej nie oznacza jednak braku gotowości rządu japońskiego w czynnym zaangażowaniu w pomocy dla Polski, w koordynacji z innymi krajami Zachodu, co zostało wyraźnie stwierdzone przez premiera Japonii Kaifu w rozmowach z premierem Wielkiej Brytanii panią Thatcher w czasie jej wizyty w Tokio we wrześniu br. Japończycy śledzą uważnie każdy krok w tym kierunku ze strony innych państw zachodnich, szczególnie Niemiec, rozważając równocześnie zakres swych własnych opcji.

W październikowym numerze miesięcznika *Porando geppo* ukazał się ciekawy wywiad ze Z. Bujakiem (bawił w Tokio w związku z udziałem w Światowym Kongresie o Zakazie Broni Nuklearnych) na temat przemian gospodarczych w Polsce, w którym podkreślił on znaczenie kapitału i inwestycji zagranicznych jako najbardziej skutecznej formy pomocy gospodarczej. Odnośnie politycznego aspektu tego zagadnienia, dał niedwuznacznie do zrozumienia, że napływ inwestycji japońskich byłby w Polsce mile widziany, jako przeciwwaga przed spodziewaną powodzią kapitału niemieckiego. W trakcie wywiadu japońscy gospodarze poruszyli również sprawę możliwości pomocy japońskiej w ramach rządowej tzw. Oficjalnej Pomocy Rozwojowej

(ODA), ze względu na szczególnie szerokie możliwości Japonii w tym zakresie. Przypomnę tutaj, iż fundusze w ramach ODA przyznawane są bez obciążeń spłatowych, będąc najwygodniejszą i *de facto* formą pomocy. Przeznaczone są głównie dla takich sektorów jak leczenie, szpitalnictwo i ochrona zdrowia, ochrona środowiska, rolnictwo, świadczenia socjalne itp., a więc jako forma pomocy dla realizacji projektów w gałęziach o niskiej atrakcyjności dla kapitału prywatnego. Jest prawdą, iż fundusze te przeznaczone są dla krajów rozwijających się, lecz również przykrą prawdą jest fakt, iż oplakany stan wyżej wymienionych sektorów w Polsce daje dobre podstawy kwalifikacyjne na taką pomoc. ODA jest wprawdzie najlepszą, lecz nie jedyną możliwą formą pomocy w ramach Japońskiej Współpracy Gospodarczej (w której Japonia zajmuje pierwsze miejsce sumą 22,5 miliardów dolarów, przed USA z 13,1), istnieją inne, łącznie z funduszami prywatnymi koordynowanymi przez japońskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Nasuwa się pytanie, dlaczego dotąd nie wysłano specjalnej misji gospodarczej do Tokio, celem zbadania możliwości pomocy japońskiej na miejscu. Wygląda na to, iż nadzieje nowego rządu Solidarności na pomoc gospodarczą wiążą się tylko z Zachodem, z dziwnym i niezrozumiałym pominięciem Japonii, rozporządzającej dziś największymi środkami pomocy finansowej i gospodarczo-technicznej.

Janusz MONDRY

Koniec paryskiego bruku?

O emigrantach pisze się w gazetach krajowych źle, od *Res Publici* poczynając, a na *Promienistych* kończąc. Czy w nowej sytuacji zjawisko emigranta w dawnym sensie — człowieka pozbawionego prawa powrotu — stanie się reliktem ponad czterdziestu lat wypażeń i wybaczeń — tego nie wiem. Na razie pisze się o nich nadal źle. Raz, że zdrajcy kraju w kłopotach, raz wznioślej i bardziej pragmatycznie: że upust krwi. Dla ich losów za granicą dziennikarze nie mają pobłażania: nie dość, że opuścili kraj, to jeszcze psują opinię o Polakach na paryskim i każdym innym bruku.

Taki właśnie wydzwięk ma artykuł w *Promienistych* (29.05.1989) pod tytułem „Na paryskim bruku źle”, sygnowany przez Bogusława

Chrabota. Żeby pokazać ogrom polskiego exodusu do Paryża, autor nie cofa się przed przesadą. „Niegdyś nie byli dla Zachodu problemem numer jeden — czytamy. — Dziś powoli zastępują Jugosłowian i Turków. Exodus znad Wisły oddaje powoli palmę pierwszeństwa naszym rodakom”.

Fakty są takie, że stanowią we Francji nadal kroplę w morzu imigrantów. Hen, hen nam do rugowania kogokolwiek z należnych w tej materii pierwszych miejsc. Te należą do mniej więcej miliona Algierczyków, niemal takiej samej ilości Portugalczyków lub połowy tej liczby Marokańczyków. My — to oficjalnych ponad 60 tys. emigrantów. Oczywiście nie ma żadnego sposobu, żeby zrobić spis ludności przebywającej na czarno. Ale dotyczy to zarówno przybyszów z Magrebu, jak z Polski.

„Paryż. Jeden z domów zamieszkałych przez Polaków. Istnieje tu wyraźna hierarchia społeczna, wyznaczona miejscem, w którym się mieszka na terenie domu. Budynek ma kilka pięter. Im wyższe piętro, tym lepsze warunki. (...) Niżej są sale ogólne z piętrowymi łóżkami, w których mieści się po osiem osób. Jeszcze niżej mieszka się w sali telewizyjnej, a właściwie nie mieszka, a nocuje (...). Jeden z mieszkańców, kiedy pytam go o to, jaka atmosfera panuje nocą w tym kolektywnym legowisku, mówi: przyjdź kiedyś w nocy (...) i wyjdiesz na kurwach. Tu bracie nie ma zmiłuj się (...). Ciągłe wybuchają kłótnie, nierzadko bójki i wtedy przyjeżdża policja i resztę nocy spędza się na komisariacie (...) Reputacja, jaką cieszą się Polacy w Paryżu, nie jest najlepsza. Np. nazajutrz po jednej z głośniejszych awantur w domu uchodźców polskich w Paryżu jedna z mieszkanki przytułku wychodziła na zakupy i spotkała znajomą Francuzkę, która z wyraźnym zaciekwieniem zadała pytanie: czy to prawda, że dziś w nocy zamordowano w waszym domu trzy osoby?” (*Promieniści*)

Chodzi o dom polski św. Antoniego w Paryżu. Otwarto go we wrześniu 1984 roku, z inicjatywy Komitetu Pomocy Polakom we Francji. Komitet założyli Francuzi wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego, jeszcze w grudniu 1981 roku. Nastawiony był na niesienie pomocy Polakom, których stan wojenny zastał we Francji. Powoli przechodził w ręce polskie. Po prostu Francuzi nie mogli porozumieć się z nowymi falami polskich emigrantów, nie mówiących po francusku. Dzisiaj komitetem i domem kieruje pan Wierusz-Kowalski. Pan Wierusz w czasie II Rzeczypospolitej był ministrem aprowizacji w ostatnim rządzie Sławoja-Składkowskiego. Urodził się we Fryburgu, obywatelstwo ma szwajcarskie. W Rzeczypospolitej spędził dwanaście lat życia. Przeczytał artykuł o polskim domu w *Promienistych*.

— Ma wiele racji reporter — powiedział. — Ale nie jest prawdą na przykład to, że w naszym domu często gości policja francuska. Policja oświadczyła: radźcie sobie sami ze swoimi ziomkami.

Nie jest też prawdą, że panuje tu swoista hierarchia społeczna. Za wszystkie pokoje płaci się jednakowo. Jest to tylko opłata za światło, ogrzewanie i wodę... Nie ma też już dzisiaj osławionej sali telewizyjnej — legowiska bezdomnych, zapelnionego materacami. W domu jest czysto.

Mieszkają w nim obecnie cztery kategorie ludzi — mówi pan Kowalski. — Pierwsza to rodziny z dziećmi: rodzice nie pracują i żyją z zasiłku dla bezrobotnych. Druga: rodziny z dziećmi, rodzice znaleźli pracę, ale nie taką, by byli w stanie wynająć mieszkanie w mieście. Przy każdym wynajmowaniu wymagane są bowiem odpowiednie do ceny mieszkania zarobki. Na ogół trzy-czterokrotnie wyższe niż miesięczny czynsz. Dlatego sześciomiesięczne prawo do mieszkania w polskim domu jest przedłużane, bo nie sposób wyrzucić na ulicę rodziny z dziećmi. Trzecia grupa to ludzie samotni, oczekujący na azyl lub decyzję komisji odwoławczej. No i czwarta, przybyli z RFN, gdzie odmówiono im azylu...”

Zdaniem pana Wierusz-Kowalskiego najbardziej przejmujące jest to, że Polacy przyjeżdżający z Polski są po czterdziestu pięciu latach systemu komunistycznego całkowicie wynarodowieni. Nie mają żadnego poczucia narodowego. Przyjeżdżają ludzie, którzy w ogóle nie czują się związani z ojczyzną. Obchodzi ich tylko jedno: umożliwić sobie jak najlepsze miejsce.

„Polacy nie stworzyli w Paryżu mocno związanego ze sobą środowiska emigracyjnego. Brak podstawowych więzi i wzajemnej pomocy. Jest tu kilka ulic dalej paryski komitet NSZZ Solidarność. Nie utrzymuje z domem, w którym mieszkam, żadnych kontaktów...” (*Promieniści*) Opinię tę podzielają wszyscy: do komitetu Solidarności się w ogóle nie chodzi, bo po co?

— Ten brak poczucia narodowego — mówi pan Wierusz-Kowalski — powoduje, że mieszkańcy naszego domu nie poczuwają się do żadnej solidarności. Króluje zawiść... Że np. jednemu przyznano niższe w opłatach, a drugiemu nie. Nie rozumieją, że powinni solidarnie pomóc biedniejszym, którzy nie zarabiają, i tym bardziej płacić, żeby tamci przeżyli. Reagują wręcz przeciwnie. Tamten nie zapłacił? To ja też nie zapłacę. Brak im wszelkich zasad moralnych, uczuć narodowych i zwykłej ludzkiej solidarności. To prawdziwy dramat, którego się łatwo ani szybko nie zmieni, bo trudno jest wykształcić przymioty społeczne w ludziach, znajdujących się pod taką presją ekonomiczną. Rodzi ona raczej egoizm. A dzieci tych ludzi? Wynarodowiają się szalenie szybko. Chodzą do francuskich szkół i nawet w naszym domu bawią się już tylko po francusku. Rodzina nie uczy ich poczucia narodowego. Owszem, strój krakowski, to tak — bo to ładne.

Nasz dom nie jest już właściwie polskim domem, a stworzenie wśród obecnych emigrantów jakiejś wspólnoty jest po prostu niemożliwe.

Na początku przyjeżdżali polityczni, którzy cierpieli za kraj, siedzieli po więzieniach. To był inny gatunek ludzi. Obecni przybysze

nie ucierpieli w czasie stanu wojennego, nawet do pełnoletności dochodzili później. Nie wiem, na ile reprezentują ogół Polaków. Naturalnie zdarzają się wśród nich także wartościowe jednostki, ale ogólnie rzecz biorąc przyjeżdżają teraz z Polski ludzie marginesu. Nie wiem, czy jest to tylko odprysk szerszego marginesu, który istnieje w Polsce, czy też cała ta kategoria ludzi stara się zakotwiczyć na Zachodzie. Trudno to wiedzieć, myślę jednak, że i w Polsce istnieje podobny margines.

— *Czy może pan powiedzieć kilka słów o formalnym statusie tych ludzi?*

— Dzisiaj przyjmujemy przede wszystkim ludzi, którzy byli przez dłuższy czas w Niemczech i nie uzyskali tam azylu. Przeszli więc przez zieloną granicę i starają się dostać go we Francji. Powołując się na prawo do pracy, a wraz z nim prawo do pracy. A jeśli nawet nie uzyska się azylu, to okres czekania na niego — albo odmowę — daje chwilę wytchnienia. Co więcej, przez ten czas przysługuje ludziom prawo do pracy. Tak było do niedawna, ale się skończyło.

Bardzo sprytnie to Francuzi zmienili. Dotychczas było tak, że uchodźca zgłaszał się do komisariatu policji, wypełniał odpowiednie podanie, składał je w Biurze Ochrony Uchodźców OFPRA wraz ze swoim paszportem i w zamian dostawał czasowe prawo pobytu i pracy. Teraz OFPRA nie przyjmuje paszportu ani nie wydaje prawa pobytu, informuje tylko, że w ciągu dwóch-trzech tygodni przyjdzie odpowiedź, czy podanie o azyl zostało przyjęte. I odpowiedź przychodzi: podanie odrzucone, nie zostanie pan azylu. Przy takim trybie postępowania emigrant nie ma praktycznie ani chwili wytchnienia: nie ma prawa pracy i nie może liczyć na zasiłek dla bezrobotnych. Musi sobie jakoś radzić. Jeżeli odpowiedź OFPRA jest odmowna, policja wydaje mu nakaz opuszczenia Francji. On się nie podporządkowuje, zostaje nielegalnie, pracuje na czarno...

Tu pragnę podkreślić, że w naszym domu nie ma ani jednej osoby w nieuregulowanej sytuacji prawnej. Przestrzegamy tego bardzo rygorystycznie, ponieważ otrzymujemy niewielką subwencję od rządu francuskiego (ok. 100 tys. franków rocznie), jesteśmy więc w każdej chwili narażeni na kontrolę.

— *Ile osób mieszka w polskim domu?*

— Przystosowani jesteśmy do przyjęcia 60-70 osób, w tej chwili mieszka ich 140.

— *Skąd tyłu ludzi w uregulowanej sytuacji prawnej, skoro Pana zdaniem — które potwierdzają urzędnicy OFPRA — nie przynajmniej już Polakom azylu politycznego?*

— Niektórzy mają azyl uzyskany dawniej, a nie mają się dokąd wyprowadzić. Część ma tymczasową kartę pobytu z czasów, kiedy odwoływanie się trwało miesiącami. Ci ludzie wciąż czekają na odpowiedź Komisji Odwoławczej i nadal mają prawo pracy. Najczęściej są to rodziny z dziećmi. Wśród naszych 140-tu pensjonariuszy jest 30-oro dzieci.

— *Czy mimo wszystko nie dałoby się wokół polskiego domu stworzyć jakiejś wspólnoty emigracyjnej?*

— Nie w tym domu. Jest on instytucją charytatywną i albo nią pozostanie, albo przerodzi się w ośrodek polityczny. Nie chcemy, żeby stał się instytucją polityczną. Już brakuje środków na jego utrzymanie: mieszkańcy nie chcą płacić, a rząd francuski zlikwidował dotacje prawie do zera. Subwencja, o której poprzednio wspominałem, jest niemal symboliczna. Francuzi uważają, że w Polsce panują już normalne warunki polityczne, żadne prześladowania policyjne Polakom nie grożą i wobec tego nie trzeba im już pomagać. Wolą skupić wysiłki na Afrykańczykach, Wietnamczykach...

Akcja Komitetu Pomocy Polakom, a więc także działalność domu polskiego we Francji, kończy się. Z opozycji przechodzimy do współpracy z rządem. Wobec tego opieka społeczna nad Polakami, także tymi, którzy przebywają za granicą, staje się zadaniem rządu polskiego. Nowemu rządowi należy wytłumaczyć, że musi pomyśleć o Polonii za granicą. Tak robi każdy demokratyczny kraj na świecie — zajmuje się swoimi obywatelami mieszkającymi w różnych krajach. Wspólnie z rządem należałoby przeprowadzić badania, jak zorganizować pomoc społeczną dla Polaków za granicą. Dotyczy to rozmaitych kwestii spadkowych, mieszkaniowych itp., ale też po prostu ludzi, którzy żyją tutaj w biedzie. Trzeba im na przykład pomóc wrócić do Polski. Bilet na powrót jest dzisiaj nie do załatwienia. Powtarzam, opieka nad obywatelami jest obowiązkiem państwa.

Maria de HERNANDEZ-PALUCH

KSIĄŻKI

antykwaryczne, wyczerpane i nowe ok. 30.000 tytułów z dziedzin: Historia i Polityka, Druga Wojna Światowa, Literatura i Językoznawstwo, Judaica, Religia, Filozofia, Bibliografia, Sztuka, Różne.

Na żądanie wysyłamy bezpłatne katalogi.
Przyjmujemy zamówienia na konkretne tytuły
z określeniem terminu aktualności.

Księgarnia Polska, A. i E. Neustein
Allenby 94, Tel-Aviv, Israel,
POB 29443, Tel.: 621311, FAX 972-3-622497.

Sąsiedzi

Przemiany na Ukrainie

ROZMOWA Z LEONIDEM MYLAWSKIM

Józef DARSKI: — Czy był Pan obecny na konferencji założycielskiej Ukraińskiej Ligi Ludowo-Demokratycznej 25 czerwca 1989 roku w Rydze?

Leonid MYLAWSKI: — Tak. Przybyli tam delegaci z Odessy, Kijowa i Dniepropietrowska. Uchwaliliśmy projekt programu, statutu, apel do narodu, pismo z okazji rocznicy zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow i kilka innych dokumentów.

J.D.: — Czy Liga uznaje Ukrainę Sowiecką za jakąś formę państwowości ukraińskiej, choć sowieckiej, czy też za twór okupanta?

L.M.: — Oczywiście uznajemy tzw. władzę radziecką na Ukrainie za okupacyjną, ale jednocześnie uważamy za potrzebne uczestniczenie w wyborach, aby napęłnić tę strukturę jakąś narodowo-państwową treścią. Chcemy drogą pokojową, parlamentarną zmienić jej istotę.

J.D.: — Czy wydajecie własną prasę jak inne organizacje (np. Ukraiński Związek Helsiński (Spilka) ma obecnie około dziesięciu tytułów)?

L.M.: — Współpracujemy przy redagowaniu kilku gazet i czasopism. Mam na myśli przede wszystkim *Trybunę*, wydawaną w Rydze przez Ukraiński Klub Młodzieżowy.

J.D.: — Jaki jest stosunek Ukraińskiej Ligi Ludowo-Demokratycznej do Ukraińskiego Związku Helsińskiego?

L.M.: — Liga jest kolektywnym członkiem *Spilki*.

J.D.: — Jakie różnice programowe zachodzą między Ligą a UZH?

L.M.: — W przybliżeniu różnice sprowadzają się do tych samych punktów, co w wypadku różnic między Ligą i Ruchem na rzecz Przebudowy. Chociaż *Spilka* jest organizacją bardziej radykalną niż Ruch, jednak wyraźnie nie definiuje dążenia do niepodległości. W jej programie znajduje się takie sformułowanie: „UZH jednoczy wszystkich ludzi, którzy dążą do odnowienia ukraińskiej państwowości zarówno w ramach odnowionej federacji, konfederacji, czy też w formie niepodległego państwa”, natomiast my występujemy tylko na rzecz niepodległego państwa i sądzymy, że wszystko inne jest nierealistyczne i niepotrzebne.

J.D.: — Na czym polegają różnice między Ligą a grupą lwowskiego czasopisma *Ukraiński Czas*, które na konferencji w Rydze reprezentował Iwan Prichod'ko?

L.M.: — My z władzą nie współpracujemy, ale bierzemy udział w wyborach, aby wprowadzić patriotycznie i demokratycznie myślących ludzi do Rady Najwyższej, pan Prichod'ko i jego grupa uważają natomiast, że jeśli władza jest okupacyjna, to nie można mieć z nią nic wspólnego, nie wolno uczestniczyć w wyborach, należy je bojkotować. Sądzymy, że takie stanowisko jest nierealistyczne, gdyż nie moglibyśmy skłonić do bojkotu ponad połowy ludzi, a po drugie, jeśli nawet jakaś część wyborców zbojkotowałaby wybory, dałaby w ten sposób przedstawicielom aparatu możliwość zdobycia mandatów poselskich.

J.D.: — Czy brał Pan udział we wrześniowym zjeździe założycielskim Ukraińskiego Ruchu na rzecz Przebudowy indywidualnie czy jako delegat Ligi?

L.M.: — Uczestniczyłem w zjeździe jako członek ULLD, gdyż zaproszono mnie jako gościa, tzn. bez prawa udziału w głosowaniu.

J.D.: — Czy oznacza to, że Liga nie przystąpiła do Ruchu?

L.M.: — Liga nie przystąpiła do Ruchu, gdyż, po pierwsze, istnieją między nami pewne różnice dotyczące zasad programowych, a po drugie, Ruch zdecydował się wprowadzić jedynie członkostwo indywidualne. O ile wiem, niektórzy członkowie Ligi należą także do Ruchu.

J.D.: — Jakie są różnice programowe między Ligą a Ruchem?

L.M.: — W różny sposób odpowiadamy na pytanie o przyczyny obecnej sytuacji na Ukrainie i w ZSSR oraz inaczej określamy starania konieczne dla wyjścia z tego kryzysu. Przykładowo, uważamy, że u podstawy obecnego położenia Związku Sowieckiego, a

zwłaszcza Ukrainy, leżą pewne charakterystyczne cechy ideologii komunistycznej, natomiast Ruch, jako szeroki obywatelski związek polityczny, do którego należy również wielu komunistów, nie porusza tej tematyki. Po drugie, uważamy, iż dla wydobycia się z kryzysu konieczne jest osiągnięcie pełnej niepodległości, zbudowanie niezależnego państwa ukraińskiego, które następnie będzie mogło wstąpić lub nie, jeżeli nie będzie mu to potrzebne, w jakieś dobrowolne związki z ZSSR, Rosją, czy z tym co pozostanie po ZSSR, na wzór na przykład Wspólnoty Europejskiej albo Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Ponadto podkreślamy, że konieczne trzeba wywodzić wprowadzenie na Ukrainie pluralizmu politycznego i ekonomicznego.

J.D.: — *Co rozumiecie pod pojęciem pluralizmu ekonomicznego?*

L.M.: — System wielopartyjny. Ruch wprowadzi mówi o pluralizmie ekonomicznym, ale całkowicie pomija kwestię pluralizmu politycznego i ustroju wielopartyjnego. Na razie mówią tylko o mniej lub bardziej wolnych wyborach.

J.D.: — *W Nadbałtyce istnieje różnica terminologii: Sajudis i inne fronty ludowe mówią o suwerenności państwowej, co oznacza pozostanie w ramach ZSSR, natomiast organizacje niepodległościowe używają słowa „niepodległość”, pod którym rozumieją oderwanie się od Związku Sowieckiego. W pierwszym wypadku sprowadza się to do powrotu do zasady leninowskiej: jedna partia komunistyczna i mniej lub bardziej suwerenne republiki.*

L.M.: — Za Lenina nie były one nigdy suwerenne.

J.D.: — *Oczywiście, ale aparat państwowy miał charakter bardziej lokalny, jego kadry bardziej ukrajinizowano itd.*

L.M.: — To była wymuszona ukrajinizacja. Musieli przeprowadzić tzw. ukrajinizację, aby położyć kres wpływom grup narodowych wśród ludności.

J.D.: — *Niezależne ruchy narodowe w ZSSR stoją przed wyborem: albo domagać się powrotu do leninowskich zasad „korzenizacji” (np. na Ukrainie — ukrajinizacji), ale pozostawić komunizm i jedną partię komunistyczną, albo też dążyć do niepodległości i demokracji. Jakiej odpowiedzi na to pytanie udzielają Liga i Ruch?*

L.M.: — Punkt widzenia Ligi już określiłem: jesteśmy za pełną niepodległością państwową Ukrainy oraz pluralistycznym modelem społeczeństwa. Ruch natomiast wprowadzi już nie mówi o powrocie do leninowskiej federacji, ale też jeszcze nie domaga się niepodległości, tzn. znajduje się w punkcie, w którym przed rokiem był Sajudis. Ruch opowiadając się za utworzeniem konfederacji, ma na myśli

mniej więcej realną suwerenność w ramach Związku, na podstawie dobrowolnie podpisanej umowy związkowej.

J.D.: — *Na Litwie mówi się o możliwości uzyskania większej autonomii lokalnego aparatu partyjnego, który w przeciwnym wypadku zagrożony jest całkowitą klęską w starciu z organizacjami mogącymi odwoływać się do tradycji i uczuć narodowych. W dalszej perspektywie taka autonomizacja mogłaby prowadzić do powielenia modelu jugosłowiańskiego, w którym niezależność poszczególnych republik wynika z niezależności ich aparatów partyjnych.*

L.M.: — Ten problem na Ukrainie nie był jeszcze poruszany, ponieważ tutaj aparat partyjny w odróżnieniu od litewskiego jest całkowicie zrusyfikowany.

J.D.: — *Jakie są różnice między projektem programu opublikowanym 16 lutego 1989 roku a programem przyjętym 10 września na zjeździe założycielskim Ruchu? Chciałbym w tym miejscu przypomnieć niektóre charakterystyczne sformułowania zawarte w projekcie:*

„Ruch jest nową formą bloku komunistów i bezpartyjnych”, Ruch prowadzi walkę „o odnowę socjalistyczną”, „podstawowym celem Ruchu jest niesienie pomocy partii komunistycznej w tworzeniu i funkcjonowaniu... mechanizmu demokratycznego” itp.

L.M.: — Tych sformułowań już nie ma. Usunięto też zasadę kierowniczej roli partii komunistycznej. U nas radykalizacja postępuje nie z dnia na dzień, ale dosłownie z godziny na godzinę. Od 16 lutego stan świadomości społecznej na tyle się zmienił i zradykalizował, że przyjęcie zacytowanych przez Pana stwierdzeń było już niemożliwe i niepotrzebne.

J.D.: — *Uważa więc Pan, że nacisk społeczny był tak duży, iż wprowadzenie wspomnianych zasad do programu okazało się już niemożliwe?*

L.M.: — Oczywiście. Nawet w momencie przyjęcia pierwotnego projektu programu stanowiły one anachronizm, już były potępiane w świadomości społecznej, a od tego czasu pojawiła się dość duża liczba różnych, niezależnych organizacji społecznych, jak np. Ukraiński Związek Helsiński, Ukraińska Liga Ludowo-Demokratyczna, Ukraiński Front Chrześcijańsko-Demokratyczny i inne. Spowodowało to, że kierownictwo Ruchu znalazło się pod dość silnym naciskiem radykalnych organizacji i wówczas skasowało sformułowania oraz prawie wszystkie ukłony w stronę partii i socjalizmu. Trochę ich jednak jeszcze pozostało.

J.D.: — *Czy kierownictwo Ruchu zmieniło swą postawę pod naciskiem mas członkowskich, czy raczej w rezultacie wejścia doń nowych ludzi spoza partii komunistycznej?*

L.M.: — Sądę, że rolę odegrały oba czynniki: oddolny nacisk i pojawienie się nowych ludzi, zwłaszcza w czasie konferencji kijowskiego oddziału Ruchu. Tam przybyli na przykład członkowie UZH i to doprowadziło do zmian.

J.D.: — *Ale od kogo wyszła inicjatywa założenia Ruchu — od partyjnej, komunistycznej inteligencji czy od bezpartyjnych?*

L.M.: — Powołanie Ruchu zaproponowali nasi pisarze: Iwan Dracz, Wołodymyr Jaworiwski i Dimitro Pawłyczko. Oni są członkami partii, ale należą do komunistów, których można nazwać eurokomunistami, bądź mniej lub bardziej demokratycznymi komunistami.

J.D.: — *Demokratycznych komunistów nie ma.*

L.M.: — To jest oczywiście nonsens, ale na Węgrzech jest Rezső Nyers, a w Czechosłowacji był Dubczek. Oni nie stali się jeszcze demokratami, ale nie są już komunistami w pełnym sensie tego słowa.

J.D.: — *Czy można nazwać ich komunistami narodowymi?*

L.M.: — Oczywiście, taki nurt istnieje. Oni są ludźmi myślącymi patriotycznie i starają się godzić światopogląd komunistyczny z patriotyzmem i interesami Ukrainy. Na tym polega ich stała, kompromisowa postawa.

J.D.: — *Jakie stosunki panują między Ruchem a aparatem partyjnym?*

L.M.: — Na razie stosunki są złe. Ruch atakowany jest w prasie po dziś dzień. W dniu otwarcia zjazdu RATAU rozpowszechniał we wszystkich gazetach bardzo negatywne informacje na temat obrad. Ale możliwe, że teraz mają miejsce jakieś posunięcia i w najbliższym czasie stosunki będą się zmieniać, gdyż nie sądzę, by Szczerbicki miał jeszcze tyle siły politycznej, żeby nadal trzymać w rękach cały aparat, a z drugiej strony Ruch nabiera siły.

Jasne, że na to, na co mogą zezwolić w Estonii, na Ukrainie nigdy nie pozwolą, Gorbaczow wprost powiedział, gdy występował w Donbasie w lutym tego roku: „Sami rozumiecie, co będzie, jeśli Ukraina z 51 milionami ludności nagle zastrajkuje”. Myślę, że oni boją się właśnie tego.

J.D.: — *Czy Moskwa popiera stary aparat, czy też dąży do zmian w partii ukraińskiej, aby później nie zmuszano jej do tworzenia większych ustępstw na korzyść Ukraińców?*

L.M.: — Myślę, że teraz sytuacja ulega zmianie właśnie w tym kierunku. Moskwa jest zmuszona wyszukać kogoś. Nie popiera Ruchu,

ale również chce uniknąć jakiegos wybuchu, aby później nie doszło do sytuacji gorszej, z jej punktu widzenia, dlatego zmuszona jest poszukiwać jakiejś alternatywy dla Szczerbickiego.

J.D.: — *W obecnej sytuacji gdy nie można zastosować represji wystarczających dla zduszenia ruchu narodowego bez szkody dla strategii politycznej Sowietów, zaś ograniczone represje już nie dają rezultatów, gdyż demokratyzacja w Nadbałtyce oddziałuje na Ukrainę i dlatego dalsze przedłużanie dotychczasowej polityki grozi tylko wzmocnieniem organizacji radykalnych, a nawet antykomunistycznych, Ruch może kanalizować niezadowolenie, nie stanowiąc na obecnym etapie zagrożenia dla komunizmu. Dalsze zwlekanie z jego powołaniem pod egidą partyjnej inteligencji spowodowałoby, że ludzie poszliby do Spilki albo do Ligi itd.*

L.M.: — Tak, ale z drugiej strony komuniści boją się, że jeśli dadzą swobodę taką jaką dali krajom bałtyckim, nastąpi destabilizacja. Poszukują więc pośredniej drogi, żeby nie było ani tego, ani tamtego. Sądę, że wyjaśnia to fakt, dlaczego Ruch nie jest zbyt prześladowany. Chodzi o to, by na jego miejscu nie wyrosły zbyt radykalne organizacje. Dlatego pozwolono mu na przeprowadzenie zjazdu. Ale z drugiej strony Ruch łączy w ten czy inny sposób także *Spilkę*, której członkowie indywidualnie wchodzi w jego skład. Jeden z przywódców UZH, Mychajło Horyń, został kierownikiem sekretariatu Ruchu. Lokalnie, w oddziale kijowskim, lwowskim, tarnopolskim, czernihowskim i odeskim, Ruch tworzony jest w oparciu o struktury UZH jeszcze sprzed powstania Ruchu. Kierownicy lokalnych oddziałów *Spilki* wchodzi w skład miejscowych kierownictw oddziałów Ruchu.

J.D.: — *W tej sytuacji należy spodziewać się walki wewnątrz Ruchu o przejęcie kierownictwa nad nim.*

L.M.: — Prawdopodobnie do takiej walki dojdzie.

J.D.: — *W programie Ruchu mówi się o „odnowie struktury gospodarki narodowej Ukrainy”. Co to oznacza? Czy Ruch domaga się na przykład zwrotu ziemi chłopom?*

L.M.: — W aktualnym programie Ruch domaga się pluralizmu ekonomicznego, wprowadzenia różnych form własności, włącznie z prywatną, i przekazania ziemi chłopom. Nie wyjaśniono jednak, czy chodzi o przekazanie ziemi na własność czy też bez prawa sprzedaży.

J.D.: — *Porównajmy program minimum Ligi z programem Ruchu. Czy Ruch występuje na rzecz wprowadzenia obywatelstwa republikańskiego? Czego domaga się Liga?*

L.M.: — Nie, ten problem Ruch pomija, by nie rozdmuchiwać —

jak uważa — wrogości między różnymi narodowościami Ukrainy.

J.D.: — *A co z uznaniem ukraińskiego za język państwowy?*

L.M.: — Oczywiście Ruch domagał się tego od samego początku.

J.D.: — *Czy Ruch popiera hasło stworzenia niezależnych związków zawodowych, wysunięte przez strajkujących górników Czerwonohradu?*

L.M.: — Tak. Na zjeździe byli obecni przedstawiciele komitetów strajkowych z Donbasu. Ruch robotniczy cieszy się poparciem.

J.D.: — *A czy Liga próbowała nawiązać kontakty ze strajkującymi górnikami Donbasu?*

L.M.: — Staraliśmy się nawiązać łączność z górnikami, ale w Donbasie okazało się to niemożliwe, ponieważ już na samym początku partyjne władze oszukały strajkujących, mówiąc im, że spełnią wszystkie żądania, byleby tylko górnicy nie nawiązywali kontaktów z inteligencją, z przedstawicielami nieformalnych organizacji; przekonywano, że robotnicy mają własne interesy i zajmowanie się polityką nie jest im potrzebne. Przewijał się też taki motyw, że inteligenci są nacjonalistami, a akurat w Donbasie większość robotników należy do nie-Ukraińców i górnicy nabrali się na to. Przeniknięcie do grupy robotników, zbierających się na placu, było trudne lub wręcz niemożliwe, ponieważ sami otoczyli się ogrodzeniem i nikogo do siebie nie dopuszczali, z wyjątkiem żon i krewnych, którzy przynosili im jedzenie. Nie można było także wejść do siedziby komitetu strajkowego. W indywidualnych rozmowach robotnicy w pełni zgadzali się, że trzeba żądać praw politycznych. W niektórych kopalniach rzeczywiście domagano się ich, na przykład w Workucie, ale w Donbasie sytuacja była taka jak opisałem.

J.D.: — *Czy Ruch postanowił domagać się utworzenia odrębnych republikańskich (ukraińskich) jednostek wojskowych?*

L.M.: — Tę kwestię poruszono na zjeździe, ale taki punkt do programu jeszcze nie wszedł. Był to jeden z momentów kompromisowych, o których już mówiłem, kierownictwo Ruchu rozumie wiele spraw, ale ze względów taktycznych nie włącza ich do programu.

J.D.: — *Jakie były główne kwestie sporne na zjeździe?*

L.M.: — Np. problem legalizacji symboliki narodowej. Niektórzy przedstawiciele wschodnich okręgów Ukrainy, zwłaszcza Donbasu, nie występowali przeciwko symbolice narodowej jako takiej, ale twierdzili, że na wschodzie naród jeszcze nie jest gotowy do przyjęcia jej legalizacji i tą kwestią należałoby zająć się nieco później. Oprócz tego mówiło się, że trzeba ześrodkować całą uwagę na sprawie wyborów, ale takich momentów było bardzo mało i absolutna większość opowiedziała się za legalizacją symboliki narodowej.

J.D.: — *Jak delegaci zareagowali na wezwanie przewodniczącego UZH Łewka Łukianienki do pełnej niepodległości Ukrainy?*

L.M.: — Delegaci wstali i zgotowali Łukianienie owację na początku i na końcu jego wystąpienia. Wszystkie wezwania do pełnej niepodległości spotkały się z owacjami i okrzykami: *Sława!* Reakcja była więc jednoznaczna.

J.D.: — *Dlaczego zatem nie powzięto odpowiedniej uchwały?*

L.M.: — Nikt nie ma żadnej wątpliwości, że niepodległość jest od zaraz potrzebna, ale większość ze względów taktycznych i ze strachu uważa jednak, iż nie należy podnosić tej kwestii i odkłada ją na później, a teraz woli mówić o odnowieniu federacji czy konfederacji. Dlatego wszyscy są za niepodległością, ale do programu tego punktu nie wnoszą.

J.D.: — *Czy Ruch obejmuje Ukraińców z terenu całego Związku Sowieckiego, czy tylko z obszaru Republiki Ukraińskiej?*

L.M.: — Ruch obejmuje także Ukraińców spoza terenu republiki. Poza nią ośrodki Ruchu są nieliczne, ale proces ich zakładania posuwa się naprzód. Ruch popiera prawa narodowe Ukraińców zamieszkających poza granicami Ukrainy, zakładanie szkół itp.

J.D.: — *Czy na zjeździe próbowano nawiązywać do tradycji Ukraińskiej Republiki Ludowej zniszczonej przez bolszewików?*

L.M.: — Wielu delegatów, zwłaszcza Łewko Łukianenko, poruszało temat UNR, ale do programu punkt ten wszedł w bardzo umiarkowanej formie. Może zacytować: „Po rozpadzie imperium rosyjskiego i austriacko-węgierskiego na Ukrainie ustanowiono państwowość narodową; ogłoszono utworzenie Ukraińskiej Republiki Ludowej, a po pewnym czasie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. W złożonych warunkach historycznych proces formowania się państwowości ukraińskiej doprowadził do utworzenia Ukraińskiej Republiki Rad, która w 1922 roku razem z republikami sowieckimi — Rosją, Białorusią i Zakaukaziem — zjednoczyła się w Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich w drodze zawarcia umów związkowych”.

J.D.: — *Czy w zjeździe Ruchu uczestniczyli delegaci z Ukrainy narodowości polskiej?*

L.M.: — O ile pamiętam, było sześciu delegatów-Polaków z Ukrainy.

J.D.: — *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał Józef DARSKI

W sowieckiej prasie

Kiedy ponad rok temu stało się oczywiste, że największym problemem ZSSR będzie kwestia narodowa, Gorbaczow zawiadomił, że wkrótce zwoła plenum KC KPZS, które wszystko rozwiąże. Plenum bez końca odlekano. Zwołano je dopiero wtedy, kiedy w niektórych regionach walki międzyetniczne osiągnęły temperaturę wojny domowej. Zebrani rozpatrzyli wtedy projekt „platformy KPZS” w kwestii „narodowościowej polityki partii w obecnych warunkach”. Kiedy w 1921 roku Lenin wprowadził NEP — nową politykę ekonomiczną — była to rzeczywiście nowość w porównaniu z poprzedzającym ją okresem „natychmiastowej budowy komunizmu”. Gorbaczowska NPN — nowa polityka narodowościowa — z 1989 roku nowością żadną nie jest. Dyskusję na plenum otworzył pierwszy sekretarz komitetu partyjnego Baszkirii, Habibulin: „Projekt platformy KPZS nie stanowi wyłomu w tradycyjnych poglądach, bo pozostawia nietkniętą hierarchiczną strukturę ustroju narodowościowo-państwowego” (*Prawda* z 21.9.89).

Przedstawiając swoją „nową politykę narodowościową”, Gorbaczow zaapelował o wykorzystanie „tego, co najlepsze” w sowieckiej historii i potępił „nihilistyczny stosunek do przeszłości”. Przypominał, że w carskiej Rosji nie było Ukrainy, Białorusi ani Gruzji, a teraz są. Podkreślił, że w 1940 r. „realne niebezpieczeństwo zniewolenia zawisło i nad narodami Nadbałtyki” i dlatego „nie ma podstaw, aby poddawać w wątpliwość ówczesną decyzję i wybór narodów nadbałtyckich, by wejść w skład ZSSR” (*Prawda* z 20.9.1989).

Sens tego jest taki, że historii nie da się cofnąć. Co się stało, to się nie odstanie, nie należy niczego zmieniać. Co zatem należy zrobić? Generalny sekretarz ma dwie propozycje: „napęłnić konkretną treścią” suwerenność, tzn. urzeczywistnić to, co figuruje w konstytucji sowieckiej, oraz dać socjalizmowi „drugi oddech” lub „nowy oddech”. Można się tylko domyślać, co to ma znaczyć.

Wywód Gorbaczowa brzmi tak: „Nasza partia opowiada się za dużym i silnym państwem federacyjnym, bo jest przekonana, że odpowiada ono interesom wszystkich narodów, które się zjednoczyły w Związek Sowiecki”. Narody te należą bowiem „do jednego z najpotężniejszych państw nowożytnych, mającego ogromne bogactwa naturalne, rozwinięty przemysł rolniczy, arsenał wiedzy naukowej” itd., itp. Dzięki „swej przynależności do Związku Sowieckiego wszystkie narody mają szansę szerokiego udziału w życiu międzynarodowym i czynnego wpływu na bieg wydarzeń światowych”. Jeśli te „stałe czynniki” nie przekonały narodów ZSSR, to Gorbaczow

podsuwa im jeszcze jeden dodatkowy a decydujący argument — że mianowicie mogą uczestniczyć w *pieriestrojce*: „Rewolucyjna odnowa społeczeństwa sowieckiego jest głównym argumentem za umocnieniem naszego Związku”. Innymi słowy, jeśli wszystkie wyliczone powyżej korzyści — bogactwa przyrody, rolnictwo, nauka — w rzeczywistości niczego narodom ZSSR nie przyniosły, to za to potencjalnie szczęśliwe narody mogą wziąć udział w *pieriestrojce*. Generalny sekretarz obiecał, że stworzy „mechanizm realizacji praw republik związkowych w dziedzinie ich udziału w działalności międzynarodowej”. Niewykluczone, że kiedy pojawi się „mechanizm”, w ONZ-cie zasiadać będą nie trzy, a piętnaście republik sowieckich (nie licząc ZSSR). Urzeczywistni się nareszcie marzenie Stalina z Jałty.

Mówca oświadczył, że „administracyjno-terytorialne mapy kraju nie będą zmieniane”. Znaczy to, że wszystkie granice republik, autonomicznych obwodów itp. są nietykalne. Gorbaczow obiecał bronić praw obywateli ZSSR, mając na myśli 60 milionów ludzi, którzy żyją poza granicami swoich macierzystych republik. Zdaniem Gorbaczowa i jego NPN, rozwiązanie kwestii narodowej polega na rozszerzeniu gospodarczej autonomii republik. Kategorycznie natomiast sprzeciwił się „federalizacji” partii, tzn. przekształceniu republikańskich partii komunistycznych w suwerenne komunistyczne partie narodowe. Kiedy ponad 60 lat temu na zjeździe partii padły słowa, że ZSSR oznacza powrót do „jednej, niepodzielnej Rosji”, ktoś krzyknął: „jedna, niepodzielna partia”. Gorbaczow wraca do tej formuły, bo jedyną, niepodzielną partię uważa dziś za główną gwarancję trwałości Związku Sowieckiego. Propozycję szeregu mówców, aby stworzyć rosyjską partię komunistyczną, odrzucono: stworzone zostanie — zgodnie z platformą — Biuro KC d/s RSFSR. W odpowiedzi na decyzję kilku republik — Nadbałtyki, Gruzji, Mołdawii — że języki narodowe stają się językami urzędowymi, Gorbaczow zaproponował, by „nadać językowi rosyjskiemu status ogólnopaństwowego języka ZSSR”. Ponieważ konstytucja ZSSR jest nadrzędna w stosunku do konstytucji republikańskich, w każdej republice będą istniały dwa języki urzędowe, z czego jeden „ogólnopaństwowy”, tj. ważniejszy od miejscowego. Propozycje niektórych mówców, aby język rosyjski uznać za język „kontaktów między narodowościami”, a nie „ogólnopaństwowy”, nie znalazły uznania Gorbaczowa.

Plenum KC KPZS poparło nową politykę narodowościową, ale przemówienia świadczą o tym, że wszyscy doskonale rozumieją, iż wszystko zostaje po staremu. Nawet najbardziej — zdawałoby się — realna możliwość zmian — rozszerzenie autonomii — wydawała się uczestnikom plenum pustym gadaniem. Istota zagadnienia polega na tym, że nie wiadomo, w jaki sposób republiki zechcą kierować swoją gospodarką, jeśli się im na to pozwoli, skoro nie istnieje żaden mechanizm, pozwalający wcielać w życie suwerenność. Na przykład pierwszy sekretarz KC Białorusi Sokołow oznajmił, że 58%

wszystkich robotników przemysłowych Białorusi pracuje w fabrykach podlegających zarządowi ogólnozwiązkowemu. Tylko 8,5% dochodu z fabryk wpływa do skarbu Białorusi. Podobnie jest w Kazachstanie i Estonii. W RSFSR 72% przedsiębiorstw podlega zarządowi ogólnozwiązkowemu. Wszystkie one znajdują się w rękach centralnych ministerstw, silniejszych od władz republikańskich.

Gorbaczow nie zaproponował wprawdzie żadnego nowego rozwiązania nabrzmiewającego bezustannie problemu, ale wykorzystał na swoją korzyść kolejne starcie w swej pięcioletniej już wojnie o władzę. Następny zjazd KPZS zostanie zwołany przed terminem — w październiku 1990 roku. Najbliższy rok poświęcony więc będzie czystkom w partii i kolejnej kampanii na rzecz *pieriestrojki*. Krojąc czas na małe odcinki — od plenum do konferencji, od konferencji do wyborów, od wyborów do zjazdu — Gorbaczow stwarza pozory postępów.

Plenum dostarczyło okazji do nowej czystki na najwyższym szczeblu. Wyrzucono z Biura Politycznego Szerbickiego (przez osiemnaście lat rządził partią Ukrainy), Wiktora Czebrikowa (przewodniczącego KGB, a potem komisji prawnej KC), Wiktora Nikonowa (sekretarza KC d/s rolnictwa). Gorbaczow zmieniał pierwszych sekretarzy wszystkich republik, ale Szerbickiego nie ruszał, dopóki zapewniał mu spokój na Ukrainie. Czebrikow wszedł do Biura w 1985 r., a miesiąc przed dymisją udzielił *Prawdzie* wywiadu, w którym komentował nową politykę narodowościową dokładnie tymi samymi słowami, których Gorbaczow użył w referacie na plenum. Należy sądzić, że Czebrikow posłużył za kozła ofiarnego za pogrom w Tyflisie. Śledztwo prowadzi komisja Zjazdu Delegatów Ludowych i mogłoby się zdarzyć, że od Czebrikowa dojdzie do gabinetu generalnego sekretarza. Teraz jest już winny, śledztwo można zamknąć. Nikonow, wierny gorbaczowowiec, czymś się Gospodarzowi naraził, nie wiadomo jeszcze czym. Zwolnione stolki zajęli nowi wierni towarzysze. Zwraca wśród nich uwagę Władimir Kriuczukow, przewodniczący KGB. Nie ulega wątpliwości, że wprowadzenie szefa „organów” do Biura świadczy o tym, że ich rola się zwiększa. Kriuczukow okazał się niespodziewanie wielbicielem wywiadów i 9 września — dziesięć dni przed plenum — zdradził organowi azerbejdżańskiego KC pt. *Wyszka* swój pogląd na kwestię narodową. „Komitet Bezpieczeństwa Państwowego — oświadczył — dysponuje informacjami, że służby specjalne, antysocjalistyczne ośrodki państw imperialistycznych, uważnie śledzą sytuację w naszym kraju w dziedzinie stosunków między narodami... W ostatnim czasie nasiliły wysiłki w celu zaognienia nacjonalistycznych, szowinistycznych i separatystycznych nastrojów w wielu rejonach, ażeby zachwiać jednością państwa związkowego, osłabić jego moce ekonomiczne i obronne, a czasami bezpośrednio inspirować ekstremizm i masowe zaburzenia”. Trudno powiedzieć, kto kogo inspirował, ale Gorbaczow w referacie zarezerwował miejsce dla „nacjonalistycznych,

szowinistycznych i innych ekstremistycznych organizacji” i pogroził im „całą siłą prawa sowieckiego”.

Andriej Sacharow stwierdził w wywiadzie dla *Le Monde* (29.9.89), że w kwestii narodowej Gorbaczow skłaniał się na plenum „do stanowiska prawicowych konserwatystów”. Co do tego nie ma dwóch zdań. Wracając w ostatnim słowie do ulubionej formuły, generalny sekretarz powtarzał: „wypełnić realną treścią sowiecki federalizm”, „wypełnić realną treścią prawo do narodowego szkolnictwa”... Ewangelia dawno już uczy, że nie należy do starych beczek wlewać młodego wina. Dodajmy, że i wina jeszcze nie ma.

Na pytanie co myśli dziś o Gorbaczowie, Andriej Sacharow odpowiedział: „Mam wrażenie, że jedyną rzeczywistą zmianą było jego dojście do władzy”. Niewielu ludzi odważa się na takie zdanie, ale nikt jeszcze nie dowiódł, że większość zawsze ma rację. Jak wspominałem wyżej, wrześniowe plenum pozwoliło Gorbaczowowi wprowadzić do Biura kolejnych swoich ludzi i wyrzucić tych, którzy mu nie odpowiadają. Mimo wagi głównego przedmiotu obrad, najwięcej czasu poświęcono na plenum korupcji. Jeszcze nigdy w dziejach ZSSR — włącznie z ostatnimi latami Breżniewa, naznaczonymi serią skandali na najwyższych szczeblach władzy — nie było widać tak wyraźnie, jak zrosnięte są ze sobą kręgi polityczne i mafia. Na plenum złożył raport generalny prokurator ZSSR, A. Suchariow. Zrelacjonował śledztwo z powództwa Jegora Ligaczowa, którego oficerowie śledczy T. Gdłan i I. Iwanow oskarżyli o łapownictwo. Na uwagę zasługuje przede wszystkim fakt, że śledztwo w tej sprawie prowadziła komisja Zjazdu Delegatów Ludowych. Prokuratura ZSSR, obrończyni prawa sowieckiego, nie mogąc się najwidoczniej doczekać wniosków komisji, sama zabrała się do roboty. Wyjaśnione zostały drobiazgi. Były pierwszy sekretarz KC Uzbekistanu, Usmanchodżajew, zeznał po aresztowaniu, że m.in. dwukrotnie wręczył Ligaczowowi dwie koperty z 30-ma tysiącami rubli. Zeznania protokołowali Gdłan i Iwanow. Prokuratura ZSSR doszła do wniosku, że nie były to łapówki, a Ligaczow padł ofiarą oszczerstwa. Plenum wydało specjalną uchwałę, że przyjęło do wiadomości uniewinnienie Ligaczowa. Jak wiadomo, Jegor Ligaczow jest ostatnim przedstawicielem kategorii, zwanej przez zachodnich dziennikarzy „jastrzębiami”, „konserwatystami” i „wrogami *pieriestrojki*”. Rachuba jest jasna: oskarżyli, uniewinnili, a ślad zostanie. Jednak sam fakt, że sekretarza KC, członka Biura Politycznego, człowieka, który jeszcze niedawno uchodził za drugiego po Bogu, oskarżono o to, że wziął nędzne 60 tys. łapówki w sowieckiej walucie, doskonale oddaje atmosferę w ZSSR. Ale to nie wszystko. Gdłan i Iwanow, wybrani w szeregi deputowanych ludowych pod hasłem bezlitosnej walki z mafią, zagrożeni sądem za oszczerstwo, bezprawne metody śledcze itd., itp., rzucili się do walki politycznej. Gdłan działa w Moskwie, Iwanow w Leningradzie. 1 września Gdłan przemawiał na 100-tysięcznym wiecu w Moskwie i wezwał zebranych, aby wpłacali składki na fundusz wydawniczy pisma *Konsolidacja*, które — jego

zdanem — wkrótce zastąpi *Prawdę* i *Izwestia*. Iwanow wystąpił przed swoimi wyborcami w Leningradzie, ostro skrytykował kierownictwo KPZS i dodał, że stanowisko Gorbaczowa niewiele się różni od stanowiska Ligaczowa. Zaapelował do leningradzkich komunistów, aby nie płacili składek partyjnych, dopóki Ligaczow nie zostanie usunięty (*Russkaja mysl*, 6.10.89). Obaj byli oficerowie śledczy są związani z międzyregionalną grupą deputowanych, którą kieruje pięciu współ-przewodniczących, w tym Borys Jelcyn, Andriej Sacharow i Jurij Afanasjew.

Najbardziej znany spośród nich jest Borys Jelcyn. Triumfalnie wybrany deputowanym ludowym w Moskwie, odbył we wrześniu równie triumfalną podróż po Stanach Zjednoczonych i przez kwadras rozmawiał z prezydentem Bushem. Na wszystkie pytania odpowiadał bojowo i śmiało: chwalił Amerykę i Nowy Jork, oświadczył, że komunizm „to takie, jak by to powiedzieć, marzenie nie z tego świata”, że państwu nadbałtyckim należy przyznać „niezależność, suwerenność ekonomiczną i niezależność ekonomiczną... A potem niech same decydują, czy chcą wyjść ze Związku Sowieckiego, czy nie”. Kiedy go zapytano, jak Amerykanie powinni odnosić się do Gorbaczowa, też niczego nie ukrywał: „U Was — rzekł amerykańskim dziennikarzom — jeśli tylko mówi się o nim panuje pewna euforia... pierwszych dwóch lat *pieriestrojki*. Po prostu nie wiecie, jakie są w tej chwili realne problemy naszego kraju. Gdybyście wiedzieli, euforia by Wam przeszła”.

Po powrocie Jelcyna z podróży *Prawda* powitała go artykułem, przedrukowanym z włoskiej *Repubbli*. W artykule mowa jest o tym, że Jelcyn wypijał za jednym posiedzeniem butelkę „Jack Daniels’a”, że za pieniądze zebrane na cele publiczne kupił sobie aparaturę stereofoniczną itp. Okazało się jednak, że Jelcyn ma wielu zwolenników i *Prawda* przyznała, że się myliła. Jednak oskarżenia o alkoholizm i korupcję poszły w świat.

„Sprawa Ligaczowa”, „sprawa Jelcyna” to tylko drobne przykłady „nowego myślenia politycznego”, nowej taktyki w walce z przeciwnikami. W modzie są nie tyle frontalne represje, ile przebiegłe, perfidne, tajne manewry. W republikach wykorzystuje się mniejszości narodowe, grupowane w „internacjonalistyczne fronty”. Fronty te występują jako przeciwnicy frontów narodowych. Obok nieformalnych stowarzyszeń o charakterze demokratycznym powstają nieformalne stowarzyszenia wierne „leninizmowi”. W nazwie tych drugich często widnieją „lud pracujący” albo „robotnicy”. Na przykład w Leningradzie „Zjednoczony Front Ludu Pracującego” stawia sobie za cel „urzeczywistnienie w praktyce leninowskiej deklaracji praw wyzwolanego ludu pracującego”, która była podstawą dyktatury proletariatu. We wrześniu odbył się w Swierdłowsku pierwszy (założycielski) zjazd „Zjednoczonego Frontu Robotników Rosji”. Uczestniczyli w nim przedstawiciele „kolektywów roboczych” z 29-ciu miast federacji rosyjskiej, a także „posłowie internacjonalistycznych ruchów i frontów ludu pracującego Mołdawii,

Tadżykistanu, Łotwy i Estonii” (*Sowieckaja Rossija* z 13.9.89). Przemawiali delegaci „Komitetu Ratowania Wołgi”, „Towarzystwa Rosyjskich Artystów”, „Związku Duchowego Odrodzenia Ojczyzny”, „Związku Walki o Trzeźwość Narodu” itp. Uchwalono rezolucję, w której jest mowa o „dziele umocnienia Rosji jako ośrodka konsolidującego Związek Sowieckich Republik, utrwalenia państwa sowieckiego jako historycznie uzasadnionej, jedynej, wielonarodowej socjalistycznej Ojczyzny”.

Jednym z głównych odkryć obecnej doby jest klasa robotnicza. Strajki z lata 1989 r. pokazały, że robotnicy rzeczywiście istnieją i są realną siłą. Klasę robotniczą można więc wykorzystać w walce politycznej. Toczą się równocześnie dwa procesy. Z jednej strony klasa robotnicza uświadamia sobie swoją siłę. W obwodzie kemerowskim, skąd popłynęła na cały kraj fala strajków górniczych, powstał Związek Robotników Kuzbasu. We wrześniu odbywała się w Kemerowie trzecia konferencja związku. Uchwalono na niej statut i cel związku: „walczyć o prawdziwą władzę ludu przez przekazanie całej władzy w ręce ludu, sprawującego ją za pośrednictwem Rad Delegatów Ludowych; sprzyjać utworzeniu praworządnego państwa, wykluczającego na zawsze dyktaturę zarówno jednostek jak też jakiegokolwiek organizacji”. Konferencja uchwaliła rezolucję, w której opowiedziała się za uchyleniem art. 6 konstytucji, tj. kierowniczej roli partii. Robotnicy Kuzbasu mają przywódcę — deputowanego Tejmuraza Awaliana (*Russkaja mysl* z 22.9.89).

Drugi proces polega na zapobieganiu emancypacji klasy robotniczej. 9-go września Rada Najwyższa uchwaliła ustawę o strajkach. Strajki są odtąd legalne, ale nie w transporcie, lotnictwie cywilnym, energetyce, przemyśle wojskowym, hutnictwie... Zakazane są wszelkie strajki, których celem byłoby „obalenie władzy sowieckiej i systemu społecznego”, a także takie, które naruszałby „równie prawa narodów”. Te wszystkie ograniczenia dają władzy bardzo szerokie pole manewru. Równocześnie związki zawodowe starają się wykorzystać niezadowolenie robotników z coraz niższego poziomu życia. 10-go września przewodniczący sowieckich związków zawodowych, Szałajew, zaproponował na posiedzeniu Rady Najwyższej zamrożenie cen. Wicepremierowi Ałaikinowi, autorowi obecnej polityki ekonomicznej, z wielkim trudem udało się dowiedzieć, że zamrożenie cen byłoby wyrokiem śmierci na jakąkolwiek reformę ekonomiczną. Związki zawodowe i liczne nieformalne grupy robotnicze ostro walczą z kooperatywami. Prywaciarze stali się synonimem spekulantów i głównym obiektem gniewu ludu.

9-go października TASS całkiem poważnie i oficjalnie powiadomiła świat o wizycie Marsjan w kraju *pieriestrojki*. Depesza brzmiała: „Uczeni potwierdzili, że nierozpoznany latający obiekt wylądował niedawno w parku rosyjskiego miasta Woroneż”. Zdaniem świadków Marsjanie mieli 3-4 metry wzrostu i małe główki. Dalej depesza twierdzi: „Uczeni obejrzeliby miejsce lądowania i znaleźli ślady przybyszów, którzy zrobili małą przechadzkę po parku”.

Bez trudu rozumiemy, dlaczego Marsjanie tak szybko odlecieli: zaopatrzenie sklepów zawsze było w Woroneżu wyjątkowo marne. A może to były asy wywiadu? Może następnym razem goście z Kosmosu przyfruną na Kreml i zaproponują Michailowi Gorbaczowowi pomoc przy rozwiązywaniu nierozwiązywalnych problemów? Niewykluczone, że Marsjanie i to potrafią...

12.10.1989

Adam KRUCZEK

Zakładnicy elektryfikacji

W sowieckiej prasie wciąż ukazują się nowe artykuły, które odkrywają coraz pełniej — co nie znaczy iż do końca — tragiczne konsekwencje Czarnobyla.

W 30 numerze (z 26 lipca) tygodnika *Literaturnaja Gazeta* o losie mieszkańców Białorusi, w tym szczególnie dotkniętych skutkami awarii wsi obwodów Mohylewa i Homla, napisał poeta — związany dzieciństwem z tą ziemią Igor Szklarewski. „Dzieci — w strefie radiacji” pokazuje zagrożenie, z jakim na co dzień od trzech lat stykają się homelscy i mohylewscy chłopcy oraz ich dzieci. Skażenie dotknęło dwadzieścia rejonów Mohylewskiej: ponad 500 wsi. Gleba i woda zostały w nich na długie lata zatrute pierwiastkami wysoko radioaktywnymi — cezem 137, strontem i plutonem — co uniemożliwia dalsze życie na tym terenie. Wiedzą o tym wszyscy poza moskiewską centralą, gdzie wciąż udają, że sytuacja została opanowana.

Toteż do dzisiaj nie przesiedlono mieszkańców stref największego skażenia, gdzie wielokrotnie przekroczono normy radioaktywności, ustalone dla Białorusi na poziomie 15 curie. Przede wszystkim dotyczy to 184 wsi w pobliżu Krasnopola. Na całym tym obszarze nie można pić mleka, jeść owoców, płodów rolnych, grzybów, ryb, mięsa zwierzęcego etc. Problem w tym, że nie ma niczego innego. Przyznano co prawda trzydziestorublowy dodatek na wyżywienie — nie wszystkim, bo kryteria zależały od władzy i często jedna strona wsi dostawała, druga już nie — ale niewiele on pomaga, gdy brakuje nieskażonej żywności.

Najbardziej cierpią dzieci, którym zabroniono opuszczać szkoły, gdzie mieszkają i uczą się zarazem. Z braku odpowiedniego pożywienia i ruchu na świeżym powietrzu chorują na anemię, coraz częściej pozostawione sobie przez nauczycieli i lekarzy. I jedni i drudzy uciekają z zatrutych rejonów.

Chłopom pozostaje tylko ucieczka. Kłopot w tym, że wyjechać mogą nieliczni. Większość nie ma szans, bo państwo nie zwraca pieniędzy za porzucone domy, gospodarstwa, dobytek. Dlatego najczęściej nie mają innego wyjścia jak zostać, skazani na powolną śmierć i genetyczne zmiany spowodowane promieniowaniem.

Szklarewski apeluje do ofiarności społecznej, do tych wszystkich, którym nie są obojętne losy Białorusinów z Mohylewskiej i Homla. Dobrze zdaje sobie sprawę z ułomności takich wezwań, ale wie też, że na nikogo poza społeczeństwem liczyć nie można. O tym, że ma rację, przekonuje zamieszczony pod jego artykułem komentarz Wasilija Leonowa, sekretarza mohylewskiego obwodowego komitetu komunistycznej partii Białorusi.

Wyziera z niego bezradność wobec konieczności pilnego przesiedlenia przynajmniej 33 tysięcy (spośród miliona trzystu tysięcy) rzeszkańców obwodu, na co potrzeba około półtora miliarda rubli. Nie mają ich ani władze lokalnej partii, ani mieszkańcy Mohylewskiej, zaś pomoc z Moskwy ogranicza się do obietnic i zatajania prawdy o czarnobylskiej katastrofie.

Niewesoło brzmi komentarz sekretarza Leonowa:

„O wiele bardziej niż pieniędzy wszyscy dzisiaj potrzebujemy autentycznej *glasnosti*. Wstyd wspominać, ale o samej awarii dowiedziałem się, jak i wszyscy, dopiero po dwóch dniach, a i to nie w pełni. A prawdziwe rozmiary tragedii stały się dla mnie jasne (jeśli założyć, że teraz znam je lepiej) dopiero w lipcu, to znaczy po dwóch miesiącach. Potem zaczęła się historia ze zmniejszeniem skażenia z 70 do 35 rentgenów; o połowę! Można zrozumieć jak odnieśli się do tego ludzie i co w związku z tym od nich wysłuchałem”.

Jedyne, co napawa optymizmem, to szybki odzew na apel Szklarewskiego ze strony Związku Pisarzy ZSSR. Jego zarząd już parę tygodni potem — o czym poinformowała ta sama gazeta w nr 33 z 16 sierpnia — przekazał wspólnie z Litfondem (Funduszem Literatury) 200.000 rubli dla zagrożonych białoruskich wsi. Dołączyła się do tego *Literaturnaja Gazeta* sumą stu tysięcy rubli. Wymiar tragedii mohylewskiej ziemi przerasta jednakże możliwości społeczne. Można też wątpić, czy dalsze kwoty przekazywane na specjalnie otwarte konto (700073 Mińsk OPERU Bielriespilsobanku ZSSR MFO 40019) ocalą Białorusinów spod Mohylewa i Homla. Kwestia nie polega na hojności społeczeństwa, ale na wysiłku centralnych władz w celu zapobieżenia dalszym podobnym do Czarnobyla katastrofom. Tego nie widać, co dobrze udowodnia raport zamieszczony w *Moskowskich Nowostiach* nr 30 z 23 lipca: „Zakładnicy atomowych projektów”.

Najpopularniejszy i najodważniejszy w ostatnim czasie tygodnik sowiecki (w mikroskopijnych zresztą ilościach dociera do czytelników rosyjskich) na przykładzie protestów przeciw elektrowni atomowej w Kamskich Polanach koło Kazania pokazuje nikłe możliwości społeczeństwa w przeciwdziałaniu tego rodzaju projektom. I to

pomimo wyraźnego poparcia, jakiego inicjatywie mieszkańców Tatarskiej Republiki Autonomicznej, której Kazań jest stolicą, udzieliły miejscowe władze oraz uczeni. Na niewiele się to zdało, bowiem zaplanowane wcześniej na szczeblu centralnym prace są nadal kontynuowane i nic — zdaniem dziennikarki z *MN* — nie zwiastuje możliwości zmiany wcześniejszej decyzji. Nie pomagają odwołania do różnych autorytetów naukowych i politycznych ani przedstawianie budzących grozę, gdyż możliwych w przyszłości zdarzeń. Tatarska AES (atomowa elektrownia) powstaje na obszarze znanym od wieków z trzęsień ziemi. Wielokrotnie przekraczały one tutaj 6 stopni w skali Richtera, a odporność budowanej elektrowni jądrowej jest przewidziana do 5 stopni. Co gorsza, równoległe z nią budowana jest hydroelektrownia, która w przypadku trzęsienia ziemi zagraża potopem z przerwanych tam i zniszczonej zapory.

Ani ten apokaliptyczny scenariusz, który wydaje się bardzo prawdopodobny, biorąc pod uwagę, że ostatnie trzęsienia ziemi w tym rejonie były w 1982 i 1986, ani zniszczenia w trakcie budowy 5000 hektarów żyznej ziemi nie budzą oporów moskiewskich ministerstw. Tak jak nikogo nie zdają się obchodzić argumenty czysto ekologiczne: likwidacja trzech rzek; 25 km² łąk zatopionych pod wodą; zniszczenie rozlewisk takich rzek jak Kama i Szesna czy podwyższenie temperatury zbiorników wody w pobliżu atomowej elektrowni o 5-6 stopni, co zagraża równowadze biologicznej na tym terenie.

I nie ma się co dziwić, biorąc pod uwagę, że elektrownia jest budowana bez zatwierdzonego projektu, a ekologiczna ekspertyza zostanie wydana dopiero w trzecim kwartale tego roku, chociaż prace trwają już od początku lat osiemdziesiątych. To ostatnie jest zresztą regułą dla sowieckiej atomistyki, jak zaznacza przedstawiciel Gosatomenergonaadzora, czyli instytucji uprawnionej do kontroli i czuwania nad bezpieczeństwem budowanych elektrowni atomowych.

Co prawda pewną nadzieję budzi wstrzymanie budowy odeskiej atomowej elektrowni (z uwagi na pęknięcie tektoniczne w tym miejscu) czy przeprowadzenie powtórnej ekspertyzy przez zachodnich specjalistów systemu zabezpieczeń elektrowni krymskiej, która zresztą już kosztowała 500 milionów rubli. Przerwano także dalsze prace nad elektrowniami w Mińsku, kraju krasnodarskim, obwodzie uljanowskim i wreszcie zamknięto atomową elektrownię w Czigi-rińsku.

Jak na razie jednak uczestnicy marszów protestacyjnych w Tatarskiej Republice są dalecy od optymizmu. Na budowę wydano już bowiem 480 milionów rubli. Chociażby dlatego konstruktorzy i budowniczowie są przekonani o jej celowości. Jest zresztą faktem, że w Związku Sowieckim zaczyna brakować energii elektrycznej (obecne rezerwy są rzędu 3%, za kilka lat deficyt sięgnie 15-16%). Głównie jednak dlatego, że wciąż pozostają niewykorzystane możliwości oszczędzania energii dzięki jej ekonomicznemu przesyłaniu do odbiorców bądź lepszym technologiom wytwarzania w dotychczasowych

elektrowniach. Co w znacznej mierze jest spowodowane odmiennym niż na Zachodzie podejściem do techniki i ludzi.

Zauważył to deputowany ludowy i kierownik katedry ekologii i ochrony przyrody uniwersytetu kazańskiego, Jurij Kotow. „Przy naszym poziomie technologicznym budowanie nowych elektrowni atomowych jest samobójstwem. Trzeba jeszcze raz spytać siebie: czy jesteśmy w stanie zapewnić bezpieczeństwo ludzi?”

Na takie pytania nikt jednak nie odpowiada i nie odpowie. Ani spośród budowniczych elektrowni, ani spośród zatwierdzających ich projekty centralnych władz. Koszmar tragedii czarnobylskiej wciąż niczego moskiewskich dygnitarzy nie nauczył, zaś same władze lokalne, nawet pełne jak najlepszej woli, chociażby te z Mohylewa czy Tatarskiej Republiki, niewiele mogą pomóc, a tym bardziej przeciwdziałać temu, co już jest i co może być.

M.Z.

Na wschód od wolności

Na Ukrainie byliśmy w sierpniu 1988 roku, wykorzystując okazję turystyczną. Poczynione wówczas spostrzeżenia wydały nam się dziś, w rok później, zupełnie aktualne.

Wiadomo, że Polacy odwiedzają teraz swych najsilniejszych wschodnich sąsiadów przede wszystkim w celach handlowych. Zawiloci tego procederu trudno tu opisywać, ma jednak znaczenie fakt, że odbywa się on na ogół bez godności. Interesy, które robią Polacy w Związku Sowieckim, są małe, pokrętne, niekiedy komичnie niedochodowe. Właśnie ten typ interesu, a nie sam interes, skłonni byłibyśmy potępiać. Umiejemy kreślony przez propagandę sowiecką obraz Polaka wykupującego wszystko ze sklepów (w jakiejś wsi powiedziano oczekującym w kolejce, że chleba dziś nie będzie, bo wysłano go do Polski) nieprędko się da zastąpić innym. „Może byśmy przywieźli coś na handel — tłumaczyliśmy natarczliwemu handlarzowi przed hotelem w Żytomierzu, mieście mającym wyjątkowy zbiór poloników, nie mówiąc już o archiwaliach — ale u was nie ma co kupić”. „Bo Polacy wywożą wszystko wielkimi torbami” — brzmiała odpowiedź. Nasz rozmówca postąpił się dobrą polszczyzną. Od stereotypu Polaka-handlarza nie było ucieczki. Odtąd mówiliśmy, że wszystko już udało nam się sprzedać. O rzeczy do sprzedania pytali wszyscy, począwszy od bufetowej w

lwowskiej herbaciarni, skończywszy na organiście, który w kościele w S. dawał specjalnie dla nas piękny koncert.

Stereotyp handlarza współlistnieje z mitem Polski — kraju wolności, okna na świat, kraju, któremu udało się trafić pod „lepszą okupację”. Opowiadano nam o — nielicznych oczywiście — lwowskich Ukraińcach, którzy posyłali dzieci do polskiej szkoły, rozumiejąc, że znajomość języka polskiego pozwoli im przybliżyć się nieco do Zachodu. Ten mit jest szczególnie silny u Polaków mieszkających na Ukrainie, tych zwłaszcza, którzy w Polsce nigdy nie byli, a odwagę przyznawania się do polskości okupywali zwykle wielkimi ofiarami. Rzeczą niezwykle istotną jest odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu ci właśnie Polacy i ci spośród Ukraińców, którzy nie żywią wobec Polaków wrogich uczuć, mogą przenosić na Ukrainę idee oraz rozwiązania polityczne i ekonomiczne aktualnie wykorzystywane w Polsce (myślimy bardziej o prowincji niż o stolicy). Należy zaznaczyć, że nie chodzi o zmianę granic czy próby zdominowania Ukrainy przez Polaków (zresztą niebezpiecznym mitomaniem byłby ten, który by takie próby podejmował), lecz o wypracowanie modelu korzystnej dla obu stron współpracy, a także o udzielenie skutecznej pomocy mieszkającym tam rodakom, mającym prawo do zachowania odrębności. Wystarczy powiedzieć, że jest dla nas wzorem to, co zrobiła w tych sprawach paryska *Kultura*.

Uznanie pojałtańskiego kształtu granic jako punktu wyjścia do rozmów ze wschodnimi sąsiadami jest obecnie na szczęście bliskie wielkiej części opozycji. Trudno byłoby natomiast wyrokować, czy jest ono powszechne w społeczeństwie. Handlarz sprzedający lakier do paznokci w bocznej uliczce Lwowa bywa niejednokrotnie rzecznikiem powrotu tego miasta do macierzy.

Kogo poznaliśmy na Ukrainie? Przede wszystkim Polaków związanych z Kościołem rzymskokatolickim. Byliśmy oczywiście w katedrze rzymskokatolickiej we Lwowie. We wspaniałym mieście pogranicza wielu kultur czynna jest tylko ta katedra. Dwie pozostałe, unicka i ormiańskokatolicka, są zamknięte, przy czym unickie odbywają się msze; w tej chwili jest już prawie pewna ich legalizacja. Wielu wiernych wyznania unickiego korzysta na razie z mszy innych wyznań. O siódmej rano w niedzielę katedra była pełna. Sporo ludzi młodych. Spotyka się Polaków z kraju. Kościół wzrasta tu teraz w siłę i dawne zagrożenia, jak się wydaje, oddaliły się.

Nasi rozmówcy twierdzili, że na Ukrainę *pieriestrojka* jeszcze nie dotarła. Represje jednak bardzo żelazne. Animatorze grupy katolickiej w B. miejscowe KBG wzywa tylko raz w miesiącu, zamiast, jak dawniej, po kilka razy w tygodniu. W Winnicy młody ksiądz postawił dużą kaplicę na odziedziczonej działce (zresztą położonej o kilkaset metrów od szkoły milicyjnej) w ciągu dwóch tygodni. „Przyszl — opowiada — kazali rozebrać. Ja nie rozbiorę, a jeżeli wy chcecie, to rozbierajcie, my natomiast zaprosimy dziennikarzy z

Kijowa, żeby zobaczyli, jak wygląda *pieriestrojka*. Poszli, ale jeszcze kiwali głowami, jak można było tak duży budynek postawić w tak krótkim czasie. Było to mniej więcej przed dwoma laty”. Budownictwo kościelne na Ukrainie — liczne tu stare kościoły są albo zamknięte albo służą pozareligijnym celom — wyróżnia się schludnością i starannym wykończeniem. Szybkość działania często bywa argumentem przeciw policji: w B. ksiądz z dwoma pomocnikami pokrywa w trzy doby (pracując także nocami) dach cmentarnej kaplicy, w której zaczyna odprawiać msze.

„Jego tu nazywają drugim Popiełuszką”, mówi inny ksiądz, ale kazanie, które słyszymy, wygłaszane po ukraińsku, jest pozbawione elementów politycznych. I bez polityki jednak księża są często karani, w tej chwili grzywnami, które zresztą bardzo rzadko płać. Starsi wszyscy bez wyjątku mają za sobą co najmniej dziesięcioletni wyrok. Ciągłą się opowieści: w B. pokazują nam las, w którym spoczywają zamordowani w końcu lat trzydziestych członkowie kościelnego chóru. W kościele mieści się teraz zakład przemysłowy. Jak w takich warunkach Kościół we Wschodniej Ukrainie przetrwał, więcej, stworzył wzorce, bo do katolików w B. przyszedł w końcu przedstawicielki niechętnych bardzo ukraińskich prawosławnych prosić o radę i pomoc w odzyskaniu cerkwi? Tyle już pisano o martyrologii Kościoła w ZSSR, lecz wciąż jeszcze za mało wiemy o ludziach, których wiara była i jest prosta i głęboka, o ich metodach walki z komunizmem, zdumiewających niekiedy doskonałą znajomością mechanizmów działania nomenklatury. Widać tu wyraźną różnicę między „księżmi męczennikami” i księżmi młodymi — tym ostatnim zdarza się dobrze porozumiewać (prawda że w kwestiach szczegółowych) z miejscowymi władzami. Nie w tym rzecz, by Kościółowi groziła kolaboracja. W miarę odchodzenia od duchowej wspólnoty budowanej w sytuacji zagrożonego życia i wolności zmieniać się jednak będzie jego charakter. W jakim kierunku pójdzie? Czy hierarchia kościelna Polski, do której prawie wszyscy księża jeżdżą, przywoząc walizkami literaturę religijną, da dobre wzorce? Czy dzięki *pieriestrojce* dojdzie do świadomego odbudowywania strat, czy tylko do łowienia dusz i stwarzania ludziom oaz na tej materialnej i duchowej pustyni?

Te obawy nie były nam obce, gdyśmy trzydziestoletnim samochodem pędzili bocznymi drogami obwodu winnickiego. Celem podróży było odwiedzenie jak największej liczby czynnych kościołów. Kierowca omijał posterunki policji, ponieważ prawo jazdy zabrano mu represyjnie przed dwoma laty. Po pewnym czasie wymyślił, że będziemy jego nauczycielami, co kodeks drogowy ZSSR dopuszcza — kłopot polegał tylko na tym, że nie mieliśmy żadnych papierów pozwalających na opuszczenie Winnicy. W każdym razie zatrzymanie przez milicję źle by się skończyło dla naszego uczynnego znajomego.

Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie nie jest kościołem inteligencji. Wdawanie się w rozmowy w subtelności dotyczące sytuacji Kościoła w Polsce nie miało — na razie — wielkiego sensu.

Prymas Polski jest tam jednym z najwyższych autorytetów. Ujawniło się to szczególnie podczas jego pobytu na Rusi w 1988 roku. Zapowiedziana 15 lipca msza przyciągnęła do Kijowa wielkie rzesze pielgrzymów. Prymas natomiast, jak nam opowiadano, zwiędziony w prosty sposób przez Sowietów, przybył do Kijowa dzień wcześniej, mszę odprawił wobec nielicznych.

Czy ugodowy, zasiedziały już w wielkiej części kler polski sprosta wymaganiom wielkiego skoku ku suwerenności, na który ziemia ukraińska tak długo już czeka? Czy Kościół i środowiska polskie odegrają jakąś rolę w kształtowaniu elit, z których z czasem mogą się wyłonić przywódcy, tak bardzo przy wielkim skoku potrzebni? Elit ukraińskich przede wszystkim? Możliwości, jak się wydaje, istnieją — choćby dzięki temu, że polskie programy radiowe i telewizyjne (nawet RWE) są na Ukrainie dość powszechnie odbierane. Dom jednego z księży na przykład, trudny we wsi do znalezienia, poznaje się po wielkiej liczbie anten na dachu.

Jak w każdej sytuacji, tak i tutaj pewne nadzieje budzi postępująca „demonopolizacja” interesów polskiej opozycji. Wielość powstających nowych inicjatyw rodzi nadzieję, że potrzeby ukraińskie będą coraz wszechstronniej zaspokajane. Własną wschodnią politykę zamierza na przykład prowadzić powstałe latem Porozumienie Ponad Podziałami. Wśród zadań szczególnie ważne wydają nam się takie: podjąć próbę uświadomienia, że ład gospodarczy jest możliwy tylko wtedy, gdy jest strzeżony przez demokrację.

Po powrocie późną nocą do Żytomierza z nielegalnej wyprawy do Kijowa, stolicy Ukrainy, w której na ulicy nie słyszy się prawie języka ukraińskiego, włączyliśmy w hotelu telewizor. Nie, tym razem nie był to reportaż o tym, ile ziemniaków zgniło w drodze z południowych do północnych republik ani program o białych plamach w historii. Kilkadziesiąt dziewczyn na wielkim moło nad brzegiem Morza Czarnego ćwiczyło aerobic. Komendy wydawano po rosyjsku ale muzyka była amerykańska. Ten aerobic był dla nas miarą zmian, jakie zaszły w ZSSR od czasu, kiedy nylonowe pończochy nosiły tylko agentki CIA — bohaterki sensacyjnych produkcji.

Pomoc w otwarciu się na Zachód to największa przysługa, jaką możemy oddać Ukrainie. Jest na to czas teraz i tego czasu nie można zmarnować — jeśli nie chcemy, by wielki skok ku suwerenności zaowocował nacjonalizmem i ksenofobią, których zwłaszcza Europejczycy znający doświadczenie pogranicza winni się w końcu XX wieku wyrzec raz na zawsze.

Monika AGOPSOWICZ
Krzysztof KOPCZYŃSKI

KRONIKA CZESKA I SŁOWACKA

Sygnatariusze petycji „Kilka zdań” wzywają kierownictwo kraju, „by zrozumiało, iż nadszedł czas rzeczywistych i konsekwentnych zmian systemowych” i domagają się: natychmiastowego zwolnienia wszystkich więźniów politycznych, wolności zgromadzeń, zaprzestania prześladowania niezależnych inicjatyw i stawiania przeszkód w tworzeniu nowych niezależnych ruchów obywatelskich, włącznie z niezależnymi związkami zawodowymi, innymi związkami i stowarzyszeniami, zaniechania politycznej manipulacji środkami masowego przekazu i wszelką działalnością kulturalną, zniesienia cenzury prewencyjnej oraz zalegalizowania czasopism podziemnych, respektowania żądań wierzących, wstrzymania wszystkich przygotowywanych i realizowanych projektów, które w trwały sposób zmieniłyby środowisko naturalne, aż do wszechstronnego ich osądzenia przez specjalistów i opinię publiczną, w końcu wszczęcia swobodnej dyskusji o latach pięćdziesiątych, „praskiej wiosny”, inwazji i „normalizacji”. Rzecznikami „Kilku zdań” są Václav Havel, Stanislav Devaty, Saša Vondra i Jiří Křižan. ■ Václav Havel zaapelował w dramatycznym liście skierowanym do Tadeusza Mazowieckiego i Imre Posgaya o wstawiennictwo obu tych polityków w obronie byłego członka KPCz Mirosława Kusego („...gdyby nie zdławiono przemocą rozwoju wypadków Pradze, zajmowałby on podobną pozycję jak Pan, Panie Posgay...” i działacza katolickiego Jana Čarnogurskiego („...on mógłby pewnego dnia taką samą funkcję w swoim kraju spełniać” — te słowa z kolei skierowane były do polskiego premiera). 2 października przedstawił ambasady PRL wręczył czeskiemu dramaturgowi odpowiedź, w której premier Mazowiecki wyraził swoje wstawiennictwo za oboma uwięzionymi działaczami. ■ 14 sierpnia liczba podpisów pod petycją „Kilka zdań” — według oświadczenia jej rzeczników — wynosiła 18.265 ■ Alexander Dubczek i premier Czechosłowacji z czasu praskiej wiosny Oldřich Černík wezwali rządy pięciu krajów Układu Warszawskiego, które dokonały inwazji na Czechosłowację, do ponownego przeanalizowania decyzji sprzed 21 lat. ■ Polski Senat i Sejm oraz KC węgierskiej partii i węgierski rząd potępiły inwazję na Czechosłowację. Nawet w sowieckiej prasie (np. w *Izwestiach*) pojawiły się artykuły sugerujące, że inwazja była błędem. Tylko wschodni Niemcy i Bułgarzy wciąż jeszcze nie mają żadnych wątpliwości. ■ Znaczenie trudniej niż Niemcom jest uciekać na Zachód Czechom. Dziennikarz Josef Flata po wolność do Austrii musiał udać się w stroju nurka: przeszedł pieszo do Austrii po dnie granicznego sztucznego jeziora na Weltawie. ■ 30 czerwca kardynał František Tomásek obchodził 90 urodziny. ■ Papież Jan Paweł II mianował 26 lipca trzech nowych biskupów czechosłowackich: Jana Sokola w Trnawie i Františka Tondrę w Spiszu na Słowacji oraz Josefa Koukla w Litoměřicach. Administratorem diecezji w Olomuńcu papież mianował Františka Vananka. Siedem z trzynastu diecezji w Czechosłowacji pozostaje jednak nadal nieobsadzonych. ■ Po prawie dwudziestu latach 1 sierpnia wznowił działalność czechosłowacki PEN-Club. Jego przewodniczącym został „oficjalny” pisarz Jiří Mucha, w skład zarządu weszli m.in. Václav Havel, Zdeněk Urbanek i Ivan Klima. Nowy zarząd przyjął następnie 20-tu nowych członków, uchwalił list do prezydenta Husaka domagający się ułaskawienia poety Ivana Jirousa, list do centrali PEN w Londynie w sprawie Salmona Rushdiego oraz listy do PEN-Clubów rosyjskiego, litewskiego,

węgierskiego i polskiego. ■ Solidarność Polsko-Czechosłowacka i NZS organizują od 2 do 5 listopada we Wrocławiu międzynarodowe seminarium poświęcone kulturze środkowoeuropejskiej pod hasłem „Między totalitaryzmem i komercjalizmem”. Organizatorzy pragną w gronie znakomitych uczestników (kilku noblistów i wielu innych wybitnych przedstawicieli kultury i nauki) przedyskutować następujące tematy: efekty „lekcji totalitarnej” dla poczucia wspólnoty środkowoeuropejskiej, walory i pułapki pojęcia „Środkowa Europa”, szanse zachowania wartości wytworzonych przez kulturę niezależną w zmienionych warunkach „wychodzenia z totalitaryzmu”, rozwój poczucia wspólnoty środkowoeuropejskiej a odbudowa regionalizmów, etos środkowoeuropejskich intelektualistów — *casus* Václav Havel. Seminarium towarzyszyć będzie przegląd niezależnej i emigracyjnej kultury czzechosłowackiej. ■ Czechosłowacja domaga się od Węgier 2 miliardów dolarów odszkodowania w wypadku rezygnacji z budowy elektrowni Nagymros na Dunaju. ■ Władze w Pradze, myślą o kanale Dunaj-Odra-Łaba. Długość 510 km, różnica poziomów 626 m, 49 stopni wodnych, łączne koszty (w cenach z 1978) — 4 miliardy dolarów.

Wiedeń 3 października 1989 r.

(amp)

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 7504 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kronika kulturalna

Słowo o słowie*

Szanowni Państwo!

Nagroda, którą zostanie dziś zaszczycony, nazywa się nagrodą pokoju. Przyznali mi ją wydawcy, czyli ludzie, szerzący słowo. Upoważnia mnie to do tego, by zastanowić się nad tajemniczym związkiem między słowem a pokojem i szerzej nad tajemniczą potęgą słowa w dziejach.

„Na początku było Słowo”, widnieje na pierwszej stronie jednej z najważniejszych ksiąg, jakie znamy. W księdze tej znaczy to tyle, że źródłem wszelkiego stworzenia jest słowo Boże. Czy nie dotyczy jednak także, w przenośni, wszelkiej działalności ludzkiej? Czy nie słowo wyróżnia nas pośród innych stworzeń, a nawet jest podstawą tego sposobu istnienia we wszechświecie, który nazywamy człowieczym? Duch, dusza ludzka, nasza świadomość samych siebie, zdolność do uogólnień i do myślenia pojęciami, dar rozumienia świata jako świata (a nie tylko jako czegoś, co nas otacza) i wreszcie nasza zdolność do wiedzy, że umrzemy i do życia mimo to — czyż wszystko to nie jest pośrednio albo bezpośrednio owocem słowa?

Jeśli słowo Boże jest źródłem wszelkiego Jego stworzenia, to ta część stworzenia, która stanowi ród ludzki, da się zrozumieć tylko jako owoc innego cudu Bożego, tego mianowicie, że obdarzył człowieka słowem. A jeśli cud ten stanowi klucz do

* Mowa wygłoszona w imieniu Václava Havla podczas ceremonii wręczenia mu — zaocznie — nagrody pokoju wydawców niemieckich.

historii człowieka, to stanowi też klucz do historii społeczności. A może jest pierwszym tylko dlatego, że jest drugim? Gdyby bowiem słowo nie było sposobem porozumiewania się dwóch albo więcej ludzkich istot, to zapewne by go w ogóle nie było.

Wszystko to właściwie wiemy albo przynajmniej przeczuwamy. Poczucie szczególnej wagi słowa jest właściwe świadomości ludzkiej od zawsze.

To jednak nie wszystko: dzięki cudowi słowa wiemy zapewne lepiej aniżeli inne stworzenia, że w rzeczywistości bardzo mało wiemy, że istnieje tajemnica — a czując zarazem sprawczą moc słowa, staramy się odkąd myśl sięga przemówić do tego, co nam skrywa tajemnica i wpłynąć na to słowem. Jeśli jeteśmy wierzący, modlimy się do Boga. Jeśli wierzymy w magię, wzywamy albo zaklinamy duchy i w ten sposób staramy się słowem wpłynąć na bieg natury i spraw ludzkich. Jako dzieci nowoczesnej cywilizacji — wierzący albo nie — układamy słowa w teorii naukowe i ideologie polityczne i tak uzbrojeni stawiamy czoła — raz skutecznie, raz nie — niepojętemu biegowi spraw tego świata i — raz skutecznie, raz nie — wpływamy na jego tok.

Jedno wydaje się pewne: świadomie lub nie, i jak byśmy tego nie tłumaczyli, od wieków wierzymy, że słowo rusza z posad bryłę świata. W pewnym sensie mamy rację.

Dlaczego mówię „mamy rację”?

Czy słowo ludzkie rzeczywiście jest tak potężne, że potrafi zmieniać świat i wpływać na historię? A jeśli kiedykolwiek było tak potężne, to czy jest nadal?

Życie Państwo w kraju wielkiej wolności słowa. Z wolności tej każdy może korzystać w rozmaitych celach, a inni nie muszą obowiązkowo iść w jego ślady, nie muszą się nawet nim zajmować. Może się Państwu zatem wydawać, że przeceniam znaczenie słowa po prostu dlatego, że żyję w kraju, w którym za słowo wciąż jeszcze wtrącają do więzienia.

Tak, żyję w kraju, w którym wagę i promieniowanie słowa dzień w dzień potwierdzają wyroki. Niedawno cały świat obchodził dwustulecie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Przy tej okazji przypomnieliśmy sobie także słynną deklarację praw człowieka i obywatela, w której powiada się, że każdy obywatel ma prawo do posiadania drukarni. W tych samych dniach, to jest dwieście lat po wspomnianej deklaracji, skazano mojego przyjaciela Frantiska Starka na dwa i pół roku więzienia za to, że wydawał niezależne pismo kulturalne *Vokno* — broń Boże nie w prywatnej drukarni, tylko na zgrzytającym, przedpotopowym powielaczu! Niedługo przedtem skazano mojego przyjaciela Ivana Jirousa na szesnaście miesięcy więzienia, bo wykrzyczał na

maszynie do pisania tylko to, co każdy wie: że w naszym kraju dokonano w majestacie prawa wielu morderstw i że także dziś bezprawnie wtrącony do więzienia człowiek może tam zostać zadržony na śmierć. Mój przyjaciel Petr Cibulka siedzi w więzieniu, bo rozpowszechniał wydane w samizdacie teksty i nagrania nonkonformistycznych śpiewaków i zespołów muzycznych. Naprawdę żyję w kraju, w którym zjazd pisarzy albo wygłoszone na nim przemówienie może wstrząsnąć systemem. Czy możecie sobie Państwo wyobrazić coś podobnego w Niemczech Zachodnich? Tak, żyję w kraju, którym dwadzieścia jeden lat temu wstrząsnął tekst mojego przyjaciela Ludvika Vaculika. Zatytułowany — tak jakby chciał potwierdzić moje rozważania o sile słowa — „Dwa tysiące słów”. Tekst ten posłużył za jeden z pretekstów nocnej napaści pięciu obcych armii na nasz kraj. Nie jest bynajmniej przypadkiem, że w chwili, kiedy piszę te słowa, reżymem tutejszym wstrząsa jedna stroniczka tekstu pod tytułem „Kilka słów”, jakby znowu dla ilustracji tego, co mówię. Tak, naprawdę żyję w ustroju, w którym słowo może wstrząsnąć wszystkimi aparatami władzy i okazać się silniejsze od dziesięciu dywizji, w którym słowa prawdy Sołżenicyna uznano za tak groźne, że ich autora siłą wsadzono do samolotu i deportowano. Tak, w świecie, w którym żyję, słowo „solidarność” było w stanie ruszyć z posad cały blok.

Wszystko to jest prawdą, wiele już na ten temat napisano, z tej trybuny mówił już o tym mój poprzednik Lew Kopielew.

Mnie jednak chodzi o coś trochę innego. Chcę mówić nie tylko o niewiarygodnej wadze, jakiej nabiera wolne słowo w ustrojach totalitarnych i zilustrować potęgę słowa czymś więcej niż tylko twierdzeniem, że w niektórych krajach kilka słów waży więcej niż cały pociąg dynamitu.

Chciałbym spojrzeć na ten temat w szerszym i bardziej wieloznacznym kontekście.

Żyjemy w świecie, w którym władca obcego państwa publicznie i bezwstydnie wydaje wyrok śmierci na obywatela Wielkiej Brytanii tylko dlatego, że napisał on jakąś książkę. Ten potężny mąż feruje wyrok w imieniu miliardów swoich współwyznawców. Więcej: w tym świecie może się zdarzyć, że pewna — miejmy nadzieję, że niewielka — część tych miliardów pochwali wydany wyrok.

Co to oznacza? Czy tylko lodowaty powiew fanatyzmu, który w niepojęty sposób odżywa w czasach konferencji helsińskich, karmiony dość niszczycielskimi skutkami dość niszczycielskiej ekspansji cywilizacji europejskiej na cały świat, który pierwotnie wcale nie pragnął importu obcej kultury i koniec końców płaci za ten wątpliwej wartości nabytek setkami miliardów dolarów, których nigdy nie spłaci?

Tak, to niewątpliwie jest to.

Ale też coś więcej: mianowicie symbol.

Symbol tajemniczej wieloznaczności słowa.

Tak, siła słowa nie jest jednoznaczna ani przejrzysta. Jej wyrazem jest nie tylko wyzwolencza moc słów Wałęsy i ostrzegawcza moc słów Sacharowa, ani nośność — najwyraźniej nonsensownie zinterpretowanej — książki Rushdiego.

Przeciw słowu Rushdiego stoi bowiem potęga słowa Chomejniego. Obok słów, które elektryzują społeczeństwa ładunkiem prawdy i wolności, istnieją słowa hipnotyzujące, kłamliwe, fanatyczne, obłąkane, groźne, śmiertcionośne. Słowa-strzały.

Myszę, że akurat Państwu nie muszę tłumaczyć, czym potrafi być czarna magia słowa, bo na własnym ciele stosunkowo niedawno doznaliście, do jak niewypowiedzianej grozy może doprowadzić hipnotyzerskie, a zarazem oderwane od rzeczywistości i obłąkane słowo przeciętnego drobnomieszczanina. Nie pojmuję wprawdzie, czym opętał część waszych ojców i matek, ale rozumiem, że musiało to być coś bardzo sugestywnego i przewrotnego, jeżeli zdołało — choćby na krótko — opętać nawet tęgą głowę filozofa, który słowom *Sein*, *Dasein* i *Existenz* nadał nowe i tak przenikliwe znaczenie.

Chcę powiedzieć tyle: słowo jest tajemniczym, wieloznacznym i zdradzieckim zjawiskiem. Może być promykiem w królestwie ciemności, jak kiedyś Bieliński powiedział o „Burzy” Ostrowskiego, ale może też być śmiertcionośną strzałą. Najgorszy jednak jest fakt, że może być raz jednym, a raz drugim, a nawet równocześnie jednym i drugim!

Czym było słowo Lenina? Wyzwoleniem czy przeciwnie, niebezpiecznym i prowadzącym do niewoli kłamstwem? Ludzie, których interesuje historia komunizmu, do dziś spierają się o to namiętnie i chyba długo jeszcze nie dojdą do zgody. Mnie uderzyło w jego słowach to, że zawsze są pełne wściekłości.

A słowo Marksa? Czy rzuciło światło na ukrytą stronę mechanizmów społecznych, czy też było tylko ziarnem, z którego wyrosły wszystkie późniejsze straszne gułagi? Nie wiem. Chyba jednym i drugim.

A słowo Freuda? Czy obnażyło tajemny świat duszy ludzkiej, czy też było tylko źródłem złudzeń, którymi oszalała się dziś połowa Stanów Zjednoczonych, że mianowicie można się pozbyć swych udręk i win, składając je w ręce dobrze opłaconego fachowca, by je zinterpretował?

Pójdę jednak dalej i postawię pytanie bardziej prowokacyjne: czym było właściwie słowo Chrystusa? Początkiem zbawienia i jednym z najsilniejszych impulsów kulturotwórczych w dziejach, czy duchową glebą, z której wyrosły wyprawy krzyżowe, Inkwizycja, zniszczenie kultur amerykańskich i wreszcie cała pełna

sprzeczności ekspansja białej rasy, która spowodowała tyle tragedii, włącznie z tą, że dziś większa część ludności należy do smutnej kategorii Trzeciego Świata? Chciałbym wierzyć, że było raczej tym pierwszym, nie mogę jednak zignorować niezliczonych ksiązek, które dowodzą, że już w najwcześniejszym prachrześcijaństwie zostało nieświadomie zakodowane to, co wskutek splotu tysięcy okoliczności, w tym znacznej niezmienności natury ludzkiej, stworzyło przestrzeń duchową dla grozy, która z niego wyrosła.

Słowa mają też swoje dzieje.

Na przykład w pewnej epoce słowo „socjalizm” było dla całych pokoleń ludzi poniżonych i wyzyskiwanych magicznym synonimem sprawiedliwego świata. Dla ideałów, które to słowo wyrażało, ludzie zdolni byli poświęcić długie lata życia, a nawet życie. Nie wiem, jak jest w Waszym kraju. W moim to właśnie słowo — słowo „socjalizm” — już dawno zamieniło się w zwykłą pałkę gumową, którą nowobogacy i w nic nie wierzący biurokraci walą po plecach wszystkich myślących współobywateli, nazywając ich „wrogami socjalizmu” i „siłami antysocjalistycznymi”. W moim kraju słowo to naprawdę jest już od dawna bezbożną klątwą, której najlepiej unikać, jeśli nie chce się narażać na podejrzenia. Uczestniczyłem niedawno w spontanicznej demonstracji, zorganizowanej nie przez żadnych dysydentów, na której protestowano przeciwko wyprzedzący najpiękniejszych zakątków Pragi jakimś australijskim milionerem. Jeden z mówców, płomiennie atakując ten zamiar, chciał wzmocnić swój apel do rządu twierdzeniem, że chodzi mu o ratunek ojczyzny w imię socjalizmu. Wszyscy zebrani wybuchnęli śmiechem. Nie dlatego, by byli przeciwni sprawiedliwemu ładowi społecznemu, a po prostu dlatego, że usłyszeli słowo, którym przez długie lata i we wszystkich dorzecznych i niedorzecznych kontekstach szermował ustrój, zdolny tylko do manipulowania ludźmi i do poniżania ich.

Dziwne bywają losy słów. Ci sami swobodnie myślący i dzielni ludzie trafiają do więzienia raz za to, że jakieś słowo coś dla nich znaczy, a raz za to, że przestało dla nich cokolwiek znaczyć, ponieważ z symbolu lepszego świata przerodziło się w licznym w ustach samozwańczego dyktatora.

Nie ma takiego słowa — przynajmniej w tym nieco metaforycznym sensie, w jakim tu używam tego pojęcia — które by zawierało tylko to, co przypisuje mu słownik etymologiczny. Każde słowo zawiera także osobę, która je wypowiada, sytuację, w której jest wypowiadane i powód, dla którego zostało wypowiedziane. To samo słowo może raz promieniować nadzieją, a raz wyłącznie śmiertelnym jadem, raz tchnąć prawdą, a raz tylko

kłamstwem, raz otwierać wspaniałe perspektywy, a raz układać szyny do archipelagu obozów koncentracyjnych. To samo słowo raz może być kamieniem węgielnym pokoju, a innym razem każda jego sylaba może być strzałem karabinowym.

Gorbaczow chce ratować socjalizm rynkiem i wolnością słowa, Li Peng masakrą studentów, a Ceausescu buldożerami, które cały naród zrównają z ziemią. Co właściwie znaczy to słowo w ustach pierwszego i dwóch pozostałych? Cóż to za tajemniczy byt, który mają ratować tak różne sposoby?

Wspomniałem o Rewolucji Francuskiej i pięknej deklaracji, która jej towarzyszyła. Deklarację tę pisał człowiek, którego jako jednego z pierwszych ścięto w imię tego wspaniałego, humanistycznego tekstu. Po nim zgładzono setki, może tysiące innych. Wolność, równość, braterstwo! Co za piękne słowa! Jak straszna może być rzeczywistość, która się za nimi kryje: wolność szyi po obcięciu kołnierza pod szafotem, równość tempa, z jakim gilotyna spada na obnażony kark, bohaterstwo w podejrzanym niebie, w którym panuje Najwyższa Istota!

W całym świecie budzi dziś nadzieję słowo *pieriestrojka*. Wierzmy wszyscy, że kryje się za nim lepsza przyszłość dla Europy i całej kuli ziemskiej.

A jednak zdarza mi się drżeć ze strachu, że słowo to stanie się kolejnym zaklęciem, a potem kolejną pałką gumową, którą ktoś będzie nas walił po głowie. Nie myślę w tej chwili o mojej ojczyźnie, w której to słowo ma w ustach władców mniej więcej takie znaczenie jak słowa „nasz cesarz” w ustach Szwejkja. Myślę o czym innym: o tym mianowicie, że także ten odważny człowiek, który dziś zasiada na Kremlu, oskarża niekiedy — być może tylko z rozpaczy — strajkujących robotników albo zbuntowane narody lub mniejszości narodowe o to, że zagrażają *pieriestrojce*. Rozumiem go, gigantyczne zadanie, które sobie postawił, jest niezmierznie trudne, wszystko wisi na włosku i byle co może ten włoszek zerwać, a wszyscy runą w przepaść. Mimo to mówię sobie: czy w tym „nowym myśleniu” nie widać podejrzanych relikwów starego? Czy nie brzmi w nim echo stereotypów myślowych i językowych rytuałów władzy? Czy słowo *pieriestrojka* nie zaczyna aby przypominać słowa „socjalizm”, zwłaszcza wtedy, kiedy wali się nim po łbie tego samego człowieka, którego tak długo i tak niesprawiedliwie bito słowem „socjalizm”?

Wasz kraj przyczynił się znacznie do nowoczesnej historii Europy: pierwszą falę odprężenia zawdzięczamy jego znanej polityce wschodniej.

Ale i to słowo bywało dwuznaczne. Oznaczało naturalnie pierwszy poblask nadziei, że powstanie Europa bez zimnej wojny i żelaznej kurtyny, zarazem jednak — niestety — niejeden

raz znaczyło także rezygnację z wolności, a tym samym z niezbędnej podstawy prawdziwego pokoju. Przypominam sobie do dziś, jak na początku lat siedemdziesiątych niektórzy moi zachodnioniemieccy przyjaciele i koledzy unikali mnie z obawy, że jakikolwiek kontakt ze mną, człowiekiem, którego czeski rząd nie nosił w sercu, będzie zbyt dużą prowokacją tego rządu i zagrozi tym samym kruchym podstawom raczkującego odprężenia. Mówię o tym oczywiście nie ze względu na siebie i broń Boże nie dlatego, bym się nad sobą użalał. Już wtedy współczułem raczej tym, którzy mnie unikali, bo nie ja, a oni rezygnowali ze swej wolności. Wspomniałem o tym, aby pokazać, jak łatwo dobre intencje zmieniają się w zdradę — i znowu tylko wskutek słowa, którego znaczenia najwidoczniej nie dość troskliwie strzeżono. Łatwo się to może zdarzyć, niemal niezauważalnie, po cichu, ukradkiem, a kiedy wreszcie dostrzeżemy, co się stało, pozostaje tylko jedno — spóźnione zdziwienie.

W ten właśnie diabelski sposób słowa potrafią nas zdradzać, jeśli nie używamy ich bardzo ostrożnie. Często — niestety — nawet krótka chwila nieuwagi pociąga tragiczne, nieodwracalne skutki. Skutki te wykraczają daleko poza niematerialny świat samych słów, sięgają w i bez tego dość diabelski świat materii.

Dochodzę wreszcie do pięknego słowa „pokój”.

Od czterdziestu lat widzę je w moim kraju na każdym murze i w każdym oknie sklepowym. Od czterdziestu lat kształci się we mnie, podobnie jak we wszystkich moich współobywatelach, alergie na to piękne słowo, ponieważ wiem, co oznaczają te czterdzieści lat: potężne, coraz potężniejsze armie jako rękome gwarantujące pokój.

Mimo tego długiego procesu pozbawiania słowa „pokój” wszelkiej treści — ba, gorzej: nadano mu znaczenie wprost przeciwne do tego, które ma w słowniku — mimo to wszystko udało się kilku Don Kiszotom z Karty 77 i ich kilku młodszym kolegom z niezależnej wspólnoty pokojowej zrehabilitować to słowo i przywrócić mu jego pierwotne znaczenie. Musieli jednak zapłacić za tę semantyczną *pieriestrojkę*, za przestawienie słowa „pokój” z głowy na nogi: prawie wszyscy młodzi przywódcy niezależnej wspólnoty pokojowej spędzili kilka miesięcy w więzieniu. Gra warta jednak była świeczki: ważne słowo zostało uratowane od całkowitej degrengolady. Jest to czymś więcej aniżeli tylko ratunkiem słowa. Uratowane zostało coś znacznie ważniejszego.

Wszystkie ważne wydarzenia świata rzeczywistego — piękne i wstrętne — poprzedza mianowicie sfera słów.

Jak już powiedziałem, nie zamierzam opisywać doświadczeń człowieka, który zrozumiał, że słowo wciąż jeszcze ma wagę, ponieważ płaci się za nie więzieniem. Chcę jednak wspomnieć o

innym doświadczeniu, jakiego dostarcza w tej części świata waga słowa, a które ma — jestem o tym głęboko przekonany — wartość uniwersalną. Doświadczenie to mówi, że zawsze opłaca się być w stosunku do słów nieufnym i bardzo na nie uważać, pamiętając, że nigdy nie dość ostrożności.

Nieufność wobec słów zdecydowanie mniej może zniszczyć aniżeli nadmierna ufność.

Zresztą, czy nie to właśnie — nieufność wobec słów i wiedza, że drzemie w nich zarodek rzeczy strasznych — jest właściwym posłannictwem intelektualisty? Przypominam sobie, że André Glücksmann, mój szanowny przedmówca, mówił kiedyś w Pradze, że intelektualista powinien być jak Kasandra: uważnie wsłuchiwać się w słowa władców, stać na straży, ostrzegać i przepowiadać, co znaczą albo co mogą przynieść złego.

Zastanówmy się nad jeszcze jedną sprawą. Przez stulecia Państwo i my, to znaczy Niemcy i Czesi, mieliśmy rozmaite kłopoty z naszym współzyciem w Europie. Nie mogę mówić w Waszym imieniu, myślę jednak, że w imieniu Czechów mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że w ostatnich dziesięcioleciach ulotniły się prastare animozje, przesady i namiętności narodowe, w najrozmaitszy sposób karmione na przestrzeni wieków. Nie jest bynajmniej przypadkiem, że stało się to w epoce, w której cierpieliśmy pod reżymem totalitarnym. Wykształcił on w nas bowiem tak głęboką nieufność wobec wszelkich uogólnień, ideologicznych frazesów, liczmanów, hasel, stereotypów myślowych i uzurpatorskich apeli do różnych warstw naszych uczuć, od najniższych do najwyższych, że jesteśmy dziś przynajmniej odporni na wszelkie hipnotyzerskie szalbierstwa, choćby przybierały nie wiem jak sugestywną postać, jaką ma tradycyjnie zew narodowy i nacjonalistyczny. Przyduszeni tysiącami pustych słów, pod których pokrywą od tak dawna musimy żyć, wytworzyliśmy w sobie tak silną nieufność wobec świata kłamliwych słów, że potrafimy dziś lepiej niż kiedyś widzieć świat ludzki takim, jaki jest: mianowicie jako skomplikowaną wspólnotę tysięcy i milionów niepowtarzalnych istot ludzkich, które mają poza dziesiątkami szlachetnych cech także dziesiątki przywar i wad, a tych nie da się sprasować żelazkiem czczych frazesów i jałowych słów — jak na przykład „klasa”, „narod” albo „siły polityczne” — na jednolitą masę, nie należy ich też *en bloc* chwalić ani ganić, kochać ani nienawidzić, wynosić pod niebiosa ani potępiać w czambuł.

To tylko mały przykład, do czego przydaje się nieufność wobec słów. Wybrałem ten przykład z uwagi na dzisiejszą okazję, mianowicie chwilę, kiedy Czech ma zaszczyt przemawiać do przeważnie niemieckiej publiczności.

Na początku było Słowo.

Temu cudowi zawdzięczamy, że jesteśmy ludźmi.

Zarazem jest to jednak zasadzka, próba i egzamin.

Są one być może większe, aniżeli może się wydawać Wam, którzy zaznajacie wielkiej wolności słowa, to znaczy życie w świecie, w którym pozornie nie mają one już wielkiego znaczenia.

Mają znaczenie.

Wszędzie mają znaczenie.

To samo słowo może być raz pokorne, a raz pyszne. A słowo pokory może niewymownie łatwo i niepostrzeżenie przerodzić się w słowo pychy, gdy słowo pychy z wielkim trudem i bardzo powoli przekształca się w słowo pokory. Starałem się to wyjaśnić w moim kraju na przykładzie słowa „pokój”.

Świat a przede wszystkim Europa znalazły się pod koniec drugiego tysiąclecia po Chrystusie na dziwnym skrzyżowaniu: już dawno nie było tak wielu podstaw do nadziei, że wszystko skończy się dobrze i nigdy nie było jednocześnie tak wielu powodów do obawy, że jeśli wszystko skończy się źle, to będzie to katastrofa ostateczna.

Nietrudno dowieść, że główne niebezpieczeństwa, którym świat musi dziś stawić czoła, począwszy do wojny atomowej poprzez tragedię ekologiczną po katastrofę społeczno-cywilizacyjną (mam na myśli pogłębiającą się przepaść między bogatymi i biednymi ludźmi i narodami) mają głęboko ukrytą wspólną przyczynę: niepostrzeżoną przemianę pierwotnego słowa pokory w słowo pychy.

Przekonanie człowieka, że jako apogeum i pan stworzenia do końca rozumie naturę i potrafi z nią robić, co zechce — było wyrazem pychy.

Przekonanie człowieka, że władając rozumem, potrafi do końca zrozumieć własną historię i wobec tego zaplanować szczęśliwe życie dla wszystkich, a skoro tak, to wolno mu w imię rzekomego lepszego jutra ludzkości (znalazł przecież do niego właściwy klucz) zepchnąć z drogi każdego, komu się ten plan nie podoba — było wyrazem pychy.

Przekonanie człowieka, że jeśli umie rozbić jądro atomu, to jest już tak doskonały, że nie grozi mu ani atomowy wyścig zbrojeń, ani nawet wojna atomowa — było wyrazem pychy.

We wszystkich tych przypadkach człowiek mylił się tragicznie. To źle. Ale we wszystkich tych przypadkach zaczyna sobie zdawać sprawę ze swojej pomyłki. To dobrze.

Zbrojni w tę wiedzę, winniśmy wszyscy wspólnie walczyć ze słowami pychy i uważnie szukać jej kukułczych jaj w słowach pozornej pokory.

Wszystko to nie jest bynajmniej zadaniem natury lingwistycznej. Apel o odpowiedzialność za słowo i wobec słowa jest natury moralnej.

To moralne zadanie nie jest jednak zakorzenione przed linią horyzontu widzialnego świata, lecz gdzieś dalej, tam, gdzie przebywa Słowo, które było na początku, a które nie jest słowem ludzkim.

Nie będę tłumaczył, dlaczego tak jest. Znacznie lepiej aniżeli ja zrobił to już Wasz wielki przodek, Immanuel Kant.

Dziękuję Państwu za uwagę.

Vaclav HAVEL

Hradecek, 25.7.1989.

Z niemieckiego przełożyła Julia Juryś

Ferdynand Goetel w oczach Warszawy i Londynu

19 czerwca 1989 Zarząd Polskiego PEN-Klubu zorganizował w Warszawie zebranie „dla oczyszczenia z niesławy osoby Ferdynanda Goetla oraz rozważenia potrzeby przywrócenia społeczeństwu jego twórczości”. Przypomniano przy tej okazji, iż rehabilitowany pisarz był w latach 1926-33 prezesem PEN-Klubu, w 1933 i 1939 prezesem Zw. Zaw. Literatów Polskich, od r. 1935 członkiem Polskiej Akademii Literatury, a w r. 1929 otrzymał nagrodę państwową za powieść pt. „Serce lodów”.

Echem zebrania są liczne artykuły w prasie krajowej. Koronnym obrońcą Goetla był Stefan Kisielewski; odczytano ponadto wypowiedzi Władysława Bartoszewskiego, Jerzego Zagórskiego, Mariana Ruth-Buczkowskiego i Kazimierza Truchanowskiego i zakończono obrady uchwałą stwierdzającą, iż Goetel „zarówno wyjeżdżając do Katynia, jak uczestnicząc w Zarządzie Stołówki RGO, działał za wiedzą i aprobatą władz Rzeczypospolitej Polskiej, udzielając czynnego poparcia pracom konspiracyjnym”. W Kuchni Literatów na Foksal funkcjonowała „skrzynka” konspiracyjna.

Zarówno Magdalena Bajer (w *Tyg. Powsz.*) jak Jerzy Piechowski (w *Tyg. Solidarność* nr 9) podpisują się pod uchwałą, domagając się nadto by po rehabilitacji nastąpiło pojawienie się książek Goetla na półkach księgarskich, co — jak przypuszczam — dotyczy w pierwszym rzędzie wspomnień o „Czasach wojny”, którym artykuł

Magdaleny Bajer zawdzięcza tytuł „Był pierwszym świadkiem”. Konkluzją jej argumentacji jest stwierdzenie że „sprawa Ferdynanda Goetla jest tragiczną pochodną kłamstwa o Katyniu, które pierwszy z Polaków zobaczył własnymi oczami” i natychmiast po powrocie przedstawił zgodnie z prawdą w raporcie, przekazanym władzom podziemia za pośrednictwem Juliana Piaseckiego. Fakt, że potwierdził oskarżenie Sowieców o zbrodnię wywołał wściekłość Moskwy i tłumaczy, dlaczego rozesłano w 1945 listy gończe, stawiając pisarzowi zarzut kolaboracji z Niemcami.

W t. III „Dzienników” Marii Dąbrowskiej kryje się barwna reakcja o przesłuchiowaniu jej w październiku 1945 w Sądzie Okręgowym na Pradze w związku ze „sprawą Goetla”. Traktowano ją łącznie z oskarżeniem J.E. Skińskiego, autentycznego kolaboranta. Dąbrowska potraktowała oskarżonych rozdzielnie. W sprawie Goetla „wyraziła przekonanie, że nie współpracował z propagandą niemiecką”, w sprawie Skińskiego, że współpracował, bo uważała, że „był to ogólnie znany fakt” (s. 19). Szczególną wymowę zawiera dalszy ciąg sprawy: 13 lutego 1953 odwiedził Dąbrowską na Polnej dzielnicy, dopytując się, czy zna Goetla, czy mieszkał u niej i czy widziała się z nim po wojnie. „Odrzekłam — pisze Dąbrowska — że o Goetla ja chyba mogłabym jego (tj. milicjanta) zapytać, gdyż wiem, że był poszukiwany i rozesłano nawet za nim listy gończe. (t. IV, s. 131).

Kazimierz Truchanowski zapamiętał wygląd Goetla po powrocie z Katynia: „Kiedy przyszedłem, jeszcze spał. Po paru godzinach zobaczyłem go zmienionego do niepoznanienia. Zmęczony, zmierzowany, całkowicie rozbity. Bolszewicy to zrobili, powiedział mi na wstępie. Stalin popełnił tę zbrodnię (...) W takim, jak wówczas stanie nigdy dotychczas Goetla nie widziałem” (cyt. art. M. Bajer). Dobrzy znajomi warszawscy pisarze mówili mi, że w ciągu kilkunastu dni postarzał się o kilkanaście lat i taki już został do końca życia — zszarzały, gubiący wątek rozmowy, diametralnie różny od „Pana Prezesa” sprzed wojny.

Wspomniane wyżej artykuły koncentrują uwagę na odparciu zarzutu kolaboracji, z którego zresztą oczyścił już Goetla we Włoszech odpowiednio komórki 2-go Korpusu. Z miejsca zaczął tam współpracować z gronem osób gromadzących dokumentację zbrodni katyńskiej. W r. 1947 staraniem „Gryfu” ukazał się w Rzymie i w Londynie tom opowiadań okupacyjnych „Kapitan Luna”. Uwłaczające godności Goetla plotki, z którymi się nie spotkałam, wygasły najwidoczniej po uwolnieniu go od zarzutów i do Londynu praktycznie nie dotarły, bo Goetel był tam czynnym i pełnoprawnym członkiem emigracyjnego środowiska pisarskiego. Jeśli mówi się dziś o przywróceniu go społeczności polskiej, dodawać należy „w Kraju”, bo nie był banitą na Emigracji!

Dwie sprawy uderzyły mnie w omówieniach zebrania. Magdalena Bajer pisze, iż „siedząc na tym spotkaniu zastanawiałam się, czy ja kiedykolwiek usłyszałam nazwisko Goetla podczas wykładu

lub seminarium, na moich polonistycznych studiach?" Ja, z kolei, myślałam, że jest nie tylko *casus* Goetla, ale także Herminii Naglerowej, Jana Bielatowicza, Stefanii Zahorskiej i większości bohaterów moich „Szkiców o literaturze emigracyjnej” którzy wolno, stopniowo i w dowolnym porządku wyrzynani są z gęstwy przemilczeń. Na chybił traf.

Sprawą drugą jest ocena wartości dorobku pisarskiego Goetla. W Dwudziestolecie należał do czołówki, był chętnie wydawany i czytany. Głównym tytułem do sławy była powieść „Z dnia na dzień” i książki podróżnicze o Islandii, Egipcie i Indiach. Zdecydowanie źle przyjęto natomiast drukowane naprzód w *Pionie*, a następnie w wydaniu książkowym w r. 1939 felietony o Włoszech Mussoliniego pt. „Pod znakiem faszyzmu”, określone przez Cاتا jako „książka dyktanta niebezpieczna dla dyktantów”. Najcenniejszą częścią dorobku Goetla są utwory wczesne, z lat 1921-25, odzwierciedlające w formie „wrażeń z podróży” („Przez płonący Wschód”), opowiadań („Kos na Pamirze”, „Ludzkość”) i powieści („Kar Chat” i „Z dnia na dzień”) przeżycia Goetla z okresu, gdy internowany jako poddany austriacki i wywieziony z Warszawy do Taszkentu pracował tam naprzód jako technik drogowy, a następnie w r. 1917 zmobilizowany do oddziałów technicznych Armii Czerwonej. Warto odnotować, iż w Taszkencie zorganizował komórkę PPS-Frakcji Rewolucyjnej i z tego tytułu wszedł do Taszkienckiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich! Powrót do Kraju przez ówczesną Persję i Indie dostarczył dalszych tematów. Te wczesne książki Goetla miały wiele wydań krajowych i liczne przekłady na języki obce. Nasuwają się tu porównania z Ossendowskim i Sergiuszem Piaseckim.

Maksimum możliwości twórczych osiągnął Goetel w powieści „Z dnia na dzień”, drukowanej naprzód w odcinkach *Tygodnika Ilustrowanego* w r. 1925, a następnie w trzech wydaniach międzywojennych i czwartym londyńskim „Orbisu” z r. 1957. Jest to jedna z najlepiej skonstruowanych powieści polskich Dwudziestolecia, dotąd w pełni czytelna, choć napisana przed z górą 60-ciu laty. Akcja ta toczy się na dwu planach. Romantyczna przygoda jeńca w chutorze turkistańskim w czasie I-szej wojny światowej jest niejako szkieletem powieści. Autor przeplata ją bardzo zręcznie zapiskami z dziennika, które są równocześnie „powieścią w powieści” i pomniejszoną, odartą z uroku repliką wydarzeń. Forma, modnie określana jako autotematyczna, wymagała stałej czujności i pomysłowości, co się Goetlowi w pełni udało. Do sukcesu dołączyło się i to, że — podobnie jak „Pożegnanie z bronią” Hemingwaya — „Z dnia na dzień” ma w sobie coś z debiutu pisarza-amatora przebijającego się przez trudności rzemiosła własnymi improwizowanymi sposobami. Wcześniej, w r. 1929, powieść sfilmowano. Przekład angielski poprzedził przedmową John Galsworthy.

Na wznowienie zasługują ze względu na wartość dokumentarną wspomnienia Goetla z młodości („Patrząc wstecz”), wydane po-

śmiertnie przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie w r. 1966 i pamiętnik z okresu okupacji „Czasy wojny” (1955), którego fragmenty katyńskie włączono do wyboru publicystyki dotyczącej Katynia („Katyń”, London, Polonia, 1989). I tu nasuwa się dalsze spostrzeżenie: Goetel był istotnie „pierwszym” czy jednym z pierwszych świadków ekshumacji grobów katyńskich. Drukowane jego relacje ukazały się jednak dopiero w r. 1949 w londyńskich *Wiadomościach* — „wybór publicystyki” w „Katyniu” otwiera natomiast relacja Józefa Mackiewicza pt. „Widziałem na własne oczy”, przedrukowana z ... wileńskiego *Gońca codziennego* z 3 czerwca 1943, której wiarygodność nie budzi zastrzeżeń. Autor jej stwierdza i osobiście „nie ma najmniejszej wątpliwości, żadnej absolutnie wątpliwości, że [zabici w lesie katyńskim oficerowie] zamordowani zostali właśnie przez bolszewików” („Katyń”, s. 55). Gorzko myśleć, że przelotna współpraca z *Gońcem* i ogłoszone tam antykomunistyczne artykuły stały się punktem wyjścia dotąd odnawiających się ataków na Mackiewicza, który pierwszy opublikował tam, gdzie to wówczas było możliwe, uczciwą relację o zbrodni katyńskiej.

W latach londyńskich Goetel pisał i publikował dużo, mimo pogarszającego się wzroku; w ostatnich latach musiał ograniczyć się do dyktowania i w tej właśnie formie powstały powieści „Nie warto być małym” (1959, Veritas) i pośmiertnie wydana przez B. Świderskiego „Anakonda” (1964), powojenna wersja powieści, której pisanie przerwała wojna. Książki obmyślane w ciemności nocy i nie wiele łaskawszym mroku dnia, dyktowane w małych porcjach, nie osiągają poziomu tekstów z 20-lecia. „Nie warto być małym” dzięki podłożu autobiograficznemu ma jednak wartość jako obraz Krakowa w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej, to jest okresu gorączkowych, a przez Austriaków świadomie niedostrzeganych przygotowań do walki zbrojnej — aż po ujawnienie się „Strzelca” i pierwsze publiczne wystąpienia. Każdy z bohaterów powieści rozwiązuje na inny, własny sposób stosunek do „sprawy” coraz bardziej polskiej, coraz mniej międzynarodowej i proletariackiej. Ewolucja, dobrze znana z życiorysu Piłsudskiego, jest udziałem większości postaci powieściowych.

Gdy Redaktor *Kultury* pytał mnie jako znajomą Goetla, kto mógłby o nim napisać, w pamięci odżyli dawni „kumple” pisarza: Tadeusz Świąciecki, Wiesław Wohnout, Kazimierz Okulicz, Roman Orwid-Bulicz i Kazimierz Zdziechowski, a więc w większości politycy spod znaku „Zamku”, w permanencji dyskutujący w „Daquise”, „Ognisku” czy Czytelnicy Biblioteki Polskiej w Londynie. Nie można zapytać „kolegi” Goetla Wacława Grubińskiego z Akademii Literatury. I dlatego mnie, żyjącej jak się zdaje za długo, wypadło zabrać głos, by dołączyć się do Magdaleny Bajer i Jerzego Pilchowskiego i uzupełnić dalszymi argumentami apel o przywrócenie Goetla czytelnikom *krajowym*. Podkreślam *krajowym*, bo na emigracji, w dobrze mi znanym środowisku londyńskim, Goetel nie był przedmiotem dyskryminacji, choć wyczerlenie na punkcie kolaboracji

było i jest w „Londyniszczu” chorobliwe i o wiele dokuczliwsze, niż w stosunku do „czerwonej” lub reżymowej przeszłości.

Wśród bliskich znajomych Goetla krążyło powiedzenie, że w słowie pisanym, a w szczególności w publicystyce popularyzuje tematy będące poprzednio obszernie przedstawione w dyskusjach kawiarnianych. Stanisław J. Paprocki dał temu pogładowi uzasadnienie, przytaczając jedną z takich wypowiedzi wcieloną do artykułu pt. „Polska legenda”, ogłoszonego w 346 nrze *Wiadomości* z 1952 r. Punktem wyjścia były przeżycia własne Goetla po przymusowym opuszczeniu Kraju i obserwacje stosunku Zachodu do Polski: „Wielu Polaków — pisał — (sądzi), że myśl polska i swoiste jej romantyczne założenia narzucały zachodowi sugestie o polskim męczeństwie i posłannictwie wolności, wywołując przez to pewne zasadnicze skłócenie między nami a Zachodem i przeszkadzając wzajemnemu zbliżeniu się na bardziej rzeczowej płaszczyźnie. Nie myśmy jednak pojęcia te zaszczepili Zachodowi. (...) Legenda, rzecz można, powstała samorzutnie. Powstaniu jej sprzyjało zjawisko emigracji Polaków, która w swym natężeniu wewnętrznym i rozmiarach była czymś osłupiającym, zwłaszcza że zdarzyła się w XIX w., gdy Europa w przekonaniu swoim przewyższała już czasy inkwizytorów i tyranów i zdawała się być u mety dążeń ku pełnym swobodom narodowym i obywatelskim. Chcąc wyjaśnić sobie, czym jest ten rój ludzi bez ziemi (...) musiano zastanowić się nad przyczyną ich wygnania, odnotować ją jako wypadek niepokojący, ale i niewygodny, i stworzyć osobną formułę ideologiczną dla Polski i Polaków. Formuła ta nie wpływała nigdy na wypadki polityczne, nie dochodziła do głosu na politycznych przetargach. Ujęta w nawias żyła jednak utajona w sercu i mózgu Europy i tkwi w nim po dziś dzień”. Jak się zdaje, przeżyła Goetla i dotąd animuje „polską legendę”.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Feijó, 27.VIII.1989

Rękopis znaleziony w tezie

W czerwcu ukazała się w Paryżu wersja francuska *Rękopisu znalezione w Saragossie*¹. Używam tu celowo wyrażenia „wersja francuska”, bo choć Jan Potocki napisał swoją powieść po francusku, spora część obecnego wydania została przetłumaczona z niemieckiego przekładu polskiego przekładu. Dzieje *Rękopisu* są dość złożone i na ogół mało znane. W liście do Klementyny

Sanguszkowej, pisanym w marcu 1815 r. (dziewięć miesięcy przed odebraniem sobie życia, *nota bene* nie srebrną gałką z cukiernicy poświęconą przez kapelana, jak głosi romantyczna legenda ale, jak pisze naoczny świadek, późniejszy ksiądz Stanisław Choloniewski, wezwany naumyślnie przez Potockiego dla dania świadectwa prawdzie, „gałką ołowianą od pokrywki jakiejś puszeki, którą, widać było, iż w miarę, jak go melancholia opadała, dość mozolnie nożem odrzynał”), pisał Potocki, że wykańcza na gwałt swoje *Noce Hiszpańskie*, nad którymi pracował przez blisko dwadzieścia lat.

Tak było istotnie. Przeglądając jeden z brulionów *Voyage dans les steppes d'Astrakhan et du Caucase*, pisanych latem i jesienią 1797 r., trafiłam na czystopis jednej z pierwszych stron Pierwszego Dnia *Rękopisu*, na której mowa jeszcze o trzech, a nie o dwóch wisielcach, bo choć było trzech braci Zoto, jeden z nich nigdy nie zawisł, nawet na niby, na szubienicy. I tu warto nadmienić, że Puszkina, ks. Piotr Wiazemski i hr. Edling nazywali w swoich listach powieść Potockiego „Les Trois Pendus” (Trzech Wisielców). Ponieważ Potocki podróżował przeważnie z sekretarzem, który przepisywał w kilku egzemplarzach jego pisma i rozsyłał je znajomym i rodzinie autora, takie fragmenty musiały w pewnym momencie krążyć w Petersburgu, w Moskwie i na Ukrainie. Wyżej wymieniony rękopis znajduje się w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie.

Pod koniec 1804 r. Potocki wrócił do Petersburga po dłuższym pobycie we Wiedniu i we Włoszech i przedłożył cenzurze początek powieści, która już wtedy, kilka lat przed zdobyciem Saragossy przez wojska napoleońskie, nazywała się *Manuscrit trouvé à Saragosse*. 23 grudnia 1804 r. cenzor Krystian Zon pozwolił na druk Pierwszego Dekameronu, a 20 stycznia 1805 r. na druk dalszego ciągu, który, jak o tym świadczą współcześni, składał się z trzech dalszych Dekameronów. Istotnie egzemplarz korekty Pierwszego Dekameronu, tzw. wydania petersburskiego, który trafił do paryskiej Bibliothèque Nationale, jak i czystopis Czwartego Dekameronu, który przeszedł po wojnie ze zbiorów Potockich z Krzeszowic do Wojewódzkiego Archiwum Państwowego na Wawelu, był drukowany i przepisany na tym samym angielskim papierze z 1805 r.

Potem przyszła wyprawa do Mongolii w 1805-1806 r., niewdzięczna praca urzędnicza w petersburskim MSZ i wreszcie, począwszy od 1808 r., smętne i na pozór bezbarwne życie na Podolu. Raz jeszcze tylko wybrał się Potocki do Petersburga na przełomie lat 1810-1811, i wtedy to najprawdopodobniej przesłał do Paryża, przez krewnych dawnego warszawskiego wydawcy Gide'a, plik rękopisów doprowadzonych do Pięćdziesiątego Szóstego Dnia, z których jednak wykluczył m.in. gotowe już od

1. Jan Potocki, *Manuscrit trouvé à Saragosse*, José Corti, Paryż 1989, 680 str.

dawna Historie Żyda Wiecznego Tułacza i Geometry, nie do strawienia przez cenzury obu cesarstw. Te rękopisy zostały poprawione, miejscami zmienione przez osobę trzecią w Paryżu i rozbite na dwie partie, *Avadoro, histoire espagnole* i *Dix Journées de la vie d'Alphonse van Worden*, które Gide sam wydał w 1813 i 1814 r. Do drugiej z tych książek dodano przedmowę, nawiązującą do zdobycia Saragossy w lutym 1809 r., choć w żadnej z tych książek nie ma jeszcze mowy o jakimś rękopisie znalezionym w Hiszpanii. Potocki nienawidził Napoleona, jak o tym najlepiej świadczą artykuły które napisał jako redaktor *Journal du Nord* w pierwszej połowie 1807 r. Ponieważ nie odnaleziono nigdy rękopisu przedmowy, nie wiadomo kto ją naprawdę napisał na modłę wielu wstępów powieści francuskich z pierwszej połowy XVIII w., mimo, że użyto w niej kilku charakterystycznych zwrotów Potockiego. Ponadto, podczas kiedy *Avadoro* został podpisany inicjałami M.L.C.J.P. (Monsieur le comte Jean Potocki), *Dix Journées* ukazały się anonimowo. Prawdopodobnie Potocki nie dowiedział się nigdy o tych wydaniach. Kto wie, może nie odebrałby sobie wtedy życia...

Potem przyszły plagiaty — Nodiera, Washingtona Irvinga i Cousena de Courchamps. Sławny proces o plagiat z 1842 r. przeciwko Courchamps zasugerował rodzinie autora wycofanie oryginału. Pewno chciał to zrobić sławny wydawca starych druków, mąż drugiej żony Potockiego, Konstancji z Potockich, która kilkanaście lat przedtem próbowała nakłonić Lelewela do napisania monografii o pracach naukowych pierwszego męża i zaczęła pisać jego biografię. Niestety, gdy Edward Raczyński odebrał sobie życie kulą z armaty, skończyło się na polskim przekładzie Chojeckiego, który ukazał się w Lipsku w 1847 r.

Przekład Chojeckiego jest bardzo chropowaty i pełen romantycznych porywów, które były zupełnie obce nieodrodnemu synowi osiemnastego wieku, jakim był Potocki. Ponadto, żeby nie zaszokować zbyttnio czytelników, Chojecki okaleczył powieść wyrzucając z niej lub łagodząc różne wątki czy to antyklerykalne, czy to erotyczne lub libertyńskie. Mimo tej autocenzury, zasugerowanej najprawdopodobniej przez rodzinę autora, przekład wyrobił sobie stałą pozycję w Kraju i był odnawiany co kilkadziesiąt lat. Po wojnie, w 1950 r., Marian Toporowski wydał go ponownie w nakładzie 10.000 egzemplarzy. Ten sukces skłonił Leszka Kukulskiego do ulepszenia przekładu Chojeckiego. W Wojewódzkim Archiwum Państwowym na Wawelu udostępniono mu dwa rękopisy po Potockich z Krzeszowic, a mianowicie czystopis wyżej wymienionego Czwartego Dekameronu i brulion pt. Piąty Dekameron, złożony z Dni 40-45, 19, 23-25 i z części Dni 38-39. Kukulski nie potrafił nigdy wyjaśnić tego składu. Brakło mu do niego klucza. Posłużył

się też petersburskim wydaniem z 1805 r. pierwszych Dwunastu Dni i początku Trzynastego Dnia oraz wydaniem paryskimi z 1813 i 1814 r. Co tylko było w tych tekstach nowe, jak np. przedmowa z 1814 r., włączył do swojej wersji, którą zretuszował i pięknie zarchaizował. To wydanie stało się klasykiem, polskim klasykiem, ale nie dokładnym i wiarygodnym przekładem powieści Potockiego. Dodać tu jeszcze należy, że zostało przełożone na kilka języków, w tym parę razy na niemiecki i rosyjski, a tłumaczenie angielskie, pod dwuznacznym tytułem *The New Decameron*, doczekało się nawet hiszpańskiego przekładu w Argentynie.

Potem przyszło w 1958 r. niezwykle powodzenie wydania Roger Caillois jednej trzeciej powieści. Wyboru dokonał na podstawie wydania Kukulskiego, z którym był wówczas w kontakcie. Caillois interesował się głównie nowelami fantastycznymi. Dlatego ograniczył się — poza przedmową z 1814 r., i pierwszymi Czternastu Dniami — do fragmentów z Historii Naczelnika Cyganów z Dni 48-53 i 55-56, według wydania z 1813 r. Dzisiaj śmiało można powiedzieć, że Caillois zrobił dla *Rękopisu* to samo, co Mallarmé dla *Vatheka* Beckforda *en le "restituant" (...) à la littérature française*, w której zapewnił powieści Potockiego stałą pozycję.

Caillois marzył o wydaniu całej powieści. Do tego jednak trzeba było odnaleźć więcej rękopisów Potockiego. W 1967 r., gdy zaczynałam zbierać materiały do pierwszej tezy doktorskiej o Potockim i jego arcydziele, Caillois zaproponował mi przygotowanie takiego właśnie wydania. Przyjechał nawet z odczytem do mojej uczelni, Yale, i sugerował moim profesorom, żebym zrobiła to wydanie zamiast tezy. Nie dali się jednak przekonać i nic z tego zamierzenia na szczęście nie wyszło.

Wracając do moich poszukiwań, poza wyżej wymienionymi dwoma rękopisami odnaleziono jeszcze w Bibliotece Narodowej, w dawnych zbiorach Ordynacji Zamoyskich, brulion Piątego Dekameronu, na który złożyła się tym razem pierwsza wersja Dni 41-45, 47 — ta sama, co w wydaniu z 1813 r., a nie w przekładzie Chojeckiego, Dni 48-50 i początku 51-go Dnia.

W latach 1967-70 odnalazłam wyżej wymienioną stroniczkę z Pierwszego Dnia i czystopisy dwóch pierwszych Dekameronów w Archiwum Państwowym w Poznaniu. Zostały one sporządzone po śmierci autora i przed przekładem Chojeckiego. Ponieważ trzeba było uzasadnić w tezie, że powieść została napisana po francusku, opisałam szczegółowo tę część rękopisów i wydania częściowe z 1805, 1813 i 1814 r. oraz wyjaśniłam, jak można by przetłumaczyć resztę powieści z polskiego przekładu, posługując się opracowaniem Kukulskiego, weryfikując je u Chojeckiego i drukując te przekłady kursywą.

Gdy skończyłam pisać tezę², Wiktor Weintraub, któremu zawdzięczałam temat mojej pracy, odradził mi jednak przygotowanie do druku takiego wydania francuskiego, bo jak słusznie twierdził, przy zwiększeniu zainteresowania Potockim, należało się spodziewać, że z czasem odnajdzie się więcej rękopisów, a wtedy moje przekłady okazałyby się o wiele gorsze od oryginału.

„Faute de mieux” zaczęłam więc zbierać dane do bibliografii Potockiego. Przy tej sposobności odnalazłam też więcej rękopisów jego powieści. W 1978 miałam ich już szesnaście, a siedemnasty wypłynął w 1980 r. Wtedy dopiero zrozumiałam, dlaczego brulion krzeszowski Piątego Dekameronu, wydanie z 1813 r. i szereg innych rękopisów mają nieraz nie tylko inny układ Dni, ale zostały też nieco, a czasami zupełnie inaczej napisane. Były mianowicie przeznaczone do drugiej wersji powieści (*ad usum* cenzury obu cesarstw) z której Potocki wykluczył Historię Żyda Wiecznego Tułacza i dla której napisał inną wersję Systemu Geometri i szereg odmiennych fragmentów kilku Historii. Nie trafiły one ostatecznie do wersji końcowej, jak np. fragment z Historii Naczelnika Cyganów, który autor zaczął pisać w brulionie. Znajduje się on w Bibliotece Narodowej i został wydrukowany w 1813 r. w *Avadoro*, ale nie trafił już do przekładu Chojeckiego.

Nie wiemy oczywiście, co autor zostawił Konstancji Potockiej Raczyńskiej, z którą był rozwiedziony od 1809 r., ale z którą utrzymywał stały kontakt ze względu na dzieci i którą uważał za bardzo inteligentną. Może dał jej jakieś dokładne instrukcje na temat ostatecznego wydania swojej powieści. Może też odnalazła je po jego śmierci w Uładówce, którą dysponowała przez parę lat, zanim nie przekazała jej pasierbom, którzy z kolei odnaleźli tam już tylko kilka fragmentów całości. Dworek w Uładówce spalił się w drugiej połowie XIX w.

Nie trzeba tu chyba dodawać, że moje odkrycia z drugiej połowy lat siedemdziesiątych zupełnie zdezaktualizowały wiele danych w mojej tezie jak i we wstępach Kukulskiego i Caillois. Przygotowując ostateczne wydanie powieści, musiałam odrzucić piękne tworzywo Kukulskiego i powrócić, gdy taka zachodziła potrzeba, do wersji Chojeckiego (2%). Wydanie to ukaże się u Gallimarda w „Bibliothèque de la Pléiade”.

Nie znaczy to jednak, że dotarłam do wszystkich rękopisów Potockiego. W 1829 r. orientalista niemiecki Julius von Klaproth twierdził w pierwszej bibliografii dzieł Potockiego, którą dołączył do swego wydania *Voyage dans les steppes d'Astrakhan*

et du Caucase, że zna pięć zespołów rękopisów powieści, tzn. 5 x 7 Dekameronów, czyli 35 rękopisów częściowych, nie licząc brulionów. I tak w 1987 r. Jacques-Remy Dahan odnalazł w Archiwum Miejskim miasta Pontarlier czystopis pierwszych dwudziestu dwóch Dni *Rękopisu*, który został подарowany przez autora oficerowi francuskiemu de Saint-Aignan podczas jego bytności w Petersburgu w 1807 r. Dahan chciał wydać swoje znalezisko i zaproponował je dyrektorowi Editions José Corti, Bertrandowi Fillaudeau. Fillaudeau odmówił. Chciał wydać wszystko albo nic. W listopadzie napisał do mnie z zapytaniem, czy moje wydanie ukaże się w przeciągu najbliższych trzech lat, ponieważ w przeciwnym wypadku podjąłby się sam takiego wydania. Moje wydanie było wtedy prawie gotowe. Wydawało się więc czymś bardzo prawdopodobnym, że ukaże się w tym właśnie terminie. Należało więc się spieszyć. Było to ważne nie tyle dla mnie, co dla francuskiego wydawcy.

W lutym br. ukazała się w *Figaro* wzmianka o niezwykłych odkryciach szwajcarskiego germanisty z Lozanny, René Radrizzani, który odnalazłszy nowe, niewykorzystane dotąd rękopisy Potockiego, przygotował do druku pierwsze pełne wydanie *Rękopisu*, które miało być wydane w kwietniu przez Corti. Zaraz potem ukazał się artykuł Dahana, opisujący jego odkrycie i zapowiadający moje wydanie³. Prawda, że szeroka publiczność nie czyta *Revue d'Histoire Littéraire de la France*. A jednak...

Wydanie Radrizzaniego ukazało się dopiero w czerwcu. Nowe, nieznane dotąd rękopisy ograniczały się do siedmiu: tego, który Dahan odnalazł w 1987 r. i sześciu opisanych w mojej tezie z 1973 r. Inne części powieści zostały zestawione według moich wskazówek z wydań z 1813 i 1814 r. Resztę Radrizzani przetłumaczył z niemieckiego przekładu Kukulskiego (Zurych 1984) i porównał przy pomocy Polki z przekładem Chojeckiego. Źródła Radrizzani nie wymienił. W odnośniku na ostatniej stronie o artykule Dahana mowa tylko o tym, jak rękopis w ogóle trafił do Pontarlier, ale tytuł artykułu mówi o sobie. Ponadto, czy to we wstępie czy też w aparacie krytycznym, wiadomości o Potockim i jego dziele zostały zaczerpnięte, przeważnie bez podania źródeł i, co gorsza, bez weryfikacji, ze wstępów czy to Caillois czy Kukulskiego czy jeszcze z mojej tezy. Tymczasem, jak już wspominałam wyżej, popełniliśmy tam szereg błędów, które znalazły się też w nowym wydaniu. Ograniczę się do dwóch. Caillois, idąc za Kukulskim, pisał, że Pierwszy Dekameron został wydrukowany w 1804 r., a początek Drugiego w

2. M.E. Żółtowska, *Un précurseur de la littérature fantastique: Jean Potocki, sa vie et son „Manuscrit trouvé à Saragosse”*, Yale University, 1973, maszynopis, VII, 676 str.

3. Jacques-Remy Dahan, „Une copie inconnue du ‘Manuscrit trouvé à Saragosse’”. *Revue d'Histoire Littéraire de la France* nr 2, marzec/kwiecień 1989, str. 260-266.

1805 r. (R. Radrizzani, str. 659). Potem okazało się, że oba ukazały się w 1805 r. Dalej, pisząc o cenzorze petersburskim Krystianie Zonie, odwoływałam się w tezie do wstępu S.S. Lany do rosyjskiego przekładu D.A. Gorbowa (Moskwa 1971). Ale pisząc tezę nie miałam jeszcze dostępu do tego przekładu, tylko do danych bibliograficznych i streszczenia wstępu, które mi ktoś udostępnił z Europy i do których wkrađło się kilka błędów, a mianowicie, że cenzor zezwolił na druk Pierwszego Dekameronu 23 grudnia 1803, a nie 1804 r. (Teza, str. 253), oraz że cytata ze wstępu Landy pochodzi ze s. 19, a nie 16. Te informacje odnajdujemy niepoprawione u Radrizzaniego (str. 659 i 675). Inne dane czerpał z rozdziałów poświęconych genezie i rękopisom. Teza, jak pisze Dahan, znajduje się w Bibliothèque Nationale (sygnatura m. 15025). Do wydania Radrizzaniego należy więc podchodzić z dużą dozą ostrożności.

Dwa pierwsze Dekamerony zostały ustalone na podstawie wydania z 1805 r. i rękopisu z Pontarlier. Rękopisy poznańskie, choć późniejsze, o czym nie mógł wiedzieć, zostały odrzucone przez Radrizzaniego, jako niechlujne oraz dlatego, że „*ils font double emploi*” z rękopisem z Pontarlier. Nie wchodząc w detale natury filologicznej, ta część powieści, mimo szeregu zastrzeżeń, jest więc bliska oryginałowi. To samo można by powiedzieć o Czwartym Dekameronie, zestawionym na podstawie czystopisu krzeszowickiego, choć Potocki przepisał go własnoręcznie jeszcze raz, korygując i tu i tam wiele drobnych i nie tak drobnych szczegółów.

Rzecz ma się inaczej z innymi Dekameronami. Opisujać „swoje” rękopisy, Radrizzani stawia różne hipotezy, przeważnie niestety pisane palcem na wodzie, których nie mogę skorygować bez podawania moich źródeł i opisanie innych rękopisów, bo jak mówi przysłowie, Polak mądry po szkodzie. Tam gdzie posługiwałam się czystopisami poprawionymi przez autora, Radrizzani użył brulionów z Krakowa i Warszawy (Dni 23-25, 41-45, 49 — początek 51-go Dnia) i wydania z 1813 r., które należą do dużej mierze do wariantów. Idąc za drugim wydaniem Kukulskiego z 1965 r., dał na końcu drugą wersję Czterdziestego Siódmego Dnia według brulionu z Biblioteki Narodowej i wydania z 1813 r., podając mylnie jako źródło przekład Chojeckiego z 1847 r., w którym się nie znajduje (Radrizzani, str. 656-657).

Reszta tłumaczenia. Niezależnie od tego, czy te przekłady są dobre czy złe, różnią się przeważnie od oryginału. Jak się o tym dowiadujemy *post factum* (str. 670), Radrizzani przełożył m.in. Dni 46-47, 57-66 i Zakończenie oraz wiele krótszych fragmentów, zaznaczając, że to przekłady z tłumaczenia Chojeckiego, a nie — jak to miało miejsce z drugą wersją Czterdziestego Siódmego Dnia — z niemieckiego przekładu Kukulskiego.

Tak samo wydawca nie przyznał się nigdy do tego, że posłużył się niemieckim przekładem wydania Kukulskiego, ale można się tego domyślić z kontekstu i na podstawie informacji zawartych w recenzjach, które ukazały się w prasie francuskiej. W sumie, Radrizzani, jak sam twierdzi, przełożył 1/5 całości.

Wreszcie na samym końcu książki dowiadujemy się, że wszystkie rękopisy poza tymi, którymi posłużył się w swojej wersji Radrizzani, prawdopodobnie zaginęły („*semblent perdus*”) oraz że według niesprawdzonej legendy Chojecki zniszczył ten, którym się posługiwał robiąc swój przekład (str. 675). Oba te twierdzenia rzucają dziwne światło na autora tych słów, który cytuje na tej samej stronie artykuł Dahana (str. 675) w którym mowa o siedemnastu rękopisach, które wykorzystałam w moim wydaniu. Ponadto, jak twierdził Zygmunt Markiewicz, najlepszy znawca Chojeckiego we Francji, jeżeli ten lub te rękopisy zaginęły, to dlatego, że wdowa po Chojeckim rozsprzedała bibliotekę i archiwum męża po jego śmierci.

Niezależnie od tych wszystkich zastrzeżeń natury etycznej lub filologicznej, Radrizzani przysporzył na pewno przyjemnej lektury wakacyjnej niejednemu Francuzowi. I chyba o to właśnie chodziło kierownikowi wydawnictwa Corti.

M.E. ŻÓŁTOWSKA

FESTIWAL GOMBROWICZA W PARYŻU

W dwudziestolecie śmierci Witolda Gombrowicza w Paryżu ma miejsce prawdziwy festiwal, poświęcony jego pamięci.

Teatr de la Colline wystawił „Operetkę”, która będzie grana do 24 grudnia br.

Telewizja w programie „*Océaniques*”: *itinéraire d'un exilé* nadaje audycję w dwóch częściach opracowaną przez Andrzeja Wolskiego pod tytułem „Ja, Gombrowicz”: pierwsza 16 października, a druga część 23 października br.

W Instytucie Polskim na rue Jean-Goujon została otwarta wystawa, poświęcona Gombrowiczowi, zorganizowana przez muzeum Literatury Polskiej w Warszawie (będzie otwarta do 31 października).

W Centre de civilisation polonaise, na uniwersytecie PARIS IV SORBONNE na początku listopada odbędzie się kolokwium poświęcone Gombrowiczowi.

Na temat „Gombrowicz i poeci” 18 października w Théâtre du Rond-Point Renaud-Barrault będzie miała miejsce debata, zorganizowana przez Dom Pisarzy z udziałem Czesława Miłosza, Jacqueline Risset, Michela Deguy i Adama Zagajewskiego.

W licznych artykułach w prasie paryskiej podana jest imponująca bibliografia utworów Gombrowicza, przetłumaczonych na język francuski. I tak Denoël wydał „Trans-Atlantyk”, „Kosmos”, „Ferdydurke”, „Pornografię” i opowiadania „Bakakai” oraz „Operetkę”; Stock „Opętanych”; Christian Bourgois „Iwone, księżniczkę Burgunda” i „Ślub” oraz „Dziennik 1953-1956”; Denoël-Bourgois „Dziennik 1957-1960”; Maurice Nadeau i Bourgois „Dziennik 1961-1969”. Bourgois wydał ponadto „Wspomnienia polskie i wędrówki po Argentynie”, „Varia” oraz „Varia T. II” wybrane przez Krzysztofa Jeżewskiego i przetłumaczone z języków polskiego, hiszpańskiego i włoskiego. (Prasa zaznaczyła, że „Dziennik” Gombrowicza wydany w Polsce został ocenzone). Dwie książki napisane po francusku przez żonę Witolda Gombrowicza Ritę pt. „Gombrowicz w Argentynie” i „Gombrowicz w Europie” również ukazały się w Paryżu.

KOMUNIKAT REDAKCJI „KONTYNENTU”

W związku z ustaniem naszych stosunków z wydawnictwem Axela Springera i dystrybutorem P. Neimanisem z Monachium, pismo nasze będzie się od numeru 62 ukazywało pod auspicjami „Funduszu Przyjaciół „Kontynentu”.

Czytelnicy, którzy wykupili prenumeratę na cały 1989 rok, otrzymają numer październikowy w normalnym terminie, tzn. na początku stycznia następnego roku.

Prenumeraty na rok 1990 będzie przyjmowało biuro wysyłkowe „Kontynentu”. O warunkach prenumeraty zawiadomimy w następnym numerze.

Adres redakcji: 11 bis, rue Lauriston, F-75116 Paris, France.

KONTYNENT

APEL

Piętnaście lat temu grupa niezależnie myślących intelektualistów ze Wschodu i Zachodu stworzyła przy pomocy znanego niemieckiego wydawcy Axela Springera literacko-polityczno-religijne czasopismo *Kontynent*. W jego kolegium redakcyjnym zasiadały takie znane osobistości jak Robert Conquest, Arthur Koestler, Władimir

Bukowski, Sydney Hook, Armando Valladares, Norman Podhoretz i wielu spośród sygnatariuszy niniejszego listu.

Pismo pragnęło zjednoczyć umysłowe siły Wschodu i Zachodu w walce o demokrację. Przez piętnaście lat *Kontynent* ukazywał się nie tylko po rosyjsku, ale był też tłumaczony na angielski, francuski, niemiecki, hiszpański, włoski, grecki, holenderski, portugalski, polski i norweski. Na jego łamach publikowali Aleksander Solżenitsyn, Alain Besançon, Claude Simon, Saul Bellow, Mstisław Rostropowicz, Wasilij Aksjonow, Aleksander Galicz i wielu innych znanych na całym świecie autorów. Ich publikacje w *Kontynencie* wywarły wielki wpływ na światową opinię publiczną.

Niestety po śmierci Axela Springera jego następcy postanowili przerwać finansowanie pisma z ekonomicznych, a może też politycznych powodów. Wiadomo powszechnie, że tego typu publikacje nie mogą być na Zachodzie dochodowe, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że duża część nakładu wysyłana jest bezpłatnie do Rosji i Wschodniej Europy.

Jesteśmy przekonani, że w dzisiejszych czasach pismo takie jak *Kontynent* może i powinno mieć duży wpływ na proces demokratyzacji w Związku Sowieckim i Wschodniej Europie.

Wielu intelektualistów ze Wschodu i Zachodu jest żywo zainteresowanych ogłaszaniem swoich tekstów na łamach naszego pisma. Szuflady redakcji są pełne rękopisów zarówno znanych, jak i młodych autorów z Rosji, Wschodu i Zachodu. I oni i czytelnicy byłiby rozczarowani, gdyby *Kontynent* przestał istnieć.

Mamy nadzieję, że w tej krytycznej chwili przyjdzie pismu z pomocą i okażecie mu poważne poparcie finansowe i polityczne.

Josif BRODSKIJ

Milovan ĐILAS

Eugène IONESCO

Czesław MIŁOSZ

Andriej SACHAROW

Wpłaty prosimy kierować przekazem bankowym na adres:

Les Amis de la revue „Kontinent”, compte 3.726130.8

Société Générale, Agence AG

54 Avenue Kleber, Paris 16, France

albo do naszego przedstawiciela w USA, na adres:

Kontinent, USA

No 239200090

Meritor Bank

4301 Connecticut Ave

N.W. Washington, D.C. 20008

Ci, co odeszli

Feliks Topolski (1907-1989)

Przez pół wieku nazwisko Topolskiego było w Anglii sygnałem wywoławczym. Bez żadnych tłumaczeń każdy Anglik od razu wiedział, o kogo i o co chodzi: rozpoznawalny, nawet bez podpisu, rysunek, głośne reportaże z całego świata, koneksje z najślawniejszymi. Shaw i Topolski, Picasso u Topolskiego, Topolski w Buckingham Palace...

Przyjechał do Londynu w 1935 roku, by razem z Antonim Sobańskim zrobić reportaż literacko-rysunkowy z jubileuszowych uroczystości Jerzego V, zamówiony przez *Wiadomości Literackie*. Już przedtem był raz w Londynie, gdy jako młody uczeń Pruszkowskiego z Akademii Warszawskiej wybrał się w edukacyjno-artystyczną wielką turę. Objechał wtedy Italię, potem był onieśmiałający Paryż, gdzie wszystko co związane ze sztuką zostało już powiedziane, dokonane, załatwione i wydawało się że nic więcej nie ma tam do zrobienia dla młodego artysty. Z Paryża pojechał na dwa tygodnie do Londynu i znalazł się na wyspie nie tylko geograficznie, ale i w czasie. Anglia wczesną wiosną, w deszczu, zaludniona przez mieszkańców ubranych w kostiumy swego stanu i zawodu: gentlemeni w szarych cylindrach, gwardziści, cockney'e, bermyce i peruki, birety i togi, królowie perłowi, damy w Ascot, uczniowie w żakietach i sztywnych kołnierzykach, sprzedawcy ryb w słomkowych kapeluszach, policjanci, gracze w cricketa — wydawała się XIX-wieczną oazą w XX-wiecznej, idącej naprzód Europie. Topolski odkrył tu bliski mu, niezmienny nastrój rysowników i malarzy minionego czasu. Gdy przyjechał znowu po dwóch czy trzech latach, pozostał na zawsze.

Dzięki początkowej pomocy kilku polskich przyjaciół o snobistycznych stosunkach w artystyczno-towarzysko-politycznym świecie

— „Tonia” Sobańskiego, Franciszka Bauer Czarnomskiego, dziennikarza i urzędnika ambasady polskiej i Józefa Retingera, szarej eminencji, który znał wszystkich — od razu zaczęła się błyskawiczna i wyjątkowa nie tylko na polskie stosunki kariera Topolskiego.

U początków jej był Bernard Shaw, który zapalał sympatią do młodego artysty, uwiedziony jego mistrzowskim rysunkiem. Zamówił u niego ilustracje do specjalnego wydania swych sztuk, powierzył mu projektowanie dekoracji teatralnych, zgodził się pozować do serii portretów. Rysowane szybko, jeden za drugim, chwytane na gorąco, gdy Shaw chodził po swojej pracowni, pisał, dyktował, przyjmował gości, ukazały się potem w książce „Portraits of GBS”.

Powodzenie rozkręcało się jak w przyspieszonym filmie: pierwsza książka, „The London Spectacle” z tekstem znanego pisarza Wyndhama Lewisa, wydana w ciągu miesiąca od rozmowy z wydawcą, zamówienia z amerykańskich *Vogue*, *Harper's Bazar*, *New Yorker*, seria rysunków w *News Chronicle*.

Ilość prac rosła wraz z coraz większym rozgłosem. Reportaże z egzotycznych krajów, gdziekolwiek coś się działo, portrety sławnych, wielkich (m.in. seria poetów angielskich dla uniwersytetu w Texas) — i „szarego” człowieka, który często bywał czarny, żółty, wydawana przez wiele lat *Topolski's Chronicle*, liczne książki.

Choć styl Topolskiego stworzył całą szkołę naśladowców, jego samego trudno było z kimś porównać. Próbowano powoływać się na Daumiera czy Gavarniego, ale oni byli karykaturzystami społecznymi, podczas gdy Topolski nie moralizował, nie dawał komentarzy, lecz chwycił rzeczywistość na żywo, przenikliwie, szybko, z niezłolliwym humorem i wdziękiem. Można by go porównać chyba z jednym Guysem, też jeżdżącym po świecie, by notować współczesne wydarzenia, tylko że Topolski, dzięki nieograniczonym dzisiaj możliwościom podróżowania, robił to na większą skalę. Spokrewniony charakterem działalności z Guysem, typem artystycznym bliski był Włochom, jakby Tiepolo, jeden czy drugi, przekazał mu zdolność rysunku.

Rok temu ukazała się ogromna autobiografia Topolskiego pt. „Fourteen Letters” (czternastka — liczba liter w imieniu i nazwisku — była jego szczęśliwą cyfrą, której Lechoń kazał mu się trzymać, co też Feliks robił przez całe życie). Czytając ją, trudno zrozumieć, kiedy znalazł czas na swój olbrzymi dorobek artystyczny, żyjąc tak intensywnie, stale otoczony tłumem ludzi, stale w ruchu, w podróży, w światowościach, między teatrem, przyjęciem, spotkaniem i nieustannymi przygodami miłosnymi. Książka, pisana „prywatnym” językiem Topolskiego, kolokwialno-barokowym, lekceważącym przepisy składni i kompozycji, przypomina jego „panoramy historyczne”, ogromne malowidła, wśród nich „Kawalkadę Wspólnoty Brytyjskiej” na powojennym „Festival of Britain”, koronację królowej w Buckingham Palace na osobiste zamówienie księcia Edynburga i Historię Stulecia, która rosła z biegiem wydarzeń, zapelniając ściany wielkiej hali koło jego pracowni, nad którą pracował niemal do

końca i która ma być podobno zachowana przez władze miejskie. Ani tu ani tam nie brakuje ani jednej osoby, ani jednego nazwiska, które coś znaczyło w tych dziesięcioleciach; postaci splatają się z sobą, trudne do odróżnienia w monumentalnej gmatwaninie współczesnego świata.

Ujmująca w autobiografii Feliksa jest stale obecna w niej *polishness*, jak on to nazywa, nierozzerwalny związek z krajem, w którym się urodził i wychował i poza którym żył ponad pół wieku. W czasie wojny wszędzie z Polakami — na angielskich lotniskach, w Rosji, rysując polskich łązarzy, wychodzących z łągrów, we włoskiej kampanii, wjeżdżając w polskim tanku do zdobywanych Niemiec. Ale poza tą „zawodową” łącznością, polskość obecna jest w jego nieustannych skojarzeniach i serdecznej ewokacji przeszłości. W książce są niezliczone „poloniki”, polskie słowa, listy, strona *Cyrułika Warszawskiego*, Panorama Racławicka, dziecinne rysunki do „Trylogii”, beztrudne lata na akademii, wyprawy na plener w Kazimierzu nad Wisłą, zbiorowa fotografia w mundurach z podchorążówki we Włodzimierzu Wołyńskim. Po ukazaniu się książki Feliks powiedział mi, że młoda angielska redaktorka, pracując nad tą książką (wydaną przez Faber & Faber) zrobiła mu ostrą wymówkę, że nic nie pisze o polskim antysemityzmie. „Przecież musiałeś sam przez to cierpieć, musiałeś mieć tego dowody” — nacierała z furją. „Nie, nigdy” — odpowiadał jej, powtarzając mi to z satysfakcją.

W pracowni Feliksa pod mostem Waterloo, tuż obok wejścia dla artystów do Festival Hall, bywało tłumnie, zwłaszcza w piątki, gdy na pewno można go było tam zastać. Goście krążyli swobodnie w gąszczu zatorów, przejść, sztalug, płócien, od czasu do czasu zapadając w czeluści wysiedzianej kanapy pod zawieszonym nad nią zdobitym sztandarem ze swastyką z Bremy.

Feliks miał nonszalancki wdzięk i dar wprowadzania rozmówców w świat, w którym ludzie rozumni i kulturalni mają podobne przekonania w zasadniczych sprawach (demokracja, komunizm, rasizm, bomba atomowa, Ameryka, Żydzi, Murzyni), a jeśli nie mają, są na tym poziomie, by wiedzieć, że nie należy się o to zbyt gorąco spierać. On sam, liberał, czujny na prawa człowieka, był po stronie, którą staromodnie jeszcze czasem umieszcza się na lewicy, ale nie był politykiem a tylko artystą, więc mógł sobie nic z tego nie robić, że życie nie zawsze stosowało się do ideowego schematu.

Jednym z sekretnych sposobów ujmowania sobie ludzi była u Feliksa życzliwość i brak zawiści. Przywołując w swej biografii tysiące ludzi, miał niejedną okazję do złośliwości, krytyki, niechęci. Nigdy nie skorzystał z żadnej.

Stefania KOSSOWSKA

Książki

Ciemnowielmożny Simenon

George Simenon (1903-1989) dokonał na dobrą sprawę nie-
możliwego: był, wedle wszelkich dostępnych świadectw, najszy-
bciej piszącym pisarzem świata i najpoczytniejszym autorem na
kuli ziemskiej, a nad dodatek przekroczył podział na literaturę
popularną i prozę artystyczną. Był zadziwiającą koncentracją
energii twórczej i życiowej.

Umarł więc najbogatszy i najczęściej wydawany pisarz w
świecie. Wiadomość o jego zgonie przyjęto z nieklamany-
m żalem. Żegnano w wielu językach na łamach prasy światowej nie
tylko mistrza powieści kryminalnej, twórcę inspektora Maigreta,
ale i klasyka współczesności, badacza najciemniejszych zakątków
natury ludzkiej, dużej klasy realistę obdarzonego zanikającym
już dziś darem opowiadania. Jego książki mają wręcz narkoty-
czną siłę, ale przecież trudno się od nich oderwać nie tylko dla-
tego, aby się w końcu dowiedzieć, kto zabił. Człowiek, który
twierdził „nie noszę literatury”, jest zdaniem niektórych kryty-
ków kontynuatorem Balzaka, a poszczególnie jego książki skła-
dają się na nową „Komedie ludzką”, są wnikliwym, pesymisty-
cznym wizerunkiem społeczeństwa. André Gide orzekł, że
Simenon jest największym powieściopisarzem („romancier”) XX
wieku. Być może kryła się w tej opinii pewna doza prowokacji i
chęć pokazania języka autorytetom literackim, ale do wielbicieli
Simenona należał też Albert Camus. François Mauriac napisał:
„Obawiam się, że nie miałbym odwagi zstąpić do głębi takiego
koszmaru, jaki Simenon opisuje z taką maestrią, na granicy
wytrzymałości ludzkiej”. Do jego licznych miłośników wśród

literatów amerykańskich należał między innymi Henry Miller, znawca życia paryskiego półświatka.

Pisząc o Simenonie nie można pominąć oszałamiających statystyk. Łączny nakład jego książek, przełożonych na kilkadziesiąt języków (ale np. z wyjątkiem rosyjskiego) wynosi szacunkowo 550 milionów egzemplarzy. Jeśli każdy z nich przeczytałaby choćby trzy osoby oznacza to, że czytelnicy Simenona stanowią połowę ludzkości. Tylko dzieła Marksa i Lenina pobiły ten rekord wydawniczy, ale gdzież są ich namiętni pożeracze? Dorołek Simenona zapewniłby średnią biblioteczkę domową: składa się z 216 powieści, w tym 82 z serii „Inspektor Maigret”, oraz tysięcy opowiadań drukowanych pod własnym nazwiskiem i dziesiątkami pseudonimów, a także artykułów, reportaży, relacji z podróży, wspomnień zatytułowanych „Listy do mojej matki”... A dodać tu należy, że w wieku 72 lat pisarz niespodziewanie zarzucił pisanie. Nie zamilkł od tego czasu zupełnie, ale postępująca choroba i częściowy paraliż sprawiły, że przez ostatnie lata mógł już tylko podyktować kilkanaście książek, w tym swoje wspomnienia, które wywołały szok drastycznymi wynurzeniami. Czytelnicy Simenona mają tendencję do utożsamiania autora z Maigretem. Być może pisarz stworzył swą najśłynniejszą postać, pragnąc w głębi ducha być takim jak ona, ale łączy ich chyba tylko palenie fajki i skłonność do dobrego jadła. Nie stały, gwałtowny, zachłanny, Simenon odślonił się w tej książce z brutalną szczerością i równie bezwzględnie potraktował dwie swoje rozwiedzione żony. W aneksie do „Mémoires intimes” ogłosił — pod tytułem „Książka Marie-Jo” — na pół koherentne listy swojej córki która w wieku 25 lat popełniła samobójstwo wskutek depresji. Była późnym dzieckiem pisarza. Jej śmierć była dlań największym ciosem życiowym. Tom wspomnień dedykował trojgu swoim pozostałym dzieciom. Otóż trudno sobie wyobrazić, by jakiegokolwiek dziecko zechciało się dobrowolnie zapoznać z takim świadectwem rodzicielskim. W opinii jednych ta książka Simenona jest aktem niespotykanej odwagi, zdaniem innych — autor ujawnił się w niej jako monstrum. W każdym razie wyłożył powody, dla których pociągała go podszełka niby normalnego, konwencjonalnego życia, dlaczego tylekroć opisywał w swoich powieściach ukryte fobie, lęki, napięcia, które nagle eksplodują przemocą i zbrodnią. Dla Simenona niemal każdy z nas ma ukryte zadatki na zabójcę. Nie każdy sięga w tym celu od razu po nóż czy rewolwer — istnieją też bardziej subtelne rodzaje uśmiercania bliźnich.

Kilkadzieści jego powieści sfilmowano. Niektóre z tych filmów należą do majstersztyków *cinéma noir*. Rolę Maigreta odtwarzali tak wybitni aktorzy jak Charles Laughton, Michel Simon, Jean Gabin. Simenon utrzymuje, że nigdy nie oglądał

adaptacji filmowych ani telewizyjnych swoich utworów. Podczas pracy nad książką — wyjaśnia — wyobrażał sobie do najmniejszego szczegółu każdą z postaci, choć opisując je posługiwał się lapidarnym skrótem. Nie widział potrzeby porównywania swojego wewnętrznego obrazu z wizją reżysera i aktorów. O jego tempie pracy krążyły legendy. Podobno kiedyś Simenon zgodził się poddać szczególnemu doświadczeniu: pisać przez trzy dni w szklanej klatce, pod okiem publiczności, by dowiedzieć, że pod względem szybkości nie ma sobie równych. Było mu wszystko jedno, gdzie pisze — w gabinecie swojej szwajcarskiej rezydencji o pałacowym przepychu (pod koniec życia sprzedał ją i przeniósł się do skromnego domu, w którym zmarł), w pokoju hotelowym, na pokładzie kutra, który przez dłuższy czas stanowił jego pływający dom. Wystarczyła mu maszyna do pisania, fajka i kilkanaście filiżanek kawy dziennie. Wedle jednej z niezliczonych anegdot, gdy pewnego razu zadzwonił do Simenona z Hollywoodu Alfred Hitchcock z propozycją kontraktu, sekretarka pisarza odparła: „Bardzo mi przykro, ale nie mogę pana teraz połączyć, bo pan Simenon właśnie zaczął pisanie nowej książki”. „Ależ to głupstwo — odpowiedział reżyser. — Poczekam przy telefonie, aż skończy”. Simenon pisał wyłącznie cienkie powieści podzielone na krótkie rozdziały. Na pisanie rozdziału przeznaczał jeden dzień. W ciągu jednego dnia potrafił też wystukać do ośmiu opowiadań. Praca nad całą powieścią zajmowała mu średnio tydzień, czasem — kilkanaście dni. Ale jeżeli się przyłożył, potrafił ją napisać i w trzy dni. Wspomina, że raz napisał powieść w ciągu niespełna dwudziestu godzin. W chwilach wytchnienia popadał w przygnębienie. Po sześciu tygodniach przerwy nadochodziła go melancholia. Jego lekarz domowy udzielał mu w takich razach zawsze tej samej rady: czas przystąpić do pisania następnej książki.

Z równym nienasyceciem zajmował się pisarz tylko jeszcze jedną czynnością: seksem. Kolekcjoner fajek (miał ich w swych zbiorach ponad dwieście) był też do późnych lat życia kolekcjonerem kobiet. Tej statystyce poświęcił większą część swoich wspomnień intymnych. Podał, że posiadał w sumie około dziesięciu tysięcy ciał kobiecych, z czego mniej więcej osiem tysięcy stanowiły zawodowe dostarczycielki rozkoszy. Po publikacji „Mémoires intimes” przeprowadził z Simenonem wywiad Federico Fellini, który zapytał go, czym należy tłumaczyć tę zawrotną liczbę partnerek. Odpowiedź była tyleż zdumiewająca, co przypuszczalnie szczerą: „Szukałem bliskości”. W książce wyjaśnił to nieco inaczej: „Celem moich niekończących się poszukiwań nie była byle jaka kobieta, lecz Kobieta, realna, kochająca i macierzyńska, pozbawiona pozy, bez makijażu, bez ambicji, bez troski o to co nastąpi jutro, bez 'statusu’”.

Rozwiążność bywa przejawem mizoginizmu, jednakże trzeba powiedzieć, że w swoich książkach Simenon nie zdradza tej cechy. Postacie portretowanych przezeń kobiet są złożone i niejednoznaczne. Autor z wyrozumiałością i współczuciem traktuje uliczne prostytutki, stripteaserki nędznych lokali, urzędniczki i ekspedientki szukające w uściskach z nieznajomym mężczyzną chwilowej wspólnoty.

Simenon należy do absolwentów szkoły życia. Choć wydaje się rdzennym paryżaninem, urodzonym w dziesiątym lub jedenastym *arrondissement* w okolicach mieszkania inspektora Maigreta, jest Belgiem pochodzącym ze skromnie sytuowanej rodziny w Liège — surowej, obyczajnej i głęboko katolickiej. Jego matka do końca życia mieszkała w tym samym odbranym domu, w którym Simenon przyszedł na świat, utrzymywała się z lichej emerytury i nie chciała przyjąć żadnej pomocy finansowej od syna. Zaproszona do rezydencji w Lozannie, zapytała służącą z niedowierzaniem, czy rzeczywiście ten pałac należy do Simenona. Pisarz wspomina, że w latach chłopięcych pochłaniał Czechowa, Conrada, Gogola i Tolstoja. Rzucił jednak szkołę wcześniej, częściowo wskutek Wielkiej Wojny i konieczności zarobkowania, częściowo wskutek niechęci do nauki. Gdy miał lat piętnaście, zgłosił się do pracy w redakcji *La Gazette de Liège*. Został najpierw chłopcem do wszystkiego, potem awansował na reportera działu miejskiego. Przesiadywał w komisariatach, poznał codzienną rutynę policyjną. Chodził po barach, spelunkach i domach publicznych. Pobierał tam lekcje agresji i brutalności. Nauczył się cenić świadectwo oczu. Jego przedwczesna dojrzałość polegała na wyzbyciu się złudzeń co do urody życia. A jednak zawsze z sentymentem wspominał swoje brzydkie, przemysłowe miasto rodzinne.

Do Paryża wyruszył z ambicjami pisarskimi i bez grosza. Był lokatorem nędznych pokoików na Montmartrze, zaczerpnął z szalonym pośpiechem kartki papieru. Regularnie głodował — żył rogalikami i kawą. Gdy zaniósł plik opowiadań do dziennika *Le Matin*, ówczesna redaktorka działu literackiego, Colette, udzieliła mu zbawiennej rady: „Pan jest zbyt literacki, nie należy uprawiać literatury”. Zasadą Simenona stało się odtąd pisanie jak najprostsze. Jedną z tajemnic jego warsztatu jest brak warsztatu, w sensie stosowania chwytów literackich jak retrospekcja, wielowątkowość, monolog wewnętrzny. Jego narracja jest wzorem naturalności, opowieść płynie jak potok, dialogi są zwyczajne, kolokwialne. Ktoś skrupulatnie obliczył, że Simenon posługuje się nie więcej niż dwoma tysiącami słów. Kilku lapidarnymi zdaniami potrafi odtworzyć atmosferę ulicy paryskiej, wywołać w wyobraźni czytelnika obraz prowincjonalnego miasteczka francuskiego, wiarygodny i precyzyjny jak fotografia. Jego „Maigret na

Montmartre” zaczyna się następująco: „Padał mokry śnieg i Jussiaume skrył się na chwilę pod daszkiem drzwi wejściowych na rogu rue Fontaine i rue Pigalle. Czerwony neon knajpy Picratta był jednym z nielicznych jeszcze płonących światła i jego odbicie na mokrej kostce wyglądało jak plamy krwi”. Taki lakoniczny opis wystarcza, aby miłośnik Paryża i powieści kryminalnych powierzył się książce bez namysłu. Paryż Simenona jest tak realny jak bagietka i kieliszek *rouge ordinaire* przy cynkowym kontuarze kafejki. W jego „kryminałach” nie ma nic z teatralnej scenerii zbrodni, w czym celowała Agatha Christie. Nie ma szalonych pościgów i strzelaniny, jak w sensacyjnych powieściach amerykańskich. Zabójstwo jest najczęściej składnikiem codziennego życia, rezultatem niepohamowanej emocji, aktem rozpacz. Inspektor Maigret narodził się w 1928 roku. Po raz pierwszy pojawił się w powieści „Pietr le Letton”. Od tego czasu przez następne czterdzieści lat nie zmienił się prawie zupełnie, miał ciągle tyle samo lat, to samo mieszkanie, tę samą wyrozumiałą żonę, tak samo walczył stale z biurokracją szefów i szukał wyjaśnienia zagadki morderstwa nie tyle przy pomocy nowocześniejszej kryminalistyki, co w rozmowach z przyjacielem-psychiatrą o meandrach uczuć. Sceptyczny, opanowany, nie dziwiący się niczemu, Maigret reprezentuje poniekąd boskie atrybuty: jest smutnym bogiem naszych czasów, z melancholią spoglądającym na mizериę ludzką. Wymierza sprawiedliwość bez miściwej satysfakcji. Taka jest po prostu kolej rzeczy. Nie raz zresztą zbrodniarz czeka na schwytanie, by odpokutować za swój czyn.

Trafniejsza niż określenie „powieści kryminalne” wydaje się definicja samego autora: „powieści-tragedie”, w odróżnieniu od „powieści-kronik” czy „powieści-fresków”. Przykładem niech będzie jeden z najbardziej przejmujących utworów Simenona, „Lettre à mon juge”, napisany w 1947 roku, poza serią maigretowską. Powieść ta jest długim wyznaniem prowincjonalnego lekarza w średnim wieku do sędziego śledczego. Lekarz pisze z aresztu, gdzie oczekuje na rozprawę sądową, mającą orzec, czy zabijając swoją kochankę popełnił morderstwo z premedytacją czy też zabójstwo w afekcie. Opowiada o swoim życiu, niespełnieniu, dwu nieudanych małżeństwach, władczej drugiej żonie i pustce uczuciowej aż do przypadkowego spotkania młodej kobiety na granicy rozstroju nerwowego. Ich niespodziewany dla obojga związek — raczej wynik samotności niż pociągu — zamienia się w coraz gwałtowniejszą obsesję. Starzejący się lekarz wprowadza najpierw kochankę do domu, gdzie ją zatrudnia jako sekretarkę, ale gdy żona stawia mu ultimatum — rzuci rodzinę i praktykę, przenosząc się ze swoją towarzyszką do Paryża. Martine jest kobietą z dwuznaczną przeszłością i lekarz, zazdrosny o jej dawnych kochanków, regularnie ją katuje, jakby

tym sposobem chciał raz na zawsze zniszczyć to drugie, gorsze „ja” kochanki, pragnie ją pościć całkowicie, zjednoczyć się z nią bez reszty, a to wydaje mu się wykonalne tylko przez jej uśmiercenie. Martine nie broni się. Lekarz po napisaniu swego świadectwa popełnia samobójstwo w więzieniu. Ta psychotyczna historia miłosna każe zastanowić się nad tym, że w określeniu „pasja” jest tyleż namiętności co cierpienia. Powieść przypomina napięciem emocjonalnym głośny film japoński sprzed kilkunastu lat, „Królestwo zmysłów”.

Postacie w powieściach Simenona często niespodziewanie rzucają dom, w nagłym impulsive zrywają ze swoim dotychczasowym życiem albo postanawiają skończyć ze sobą. W krótkiej powieści „Le petit homme d'Arkhangelsk” mamy do czynienia z sytuacją odwrotną; jej bohaterem jest człowiek pragnący rozpaczyliwie przynależeć do wspólnoty w małym miasteczku francuskim. Przez długi czas ludność uznaje go za swego, aż do chwili, gdy jego młoda i rozwiązła żona znika z domu. Zagadka jej zniknięcia, z jedynym zresztą skarbem będącym w posiadaniu męża — kolekcją bardzo rzadkich znaczków pocztowych — nigdy nie zostaje wyjaśniona. Podejrzliwość wspólnoty sprawia jednak, że skromny księgarz staje się w jej oczach obcym. Był dzieckiem emigrantów żydowskich z Archangielska. Jego rosnące poczucie osamotnienia jest powolnym zaciskaniem się pętli, na której „człowieczek z Archangielska” w końcu zawisnie, wybierając samobójczą śmierć. Ten kameralny dramat ludzki ma za tło najzwyczajszą prowincję — rynek, kilka sklepów, bar, jadalnię.

Simenon, zdaniem jednego z krytyków, jest pisarzem świadomym niesłychanej kruchości ludzkiego istnienia. To było przyczyną, że pisał tak zwane powieści kryminalne.

Renata GORCZYŃSKA

Rozmowy na schodach

*Rozmowy na schodach*¹ przeleżały w wydawnictwie trzy lata, a teraz ukazały się w groteskowo niskim nakładzie 3.000 egzemplarzy. Cenzorzy mieli rację: tematyka opowiadań jest wyborowa, etyczne wymagania Filipowicza nie do przyjęcia. Pisarz twierdzi np., że pragnienie wolności to pierwszy etap do jej odzyskania (*Ze wspomnień mojego przyjaciela. Opowieść o kapitanie M.*), przywołuje we śnie okaleczoną Nike z Samotraki (*Nike*) do walki z totalitaryzmem i w ogóle zachowuje się jak ktoś, komu wszystko wolno.

Nieczuły na literackie mody, Filipowicz zmienia się w zgodzie z własnym, wewnętrznym rytmem. Jest pisarzem, od którego krytyka, odkąd porzucił pisanie mikropowieści, nie oczekuje niespodzianek, a który cichcem, ciągle zaskakuje. Stanisław Balbus² porównał jego prozę do zbioru poezji Miłosza *Ocalenie*. Potraktował twórczość Filipowicza jako całość, kładąc nacisk na jej właściwości filozoficzne, poetyckie i na wielość przedstawianych w niej rzeczywistości.

Rozmowy na schodach znakomicie reprezentują jego twórczość w wyborze tematów i sposobów narracji. Temat żydowski — obecny w każdym zbiorze — reprezentują cztery opowiadania: *Silberstein nie zdążył*, *Genialne dziecko*, *Opowiadania z epilogiem* i *Śmiechu warte*. Przyjrzyjmy się dwóm pierwszym. *Silberstein nie zdążył* jest wspomnieniem z dzieciństwa. Toczy się krótko po pierwszej wojnie, w okresie szalejącej inflacji. Tytułowy bohater jest kupcem; skupuje u chłopów towar za dolary. Pewnego dnia wiesz się, bo nie zdążył dokonać wymiany. Dziecko-Filipowicz nie jeszcze nie wie o Żydach i antysemityzmie. Filipowicz-pisarz opisuje świat zapamiętany przez siebie tak, jak go pojmował, lub raczej — nie pojmował: krajobraz miasteczka, swoją bieżącą z domu do kolejki pod sklep Silbersteina, strzępy podsłuchanych rozmów, w których obwinia się Żyda o śrubowanie cen. W zakończeniu opisując swoją reakcję na śmierć Silbersteina, celowo ją przytępia. Jest to piękna robota pisarska, finezyjna w swojej prostocie, nie pozbawiona perfidii. Mieści się w niej także mistrzowskie manipulowanie czytelnikiem, bez uchwytynych dowodów, tak, aby stanął po stronie Silbersteina.

Inaczej w *Genialnym dziecku*, gdzie narrator nie ujawnia się, choć to on pomaga Ignacowi Fiszmanowi opowiedzieć historię Ignasia Fiszmana, któremu udało się przechrzyć gestapowców i

1. Kornel Filipowicz, *Rozmowy na schodach*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, str. 205.

2. Stanisław Balbus, *Proza Kornela Filipowicza*, Pismo nr 4, 1981.

szmalcownika. Opowiadanie jest całkowicie behawiorystyczne, wyprane z uczuć, zbudowane z detali, z opisu drobnych czynności i rzeczy. Kiedy dochodzi do kulminacji, rozdwaja się na dwie różne puenty. Merytoryczna: Ignasiowi udało się umknąć oprawcom. Ironiczna: Francuz, pan Tonellier, który wysłuchuje opowieści Fiszmana, powiada: „Pan byłby genialnym dzieckiem”. Ignacy Fiszman wie lepiej: posłużył się instynktem tropionego zwierzęcia.

Filipowicz zachowuje się jak doświadczony malarz, który mieści farby; najczęściej są to różne odcienie tego samego koloru, na koniec akcent, plama innej barwy. Wybiera za każdym razem formę swego opowiadania, sytuuje w niej narratora: jako obserwatora, słuchacza, głównego bohatera, jednego z bohaterów. Podskórny humor, pozorowana naiwność, szczypta ironii i autoironii stanowią dobrze wyważony kontrapunkt; podważają harmonijność narracji, relatywizują ją, wnoszą do niej niepokój.

W *Rozmowach na schodach* znalazły się bardzo różne tematycznie i gatunkowo opowiadania. *Nieśmiertelni* to króciutka humoreska z gatunku żartobliwych *science-fiction* z morałem. Pełne, literackie rozwinięcie tematu znajduje się w tytułowym opowiadaniu. Morał jest prymitywny: należy cieszyć się życiem, jak długo trwa, każdą jego chwilą. *Matka* — reprezentuje gatunek ponadczasowej alegorii: odwieczność wojen, matki oczekujące synów, pogwałcenie prawa natury, według którego syn ma kłaść do grobu matkę, a nie matka syna. *Nemesis* — to uroczyste wspomnienie z dzieciństwa o dwóch chłopcach bawiących się w wojnę, napisane z rozbijającą, należną tematowi powagą. Jedno z głównych w zbiorze opowiadań, *Ze wspomnień mojego przyjaciela. Opowieść o kapitanie M.*, stanowi literacką realizację i egzemplifikację publicystyczną *Rozmowy w parku*. Tytułowy bohater, przed wojną zawodowy oficer, znalazł się podczas wojny w jednym z sowieckich obozów. Obracamy się w świecie matematycznie zaplanowanego i skrupulatnie realizowanego marzenia o ucieczce. Filipowicz jest absolutnie lojalny wobec swojego bohatera; nie pomija żadnych szczegółów, bo i kapitan M. nie może ich pominąć. W wigilię ucieczki obóz odwiedza dwóch elegancko ubranych i grzecznych oficerów NKWD. Zabierają ze sobą pewną liczbę więźniów, w tym kapitana M. Cel podróży nie jest mu znany. Co dzieje się dalej? Nic. Kapitan M. siedzi w ciężarówce i wyobraża sobie, że znalazł się w innym obozie, tym razem na pustyni (jadą na południe). Zamyka oczy, uśmiecha się, planuje kolejną ucieczkę. Morał serwuje nam pisarz bez wahania; sprawa jest zbyt ważna, aby zawiesić głos i cokolwiek pozostawić domysłowi czytelnika: „Myślenie, a nawet marzenie o wolności — to już jakby odzyskanie jakiejś jej małej, ale realnej części”.

Opowieści o innych, opowieści o sobie... W prozie Filipowicza coraz więcej jest elementów autobiograficznych — zawsze u niego obecnych, ale skrywanych narracją — i dywagacji filozoficznych. Przedmioty i codzienne czynności zamieniają się w symbole życia, ich niezmienność i powtarzalność dowodzi jego trwałości. Istniejący

na zewnątrz obiektywny świat zostaje ujęty w nawias ontologiczny. Zdania płyną harmonijnie, sugerując harmonię bytu. Uczestniczymy w prozaiczno-poetyckim misterium życia, którego jedną z funkcji jest osławianie śmierci.

Ostatni w zbiorze tekst nosi tytuł *Nike*. Tutaj dygresja: jeden z amerykańskich psychiatrów wysunął niedawno tezę, że sny nie są nocnymi najazdami naszej podświadomości na świadomość, lecz że śnimy, aby się nie nudzić. Sny to nasz nocny teatr, cyrk, kino. Teza Filipowicza jest podobna: sny, podobnie jak marzenia na jawie, to nasza ucieczka od życia. Oto sposób, jaki znalazł na przykre sny: wyobraża sobie, że to tablice pokryte bohomazami, które należy zmasać „żeby ich nie zobaczył profesor, który za chwilę ma wkroczyć do klasy”. Kim jest profesor? Pamięcią pisarza. Sen Filipowicza zaczyna się od balu maskaradowego, podczas którego zawiązuje się polityczna konspiracja: „Właśnie nie zostały nigdzie wyrażone nasze przekonania polityczne. Ale mój sen jakby sam doskonale wiedział, że i ja i inni wiemy dobrze, o co nam chodzi, więc po co ujawniać nasze poglądy i programy? Sen jest we wszystko wtajemniczony, ale jest dyskretny. Milczy lub posługuje się tylko aluzjami”. Konspiratorzy wpadają w pułapkę. Na kamiennej pustyni toczy się straszna wojna. Kolor snu jest szary, dominujący w nim materiał, to beton, ulubione tworzywo i kolor totalitaryzmu. Nagle na szarym niebie pojawia się błyszczący punkcik, który przybiera formę Nike z Samotraki. Ostrzeliwana ze wszystkich stron „spieszy nam na ratunek, przynosi nam wolność”. Kiedy patos snu zbliża się do granicy wytrzymałości, Filipowicz rozbija go w sposób naturalny; budzi się i zaczyna interpretować swój sen.

Janina KATZ HEWETSON

Marzenie

Najlepsze karty polskiej publicystyki politycznej rodziły się z marzeń. Nie tyle o świecie jaki ma być, ile o potrzebie zrozumienia wszystkiego, co otacza, co tkwi w każdym, czego nie można zakryć przed sobą i przed innymi. Znamienne dla naszej literatury poczucie misji jest u publicystów zmiekkzone niepewnością własnych racji, odczuciem niewygody, która się bierze z dystansu pomiędzy śmiałością idei a żalosnym ich końcem. Najczęściej jedynym sprawdzianem sądów publicysty politycznego w Polsce jest kartka papieru.

Poza nią niczego z reguły nie ma, gdyż brakuje instytucji politycznych i społecznych, w ramach których można uzyskać odpowiedź na pytanie o sens podnoszonych kwestii i pomysłów. Jeżeli nie daje się zweryfikować własnych ocen, pozostaje snucie marzeń.

Słabość polskiej publicystyki współczesnej bierze się z niezdolności do przeciwstawienia się opinii, obojętne, kto ją reprezentuje. Jeszcze niedawno uzurpowała sobie do niej prawo partia komunistyczna i dlatego tylu wybitnych dziennikarzy, którzy woleliby zapomnieć o przeszłości, ma na swoim koncie lata współpracy, pisane na zamówienie teksty, propagowanie służbowych ocen.

Dzisiaj usłużność tego samego rodzaju wykazują wobec wszystkiego, co ma jakoby związek ze społecznymi aspiracjami, po raz kolejny zapominając, że nikt nie ma prawa uzurpować sobie monopolu na wyrażanie racji społeczeństwa i stanowienia sobą opinii publicznej. Tym bardziej, że najczęściej taka ambicja pojawia się w momentach rozpadu autentycznych więzi elit przywódczych z masami, którymi chcieliby nadal rządzić, zapominając, że społeczeństwo myśli już inaczej, że gdzie indziej ulokowało swoje pragnienia, że nie ma zamiaru w dalszym ciągu iść za przegranymi hasłami. Zadaniem niezależnej publicystyki byłby sceptycyzm i dostrzeganie zagrożeń płynących z oddalenia elity od reszty, kierownictwa od dołów organizacji, autokratycznego wodza od szeregow.

Jest inaczej. Po raz kolejny powiela się błąd z przeszłości i osłania publicystycznym autorytetem oraz talentem pisarskim ewidentne błędy, pomyłki, słabości, ignorancję. Kult jednostki — nieważne kogo dotyczy — z reguły nie prowadzi do niczego dobrego. Nawet jeśli wielbiona powszechnie przez niezależnych publicystów postać robotnika-przywódcy niepozbawiona jest wielu cech sympatycznych, nie uwalnia to od krytycznego dystansu wobec jego pytań.

Tym cenniejszy jest publicysta z charakterem, wolny od lokajstwa, obdarzony wolą i dostatecznie silny, żeby się przeciwstawić salonowym etykietom i złudzeniu wyższości intelektualnej i duchowej nad szarą masą. Co ważniejsze publicysta, który potrafi własne pomysły wcielać w życie, głoszone idee weryfikować w praktycznym działaniu, a za wyrażone poglądy płacić najwyższą cenę: więzienia, głodówki. Uporczywie trwać przy swoim.

Warszawski architekt Czesław Bielecki, którego polityczne szkice, odważna działalność wydawnicza i organizacyjna rzutkość bardziej się kojarzą z pseudonimem Maciej Poleski, jest — jak można sądzić — publicystą nowego typu. Przywiązany do konkretnego, wyczulony na wartość słowa, uodporniony na pokusy idei pozornych i czynności zastępczych. Wystrzega się w swojej publicystyce grandilo kwencji, nie uchyla się przed pytaniem skierowanym do lokalnych koterii, nie waha się podważać nadętych autorytetów i dezawuować zbyt monopolistycznych racji i niedemokratycznych procedur.

Publicystyka Poleskiego wniosła do polskiego myślenia politycznego nowy ton. Przywróciła na nowo, po latach zdrady klerków,

wiarę w jednoznaczne racje, w wartość słów jako środka porozumienia nie obciążonego dodatkowym ciężarem agitacji, wolnego od uwikłań propagandowych. Przydała polityce charakter moralnego zobowiązania, unikając zarazem panoszącego się po stanie wojennym moralizatorstwa, patetyczno-lzawego apelu do uczuć, ledwo maskowanej hipokryzji. Nade wszystko polityczne szkice Poleskiego odwoływały się do rzeczywistych sytuacji, nie mistyfikowały spraw i ludzi. Ich autor nie udawał nikogo innego, nie stylizował siebie i własnego działania. Nie ubrał togi Katona, maski kapłana, pilnie nasłuchując kogo należy poprzeć, kto jest popularny, komu zachodnie *mass media* udzieliły glejtu na bezkarność, z kim trzeba wejść w sojusz nawet za cenę wartości, o które się walczyło przez długie lata. Sponiewierana w Polsce zasada prawdy była najważniejszym kryterium toczonych przez niego dyskusji i punktem wyjścia do zastanowienia się nad możliwościami zmiany *status quo*, odwróceniem dotychczasowego układu politycznego. Dla tego celu gotów był Poleski poświęcić wiele.

Bezwzględność publicystyki Poleskiego, wyostrzona jego maksymalizmem etycznym i politycznym, wypycha go poza szereg, w polskich warunkach przydaje jego poglądom odcień nieprzydatności, publicznej nieużyteczności, odsłania brak zmysłu taktycznego i wyczucia nastrojów mas. W tym sensie Bielecki nie może liczyć na szerszą popularność — co ostatecznie mniej istotne — nie ma też większych szans na zbudowanie programu przyciągającego masy. Nawet elitom z nim nie po drodze.

Zraża nie tyle zarzucany mu ekstremizm, co niezrozumienie uwikłań, jakim podlegają (bądź podlegali przez lata) czołowi mandaryni opinii publicznej, których wszelkie aktualne poczynania wynikają z ledwo maskowanego strachu przed przeszłością, przed odsłonięciem kulis, tego, jacy byli i w jak istotny sposób przyczyniali się do umocnienia komunizmu w Polsce. Liczą na krótką pamięć współczesnych, ale jednocześnie za żadną cenę nie przeciwstawiają się nastrojom społecznym, nie pójdą samotnie przeciw innemu, chociażby w imię najdonioślejszych haseł. Tymczasem konsekwencje publicystyki Poleskiego sięgają daleko. Włącznie z koniecznością dokumentowania własnej odwagi na co dzień, a nie tylko od święta. Mało kto to potrafi, a trudno kogokolwiek w Polsce wzywać do nadstawiania karku, gdy wiadomo po czterdziestu latach sowiezizacji, że jedyną nadzieją ocalenia siebie jest mimikra.

Postulowane przez Poleskiego rygory moralne nie mieszczą się w tym układzie, są mu co więcej z gruntu obce i skazują publicystę na samotność. Na los zagończyka, który wybiega przed karny szereg.

Poleski pomimo więziennej legendy, pomimo talentu publicystycznego i zdolności organizatorskich jest samotnym, pozbawionym sojuszników aktywistą opozycji, zepchniętym na margines z etykietą ekstremisty. Nie wywiera takiego wpływu jaki mógłby, bo w krajowych warunkach nie ma miejsca dla publicystyki niezależnej i dla

publicysty formatu Mieroszewskiego. Miejsca i możliwości oddziaływania.

Widoczne są te wszystkie cechy, które składają się na ów dziwny stop publicystyczny podpisany od 1979 roku nazwiskiem „Maciej Poleski” w szczupłym tomiku wydanym kilka miesięcy temu nakładem londyńskiego *Pulsu**. „Mały jawniak” jest zbiorem krótkich esejów, uwag politycznych na marginesie zdarzeń z ostatnich lat, komentarzy i refleksji. Pozornie rozchętany, mało zbornym, bardziej impresyjnie niż konsekwentnie prowadzącym wywód myślowy, a w gruncie rzeczy dobrze wnikającym w istotę spraw, doskonale analizującym sytuację społeczną, jałowość opozycyjnych hasel i działań, pułapkę władzy i generalną plajtę systemu. Nie odkrywając nowych stron rzeczywistości, bo była już ona wielokrotnie w taki sposób opisywana, dociera jednakże Poleski do tego, co z reguły bywało przemilczane, manowiecie od ogólnej intoksykacji polskiego organizmu. Zarażenie wirusami komunizmu wszelkich struktur, również opozycyjnych, solidarnościowych. Brakiem wyczulenia na zasady demokracji, skłonnością do instrumentalizacji własnych zasad, konformizmem grup i koterii, braniem pozorów działania za działanie, uwielbieniem pustych hasel i gromkiego zakrzykiwania inaczej myślących, wreszcie najważniejszym i prowadzącym do najgorszych skutków — zanikiem myślenia krytycznego w odniesieniu do siebie samych, do własnych programów, do ich konsekwencji. Tak jak nikt nie rozliczył się z klęski 13 grudnia 1981 roku, jak nikt nie był zdolny do poniesienia odpowiedzialności za beznadziejne wieloletnie dreptanie w miejscu wielomilionowego związku w okresie ostatnich siedmiu lat, tak znowu — najprawdopodobniej — nikomu za jakiś czas nie będzie można czynić zarzutów z powodu niepełnego szczęśliwych rozwiązań okrągłego stołu, słabości zawieranego kompromisu, rozbicia społecznego ruchu oporu i opozycji na sekty, poświęcające większość energii walce ze sobą. Bo nikt nie poczuje się winny.

„Ledwie-ledwie odbolszewizowani demokraci sądzą oczywiście, że każda organizacja, struktura kadrowa, szkolenie to już atak aparatu na samouświadamienie, samodoskonalenie i samoorganizację. Rezultatem tego kultu spontaniczności jest brak samokontroli działań. Jak można ocenić krytycznie decyzję, która po wielogodzinnej dyskusji nie została sformułowana na piśmie? Jak można mieć drożną sieć komunikacji, gdy nie prowadzi się regularnej korespondencji? Prymat wiecznego spontanicznego ruchu nad instytucjonalizacją działań prowadzi do tego, że kompetencję kompetencji zastępuje ignorancja ignorancji”.

Wartości książki Poleskiego mieszczą się w podejmowanych przez niego próbach przywrócenia do gry politycznych zasad racjonalnych, prześwieclenia podejmowanych przez różne organizacje, grupy doradcze i przywódcze działań, żeby odkryć skrywane w cieniu

* Maciej Poleski: *Mały jawniak*. Londyn 1988, s. 54, Seria, *Puls politicus*.

dylematy, uwypuklić możliwą alternatywę. Stosując wszelkie metody, chce on sprawdzić zasady rzemieślniczej sprawności, architektonicznej harmonii, potwierdzenia przyjętych założeń poprzez rezultaty, bezpośredni skutek, ocenę czy ktokolwiek po latach będzie mógł i chciał mieszkać w zbudowanym przez nas domu. Stojące codziennie coraz dłuższe kolejki przed zachodnimi ambasadami w Warszawie są dowodem, że zarówno komunistyczna władza rządząca Polską od czterdziestu lat, jak i grupy opozycji, które z nią podjęły współpracę i jak dotąd nie przydają Polakom nadziei na lepszą przyszłość, nie zdały egzaminu.

Poleski nie łudzi łatwymi rezultatami. Nie zapowiada jednak również niczego bez nas, bez oporu, wysiłku, samoorganizowania „milczącego morza”, polskiej milczącej większości, która zatruwana ze wszystkich stron, podkopywana i dywersyjnie ściągana ze swojego głównego celu, wciągana w pułapkę pozornych rozwiązań i samouspokajających miraży, trwa przecież od lat przy podstawowej zasadzie niechęci, nieufności, odrzucania komunistycznej utopii. Co więcej, odrzuca też wszystko, co z niej się wywodzi, co z pomocą tego typu metod próbuje zdobyć władzę w Polsce. Na krótko jest to możliwe, w dalszej perspektywie nie. „Mały jawniak” jest książką dalszych perspektyw, na które otwiera czytelnika i do których go przygotowuje.

Marek ZIELIŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Kontury. Wybór prozy i poezji autorów piszących po polsku w Izraelu.

Nr II, str. 171 i 3 nlb. (Wyd.

Związek Autorów piszących po polsku w Izraelu, Tel-Aviv 1989).

NIR (Roman, ks.). *Etniczność, życie społeczne i kulturalne Polonii.* Str. 240. (Wyd. A.R. Poray Book Publ., Stevens Point, WI 1989).

GELLA (Aleksander). *O polskim kryzysie na tle światowych przeobrażeń i odpowiedzialności naukowców.* Str. 22. (Wyd. Polski Związek b. Więźniów Politycznych, Sztokholm 1989).

SCHAEDLICH (Hans Joachim). *Tal-lhoer. Powieść. Z niemieckiego tłumaczyła Małgorzata Górską.* Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Puls w serii „Sąsiedzi”, Londyn 1989).

MELBECHOWSKA-LUTY (Aleksandra). *Widmo. Życie i twórczość Ludwika de Laveaux (1868-1894).*

Str. 136 i 4 nlb. (Wyd. Ossolineum, 1988, cena zł 800).

WAŁĘSA (Lech). *Droga nadziei.* Str. 384 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989, cena zł 6000).

Instytucje — publiczność — sytuacje lektury. Studia z historii czytelnictwa pod redakcją Janusza Kosteckiego. Str. 214 i 2 nlb (Wyd. Biblioteka Narodowa jako tom I serii „Z dziejów kultury czytelnictwa w Polsce”, Warszawa 1989, cena zł 322).

KĄDZIELA (Paweł). *Projekt edycji „Pism” Kazimierza Wierzyńskiego.* (Nadbitka z *Przeglądu Humanistycznego* 3/1989, str. 159-169).

- PZYSIECKI (Feliks). *Wiersze*. Str. 120. (Wyd. PIW, Warszawa 1989, cena zł 950).
- BIEN (Adam). *Wyprawa moskiewska (fragmenty wspomnień)*. Str. 74. (Wyd. Staszowskie Towarzystwo Kulturalne, Staszów, wrzesień 1989, cena zł 1500).
- Wydawnictwa polskie 1939-1945. Opr. Andrzej Urbański i Oskar S. Czarnik. Str. 114 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1989).
- SHEVELOV (George Y.). *The Ukrainian Language in the First Half of the Twentieth Century, 1900-1941. Its State and Status*. Str. 242 i 8 nlb. (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge MA, USA 1989).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Progress of Knowledge and Right-Left Dichotomy. Are Existing Ideologies Adequate? Nadbitka z Man and Development*, vol. XI, nr 1, March 1989, str. 41-64).
- Poles in the Union of Soviet Socialist Republics, June 1989*. Str. 25 i 3 nlb. (Wyd. Free World Polonia Coordinating Council, Toronto 1989).
- SWORD (Keith) with DAVIES (Norman) CIECHANOWSKI (Jan). *The Formation of the Polish Community in Great Britain, 1939-1950*. Str. 498 i 6 nlb. (Wyd. School of Slavonic and East European Studies, University of London, Londyn 1989).
- COHEN (Yohanan). *Small Nations in Times of Crisis and Confrontation*. Str. 399 i 3 nlb. Przełożył z hebrajskiego Naftali Greenwood. (Wyd. State University of New York Press, Nowy Jork 1989).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Erfahrungen meines Lebens. Es lohnt sich, anständig zu sein*. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Herder Taschenbuchverlag, Fryburg Bryzgowijski 1989).
- HALICZ (Emanuel). *Die Rolle des gebildeten Offiziers in Europa des 18. Jahrhunderts. Die polnische Ritterakademie in den Jahren 1765-1794*. Nadbitka z *Zeitschrift für Ostforschung*, zes. 1/1989, str. 82-94).
- IV. *Internationales gesellschaftspolitisches Symposium Bern/Schweiz, vom 3-4. März 1989. Thema: „Zwischen West und Ost — quo vadis, Europa?“* Str. 92. (Wyd. Institut für Internationale Problematik, Muri/Schweiz 1989).
- SWIETOCHOWSKI (Tadeusz). *Der Islam und die Entwicklung nationaler Identität in Aserbaidshan*. (Nadbitka z *Die Muslime in der Sowjetunion und Jugoslawien*, wyd. Kappeler, Simon, Brunner, Markus Vlgsgesellschaft, Kolonia 1989, str. 49-62).
- GLOGOWSKI (Waldemar M.). *Polen in den achtziger Jahren (1982-1987/88). Liberalisierung oder Legalisierung des Kriegszustandes?* Str. 101 i 1 nlb. (Wyd. Bundesinstitut für ostwissenschaftliche und internationale Studien, Kolonia 1989).
- Dazwischen. Ostmitteleuropäische Reflexionen*. Opr. Frank Heretrich i Christian Semler. Str. 211 i 13 nlb. (Wyd. Suhrkamp Vlg, Frankfurt/M 1989).
- PETROWICZ (Gregorio). *La chiesa armena in Polonia e nei paesi limitrofi. Parte terza 1686-1954*. Str. 418 i 4 nlb. (Wyd. Pontificio Istituto di Studi Ecclesiastici, Roma 1988).
- Annali della Fondazione Luigi Einaudi*, vol. XXI/1987. Str. 446 i 10 nlb. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Torino 1987).
- Viaggio sulla cima della notte. Racconti polacchi dal 1945 a oggi. A cura di Paolo Strati*. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Editori Riuniti/Albattros, 1988).
- Di PILLA (Francesco). *Albert Camus e la Città' del Dialogo (con un inedito dello scrittore)*. Str. 46 i 10 nlb. (Wyd. Università degli studi di Perugia, Perugia 1988).
- BRANDYS (Kazimierz). *Variazioni postali*. Przel. z polskiego Ludmiła Ryba i Mauro Martici. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. edizioni e/o, Roma 1988).

- MAZOWIECKI (Tadeusz). *Un autre visage de l'Europe*. Z polskiego przeł. Eric Morin-Aguilar. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Szwajcaria 1989).
- Un autre Gorbachev*. Praca zbiorowa. Str. 45 i 1 nlb. (Wyd. ASFD, Paryż 1989).
- Cahier de doléances sur les violations des droits de l'homme et du citoyen en Pologne pour la période allant de l'instauration de l'état de guerre le 13 décembre 1981 jusqu'au 30 novembre 1988*. Str. 90. (Opr. Ligue polonaise des droits de l'homme, wyd. Les Amis de Diagonale Est/Ouest, Paryż 1989, cena F. 50).
- STRMISKA (Zdecek). *Stagnation et changement dans les sociétés de type soviétique. Projet d'un cadre théorique pour une analyse*. Str. 122 i 6 nlb. (Wyd. INDEX, Kolonia 1989).
- GRYZIK (Antoni). *La découverte des Alpes dans la poésie polonaise*. Nadbitka z *Le Monde alpin et rhodanien. La haute montagne — vision et représentation*, str. 237-243, 1-2 trimestre 1988).
- WYRWA (Tadeusz). *La notion de la liberté en Pologne au XVI siècle*. Nadbitka z *Coutumes et libertés, actes des journées internationales de Toulouse*, 4-7 juin 1987, Montpellier 1988).
- RYMKIEWICZ (Jarosław Marek). *La dernière gare — Umschlagplatz*. Przel. z polskiego Veronique Patte, przedmowa Henri Raczymow. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1989).
- KRIESOVA (Eda). *Terezka a Majda na horach*. Str. 94 i 10 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1988).
- KRESADLO (Jan). *Sedmihlasek (Vybor)*. Str. 94 i 10 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1988).
- JUNGMANN (Milan). *Cesty a rozcesti. Kritické stati z let 1982-87*. Str. 386 i 6 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1988).
- BERNANOS (Georges). *Denik venkovského farara*. Str. 226 i 4 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1988).
- SIKL (Vaclav). *Praha v klestich*. Str. 163 i 5 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1989).
- PREISNER (Rio). *Kralovska cesta. Palimpsest*. Str. 73 i 1 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1989).
- JIROUS (Ivan). *Magorovy labuti pisne*. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1989).
- KALISTA (Zdenek). *Tvar baroka*. Str. 257 i 3 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1989).
- HIRSAL (Josef). *Vinek vzpominek*. Str. 351 i 3 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1989).
- HAYEK (F.A.). *Cesta do otroctvi*. Str. 90 i 2 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Surrey, W. Brytania 1989).
- ACHMATOWA (Anna). *Izbrannaja poezija*. Str. 201 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1989).
- ZAJCEW (Borys). *Moi sovremenniki*. Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- KUBLANOWSKIJ (Jurij). *Zatmienie*. Str. 153 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1989).
- HELLER (Michail), NIEKRICZ (Aleksander). *Utopia u vlasti. Istoria Sowjetskogo Sojuza s 1917 goda do naszych dnjej*. Wyd. III, kieszonkowe, Str. 926 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- RATUSZINSKAJA (Irina). *Sieriy cwieta nadzieży*. Str. 323 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).

Instytut Literacki w Kraju

„BIBLIOTEKA KULTURY” W WYDAWNICTWACH
NIEZALEŻNYCH (UZUPEŁNIENIA)
(c.d. *Kultura* nr 1/496-2/497 i 5/550)

- AMALRIK Andriej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* (1970, 2 wyd.). Warszawa, WYDAWNICTWO IM. KONSTYTUCJI 3 MAJA, 1978.
- ARŻAK Mikołaj (Julij Daniel): *Odkupienie i inne opowiadania* (1965). [Warszawa], NSW 1, [1981].
- BARAŃCZAK Stanisław: *Ja wiem, że to niestuszne* (1977). Lublin, AUT, 1982.
- BRANDYS Kazimierz: *Miesiące, 1982-1984* (1984). Warszawa, NOWA, 1988.
- BRONIEWSKI Władysław: *Wiersze* (1962). Warszawa, ARCHIWUM, 1979.
- BUGAJSKI Ryszard: *Przeglądanie* (1983). Łódź, FAKT, 1989.
- CAMUS Albert: *Człowiek zbuntowany* (1958). Lublin, CHATKA ŻAKA, 1981.
- CZAPSKI Józef: *Na nieludzkiej ziemi* (1949, 2 wyd., wyd. 3 zm. Londyn, PFK, 1969; wyd. 4 zm. Paryż, SPOTKANIA, 1984). Warszawa, MSS, 1988.
- : *Tumult i widma* (1981). Warszawa, NOWA, 1989.
- DŻILAS Milovan: *Nowa klasa* (1958). Warszawa, OFFICyna LIBERAŁÓW, 1981.
- : *Rozmowy ze Stalinem* (1962). Wrocław, UNIVERSITAS, 1981.
- GOMBROWICZ Witold: *Pornografia* (1960, 3 wyd.). Warszawa, KSIĄŻNICA LITERACKA, 1984.
- : *Varia* (1973). Lublin, RESPUBLICA, 1989 [w 3 cz.].
- GRYNBERG Henryk: *Zwycięstwo* (1969). Warszawa, SIGNUM, 1981.
- GUZY Piotr: *Stan wyjątkowy* (1968). [Warszawa], ENKLAWA, [1981].
- HELLER Michał: *Maszyna i śrubki* (1988). Warszawa, PoMOST, 1989.
- HERBERT Zbigniew: *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze* (1983, 2 wyd.). Toruń, TO, 1989; [Warszawa], WYDAWNICTWO DOBRA POWSZECHNEGO, 1984; [Poznań], ERRATA, 1984, Lublin, WYDAWNICTWA LUBELSKIE NZS, 1988.
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Inny świat* (1965, 6 wyd.) [Łódź], ŁÓDZKIE WYDAWNICTWA HISTORYCZNE, 1981; Warszawa, AKCES, 1981; Warszawa, ANTYK, 1987; Lublin, BIN, 1987.
- : *Upiory rewolucji* (1969). [Warszawa], ENKLAWA, [1981].
- HŁASKO Marek: *Opowiadania* (1963, 2 wyd.). [Warszawa 1981].
- : *Piękni dwudziestolenni* (1966, 3 wyd.). Toruń, SW POSTÓJ, 1981.
- KARPINSKI Jakub: *Taternictwo nizinne* (1988). Warszawa, WOLA, 1989.
- KOESTLER Arthur: *Ciemność w południe* (1983). [Poznań, AGENCJA INFORMACYJNA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ], 1984; Warszawa, REKONTRA, 1986; [Warszawa], WOLA, [1988]; Warszawa, CDN, 1988.
- KOŁAKOWSKI Leszek: *Główne nurty marksizmu. T.1-3.* (1976-1978; wyd. 2 popr. Londyn, ANEKS, 1988). Warszawa, POKOLENIE; KRAĞ, 1989.
- KORBOŃSKI Stefan: *Polskie Państwo Podziemne* (1975). Warszawa, GŁOS, 1981; Warszawa, KRAĞ, 1981.

- LEWYTYKIJ Borys: *Terror i rewolucja* (1965). [Warszawa, ODNOWA, 1981].
- MACKIEWICZ Józef: *Kontra* (1957; wyd. 2 i 3 Londyn, KONTRA, 1983, 1988). Warszawa, ZBLIŻENIA, 1981.
- : *Nie trzeba głośno mówić* (1969; wyd. 2 i 3 Londyn, KONTRA, 1980, 1985). Warszawa, MARATON, 1987; [Warszawa], MSS, 1988.
- NOWAKOWSKI Marek: *Karnawał i post* (1988). Warszawa, NOWA, 1989.
- PASTERNAK Borys: *Doktor Żiwago* (1959, 5 wyd.). [Warszawa 1983].
- REKULSKI Antoni T.: *Czy drugi Katyń?* (1980). [Warszawa], STUDENCKA OFICyna WYDAWNICZA, [1981].
- SIEWIERSKI Henryk: *Spotkania narodów* (1984). Warszawa, PRZEDŚWIT, 1988.
- SOLŻENICYN Aleksander: *Krağ pierwszy. T. 1-2.* (1970, 2 wyd.). [Kraków], OFICyna LITERACKA, 1989.
- STEINSBERGOWA Aniela: *Widziane z ławy obrończej* (1977). Wyd. anonimowe [1978?]; [Wrocław], AGENCJA INFORMACYJNA SW, [1987]; Toruń, TORUŃSKI KOMITET OBRONY WIĘZIONYCH ZA PRZEKONANIA, 1981.
- TYRMAND Leopold: *Życie towarzyskie i uczuciowe* (1967). Warszawa, OFFICyna LIBERAŁÓW, 1989.
- WIERZYŃSKI Kazimierz: *Czarny Polonez* (1968). [Warszawa], WYDAWNICTWO GRUP POLITYCZNYCH, [1985].

ZESZYTY HISTORYCZNE

- zeszyt 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 88, 89. Warszawa, PoMOST, 1989.

KULTURA W DRUGIM OBIEGU

- wybór art. z nrów 10-12/1980 (pt. *Po sierpniu*). Kraków, KOS, 1981.
- 1947: 1. Lublin, FIS, 1989.
- 1989: 1/496-2/497. Warszawa, MYŚL, 1989.
- 3/498. Warszawa, MYŚL, 1989.
- 4/499. Warszawa, MYŚL, 1989.
- 5/500. Warszawa, MYŚL, 1989; [Trójmiasto], SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA, 1989.
- 6/501. Warszawa, MYŚL, 1989.
- 7/502-8/503. Warszawa, MYŚL, 1989.

Zestawienia opracowano na podstawie zbiorów *Kultury* oraz prac Józefa Gajewskiego, Józefy Kamińskiej, Witolda Pileckiego.

„BIBLIOTEKA KULTURY” W WYDAWNICTWACH OFICJALNYCH

- BRANDYS Kazimierz: *Nierzeczywistość* (1978). Chotomów, VERBA, 1989.
- KISIELEWSKI Stefan: *Podróż w czasie* (1982). Warszawa, ISKRY, 1989.
- MADEJ Bogdan: *Maść na szczury* (1977). Warszawa, CZYTELNIK, 1989.
- [wyd. 2].
- MIŁOSZ Czesław: *Świadectwo poezji* (1983). Warszawa, CZYTELNIK, 1987.
- : *Metafizyczna pauza*. Kraków, ZNAK, 1989.
- : *Poezje*. Warszawa, CZYTELNIK, 1988. — [wyd. 3].
- : *Wiersze. T. 1-2.* Kraków, WYDAWNICTWO LITERACKIE, 1984; 1987.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

4.9.89.

W związku z przejściem Tadeusza Mazowieckiego do pracy w rządzie i Andrzeja Wielowieyskiego do Senatu prezydium Klubu Inteligencji Katolickiej ukształtowało się następująco: prezes — Andrzej Stelmachowski, wiceprezesa — Dorota Cywińska, Stanisława Grabska, Krzysztof Łoskot, Andrzej Wielowieyski. Sekretarzem został Stanisław Latek.

14.9.89.

Generał Pożoga, wiceminister Spraw Wewnętrznych PRL, został mianowany ambasadorem PRL w Bułgarii.

17.9.89.

Generał Kiszczak podał dane dotyczące mniejszości narodowych w Polsce: Ukraińców jest 200 tys., Białorusinów 180 tys., Czechów i Słowaków 30 tys., Żydów 15 tys., Litwinów 7,5 tys. i Niemców 2,5 tys. Są też nieliczne grupy Rosjan, Hiszpanów, Bułgarów, Greków, Wietnamczyków, Tatarów i Palestyńczyków. ■ Papież mianował biskupem pomocniczym diecezji siedleckiej ks. Alojzego Orszulika SAC, zastępcę sekretarza Episkopatu Polski, i powierzył mu tytułarną siedzibę w Vissalsa.

24.9.89.

Tygodnik warszawski *Przegląd Tygodniowy* rozpoczął druk reportażu Aleksandra Janta-Pończyńskiego pt. „Wracam z Polski”, napisanego w 1948 roku. We wprowadzeniu redakcyjnym jest cały szereg nieścisłości. Abstrahując od tego, że Redakcja nie podaje, że „Wracam z Polski” było drukowane w *Kulturze*, to pisze, że „wydano w Paryżu książkę 'Wracam z Polski' — plon jego pobytu, wycofaną z księgarń, co było w historii emigracji polskiej bez precedensu”. Sprawa wyglądała w ten sposób, że fragment reportażu ukazał się w numerze 12 *Kultury* z 1948 r. Generał Anders zakazał sprzedawania tego numeru w księgarniach w Londynie, co zresztą było tylko częściowo uwzględnione. Dla uniknięcia konfliktu z gen. Andersem przerwano druk tego reportażu w *Kulturze*, natomiast wydano go w formie książkowej pt. „Wracam z Polski 1948 (Warszawa-Wrocław-Kraków-Poznań-Szczecin. Życie — Polityka — Gospodarka — Sztuka — Ludzie i Zagadnienia)”. Książka ukazała się w 1949 r., liczy str. 151 i nie spotkała się już z żadnymi represjami.

1.10.89.

Krajowa Agencja Wydawnicza podjęła się przygotowania edycji spuścizny pisarskiej i epistolograficznej Józefa Piłsudskiego. W ramach tego przedsięwzięcia ukaże się reprint 10 tomów „Pism zbiorowych”, jedyne wydania z lat 1937-1938. KAW zamierza wydać także dla pełnego przedstawienia dorobku w dodatkowych 3 tomach pozostałą korespondencję Piłsudskiego, która nie została pomieszczona w „Pismach zbiorowych”. Na pierwsze dwa tomy złożą się listy opracowane i opublikowane w *Niepodległości* przed rokiem 1939 przez Leona Wasilewskiego, a także po wojnie w *Niepodległości* i *Zeszytach historycznych* przez Władysława Poboga-Malinowskiego, Kazimierza Świtalskiego i Wacława Jędrzejewicza. Tom trzeci stanowić będzie nigdy dotąd nie opublikowana spuścizna Piłsudskiego, opracowana

przez Andrzeja Garlickiego i Ryszarda Świątkę, przechowywana m.in. w Instytucie im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Nad całością edycji dzieł Marszałka roztoczył opiekę merytoryczną prof. Andrzej Garlicki. Przy przygotowaniach obecnego wydawnictwa pozyskało do współpracy profesorów H. Wereszyckiego i W. Jędrzejewicza. ■ Po ośmioletnim okresie przymusowego zawieszenia dwumiesięcznik *Teksty* zostanie wznowiony od 1990 r. *Teksty* były pismem Instytutu Badań Literackich PAN, wydawanym przez Ossolineum. ■ Waldemar Kuczyński, ekonomista i publicysta, który od czasu stanu wojennego mieszkał we Francji, objął stanowisko podsekretarza stanu w Urzędzie Rady Ministrów. Został również szefem zespołu ekspertów przy Premierze. Tadeusz Olechowski, b. minister Spraw Zagranicznych, został doradcą Premiera do spraw polityki zagranicznej. Andrzej Drawicz, znany znawca literatury współczesnej Rosji, został przewodniczącym Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Prof. Jerzy Regulski (senator, OKP) został pełnomocnikiem rządu do spraw reformy samorządu terytorialnego.

4.10.89.

Zmarł w wieku 76 lat Edmund Osmańczyk, znawca stosunków polsko-niemieckich, autor encyklopedii ONZ, a ostatnio senator z ramienia „Solidarności”.

5.10.89.

W Warszawie powstał Krajowy Komitet Doradczy paryskiego Stowarzyszenia „Kontakt”. Przedstawicielem „Kontaktu” w kraju został Kazimierz Dobrowolski. ■ W Warszawie bawiła delegacja dyrektorów międzynarodowej radiofonii amerykańskiej oraz Radia Free Europe i Liberty w sprawie założenia biura Radia w Warszawie. Inicjatywa ta spotkała się z życzliwym przyjęciem władz i zapewne za kilka tygodni biuro zacznie funkcjonować.

ZACHÓD — EMIGRACJA

20.09.89.

W Uniwersytecie Nancy II odbyło się — zorganizowane przez wydział polonistyki — międzynarodowe kolokwium nt. „Vers un paradigme de l'Europe Centrale: attitudes religieuses et comportements sociaux”. Wzięli w nim udział m.in. Karel Bartošek, Daniel Beauvois, Ewa Biełkowska, Eugène Faucher, Lars Kleberg, Antonin Liehm, Patrick Michel. Zainteresowanie obradami wyraziło m.in. dwóch ministrów francuskich, André Rossinot, były minister rządu Chiraca, który podejmował zebranych na ratuszu jako mer miasta, i Jacques Chérèque, aktualny minister planowania przestrzeni, który z własnej inicjatywy uczestniczył pierwszego dnia w zakończeniu obrad, przedstawiając m.in. zasady, jakimi kieruje się rząd francuski w pomocy dla Polski.

26.9.89.

Miesięczny magazyn polityczny *Pogląd*, ukazujący się w Berlinie, został wznowiony po dziewięciu miesiącach przerwy. Przestał być pismem emigracyjnym, jest drukowany w kraju, chwilowo w drugim obiegu z nadzieją, że będzie się ukazywał oficjalnie. W ślady *Poglądu* mają pójść i inne pisma emigracyjne.

1.10.89

W ciągu października br. w Centre du Dialogue w Paryżu odbyły się następujące imprezy: odczyt Leopolda Ungera na temat „Finlandia nad Wisłą”, wieczór aktorski Zbigniewa Zapasiewicza oraz 29.10. br. tradycyjne Zaduszki w Montmorency. ■ W telewizji szwedzkiej ukazał się reportaż na temat zatrucia przyrody. M.in. podano, że w Polsce jest największa śmiertelność niemowląt na świecie. Rząd szwedzki wyasygnował 300 mln koron na zaopatrzenie Polski w technologię, pozwalającą oczyszczać wodę i atmosferę na Śląsku i w Krakowie. ■ Na dorocznym Salonie Artystów Francuskich w Grand Palais rozdano przyznane nagrody. W klasie malarstwa jury przyznało złoty medal polskiemu malarzowi Tadeuszowi Michalukowi za obraz pt. „Wieża Eiffla”. W ramach tegorocznego Salonu odbywał się zamknięty konkurs tematyczny z okazji 100-nej rocznicy Wieży Eiffla z udziałem 63 zaproszonych artystów, w tym 48 laureatów poprzednich złotych medali. Michaluk, mieszkający w Paryżu od 1985 roku, wziął udział w konkursie *niezaproszony*. ■ Papież mianował księdza prałata Janusza Bolonka nuncjuszem na Wybrzeżu Kości Słoniowej, podnosząc go jednocześnie do godności arcybiskupiej.

3.10.89.

Zmarł w Warszawie w wieku 75 lat Witold Rowicki, wybitny dyrygent, pedagog i organizator życia muzycznego.

25.10.89.

Centre d'Etudes de la Culture Polonaise przy Uniwersytecie Charles de Gaulle w Lille zorganizowało międzynarodowe kolokwium poświęcone zagadnieniu „Robotnicy polscy we Francji po drugiej wojnie światowej”. Sądząc ze zgłoszonych referatów, zaskakująca jest ilość znawców tego zagadnienia w kraju. Uderza natomiast brak nazwiska Michała Kwiatkowskiego, redaktora *Narodowca*, który w tej sprawie miałby najwięcej do powiedzenia, czy też Edwarda Kozika z Roubaix, wybitnego działacza Polonii francuskiej a jednocześnie pisarza.

27.10.89.

Tegoroczną nagrodę Fundacji im. Roberta Boscha (RFN) za polskie przekłady literatury niemieckiej otrzymał Jacek St. Buras z Warszawy.

Z ostatniej chwili

Panta rei

Po długich poszukiwaniach wschodnioeuropejscy komuniści znaleźli znakomity sposób na przetrwanie. Pozornie dali się rozłożyć, ale po to, aby zaraz się podnieść tylko że już w innej skórze i udając utratę pamięci. O przeszłości nie chcą słyszeć, teraźniejszość przyjmują bez złudzeń, a przyszłość traktują jak jedną z ziem obiecanych, z nadzieją, że należeć będzie ona do nich, tym razem jednak już bez programów i bez zapowiadających ją manifestów. Utożsamili się stopniowo ze swoim drugim wcieleniem, przyjmując jego sposób bycia, strój, a nawet imię. Komuniści jest mistrzem w sztuce dostosowywania się i od dziś nazywać się będzie socjaldemokratą. Zgodzi się na ustrój parlamentarny, będzie łaskawie pertraktował z przeciwnikami, pozbędzie się nawet chętnie władzy, jeśli zdarzenia go do tego zmuszą i weźmie czynny udział w procesie wychodzenia z komunizmu, byle tylko uniknąć procesów i pozostać na powierzchni. Stało się tak kilka dni temu w Budapeszcie i prawdopodobnie Polacy bardzo szybko pójdą śladem przerobionej bratniej partii.

Z rąk partii władza przeszła w ręce Solidarności i Kościoła — powiedział mi w Warszawie Jerzy Urban, szara eminencja Jaruzelskiego w okresie stanu wojennego. — To dobrze, bo wreszcie siły polityczne kraju dojrzały do radykalnych zmian. Jeśli wszystko pójdzie gładko, to partia mogłaby, począwszy od przyszłego zjazdu w styczniu lub w lutym, nazywać się socjaldemokratyczną.

Odnowiony komuniści nie zna wyrzutów sumienia. Jakby był z celulozoidu i jakby nigdy nie miał ani rodziców, ani dziadków,

ani biografii. Jest mutantem i obserwuje zniszczony przez siebie kraj okiem bezlitosnym i trzeźwym. Brzydzi go ponad wszystko klasa robotnicza, której obiecywał raj, a którą wysłał do piekła. Przymiotnik „robotniczy” wywołuje u niego rodzaj wysypki. Węgry już wyrzucili go ze swego słownika i duża część ich polskich towarzyszy chciałaby zrobić to samo. Niech zdycha robotnik! Niech puka do drzwi Mazowieckiego i Solidarności. Komunista ma ważniejsze sprawy. Musi stać się doskonałym kapitalistą, musi wyrobić sobie nową klientelę i przygotować się do odzyskania władzy.

— To, co mamy dziś w rękach, nie jest władzą — mówi Urban. — Jeśli niektórzy komuniści są w rządzie Mazowieckiego, to jest to sprawa czysto indywidualna. Partia, jako taka, nie bierze w tym udziału, jest w opozycji, będzie bić się o reformy gospodarcze i atakować tych wszystkich, którzy je hamują, a których jest niemało i w rządzie. Będzie bronić klas wstępujących, a nie robotników z upadających zakładów, ani populistów, którym marzą się społeczeństwa oparte na równości. Z kąta, w którym znaleźli się z własnego wyboru, komuniści przyglądają się straszliwemu polskiemu widowisku i nie tracą zimnej krwi, kiedy słyszą wołania o pomstę. Teoretycznie powinni się czuć podwójnie odpowiedzialni: po pierwsze jako sprawcy katastrofy, a po drugie jako sprawcy nielegalni, jako że żaden wolny elektorat nie powołał ich do rządzenia narodem. Ale co ich obchodzi naród, co ich obchodzą ludzie cierpiący dziś z ich winy. Z taką Polską komuniści nie mają nic wspólnego. Ta Polska jest dla nich odrażająca, ale na szczęście dotychczasowa historia się skończyła, a na horyzoncie pojawia się epoka całkowicie nowa. Czyż nawet Zachód nie mówi, że dobiegamy do kresu historii i że wreszcie kapitalizm zatriumfował? Nieporuszeni, komuniści polscy przywłaszczają sobie tę wygodną teorię, mając nadzieję że się uratują dzięki kosmicznemu kapitalizmowi, który wszystkich zbrata i odpuści stare grzechy. Najbardziej zapalonymi krytykami gospodarki socjalistycznej są dziś oni. — Jesteśmy nowocześni, laicy i pragmatyczni. Patrzmy prosto w dwudziesty pierwszy wiek i przeobrażamy się podobnie jak przeobraża się włoska partia komunistyczna — mówi Jerzy Urban. — Nie jesteśmy antykapitalistami, jak Kościół katolicki, który chce Polskę sparaliżować, który tkwi wciąż w dziewiętnastym wieku, który trzyma kraj w swoich zaściankowych ogródkach, przywiązując go do rodziny i do skromnego mienia.

Słuchając go, przypominałam sobie Polskę jaką pozostawili w spadku komuniści: Polskę sparaliżowaną, ale przecież przez partię, która swego czasu ogłaszała się też jako laicka i nowoczesna. Śniegi w Polsce wprawdzie stopniały, lecz pozostało lepkie

błoto, nie do przebrnięcia. Jak powiedział członek opozycji węgierskiej, w związku ze zmianą szczytu tamtejszej partii — kaci uciekają, ale zostają szczury, pasożytujące na zalegalizowanym chaosie. Tak, śniegi stopniały, ale Polska którą odnajduję w dzień po demokratycznym trzęsieniu ziemi, nie jest w pełni Europą. Komuniści Polskę zniszczyli, skorumpowali, zsovietyzowali i taką właśnie, doprowadzoną do ostatecznej ruiny, przekazali cynicznie Mazowieckiemu. Partia zesła wprawdzie w cień, ale system przez nią zbudowany nadal panuje. I nie jest to tylko system ideologiczny. Jest to rodzaj rozgałęzionej mafii, broniącej swoich interesów, chroniącej swoich ludzi i dążącej do zachowania swoich obyczajów. Komunizm dogorywa, mówią optymiści i kłamcy, zarówno w Warszawie jak i poza Warszawą.

— Nie rozumiem, dlaczego wszyscy wciąż powtarzają, że komunizm umarł — mówi mi Jan Józef Lipski. — Kto ma w ręku wojsko, policję, nomenklaturę i urząd prezydenta PRL-u, nie jest nieboszczykiem. Tak mi się wydaje.

Ale nie wydaje się tak wszystkim. Spora część dawnej opozycji woli obchodzić się z nomenklaturą łagodnie.

— Jesteśmy ludźmi innego gatunku. Naród musi zrozumieć, że zmiana polega przede wszystkim na wprowadzeniu nowego stylu i dlatego unikać będziemy polowań na czarownice — oświadcza mi nowy dyrektor telewizji, dawny dysydent, Andrzej Drawicz. Ale jak dotąd w telewizji niewiele się zmieniło. Dwóch czy trzech dziennikarzy, szczególnie skompromitowanych, przeniosło się do innych biur, reszta pozostała.

— Biurokracja komunistyczna będzie idealna, bo jest przyzwyczajona do usługiwania każdemu kto sprawuje władzę — zapewnia mnie Ernest Skalski, redaktor dziennika *Gazeta Wyborcza*, zupełnie jakby chodziło o administrację francuską po zmianie rządu. Ten sam Skalski mówił jeszcze rok temu, że niepodobna zreformować systemu bez likwidacji nomenklatury.

Dziś jest inaczej. Zawarty został pakt o nieagresji z partią. Przepadają dawne analizy o niemożności reformowania systemów zsovietyzowanych. Kwitną tezy, do niedawna potępiane, głoszące że przekształcenie totalitaryzmu w demokrację jest kwestią ludzi i gospodarki, a nie mentalności czy odporności systemu zgnitego od podstaw i od prapoczątków. Dokonuje się bezpodstawnych porównań z Hiszpanią Juan Carlosa, która nigdy w przeszłości nie zlikwidowała wolnego rynku, bądź z równie kapitalistyczną Finlandią.

Czy biurokracja komunistyczna skłonna jest rzeczywiście usługiwać każdemu, kto sprawuje władzę, wydaje się co najmniej wątpliwe. Wysoki urzędnik rządowy, który prosi, żeby nie wymieniać jego nazwiska przyznaje: „Tylko drobna mniejszość tu w ministerstwie współpracuje prawdziwie z Solidarnością.

Reszta bojkotuje, gdzie się da. Sam czuję się czasem więźniem w moim własnym biurze. Znaczna część urzędników z mojego ministerstwa (około 250) przeszła już do biur Jaruzelskiego". Prezydent, który głosi że jest ponad podziałami, organizuje drugą, równoległą administrację, dobrze opłacaną, przyrzekając stałe posady i zabezpieczenie bytu.

Kto wie, czym jest dzisiejsza Polska. Może stała się dzielnicą Bałkanów, kawałkiem Jugosławii. Najprawdopodobniej pozostaje peryferią sowiecką ze specjalnym zezwoleniem na robienie kapitalistycznych interesów, a nawet na wyjście z klasycznego komunizmu, polegające na zmianie nazwy na zachowaniem nawyków. Dlatego pewnie zachodnie zachwyty na temat tutejszych przeobrażeń są w Polsce rzadko podzielane. Panuje tu raczej rodzaj oczekiwania połączonego z dziwną nadzieją na zmianę. Dziwną, bo zmieszaną z obawami. Z obawą utraty przywilejów, z obawą że stanie się pewnego dnia wobec solidnej, prawdziwej pracy, nawet choćby w zamian za godziwe wynagrodzenie, z obawą przed inicjatywą połączoną z ryzykiem, przed samodzielnością, przed końcem dewizowych spekulacji, z obawą że złoty, zgodnie z programem Mazowieckiego, stanie się wymienny i że zniknie upojenie dolarowym narkotykiem.

Po co teraz pracować, skoro wystarczy pojechać na miesiąc na Zachód i zarobić tyle dolarów, że pozwolą one na rok spokojnego życia?

Prawdą jest że Polacy przestali być narodem — mówi mi Stefan Kisielewski. — Polska to dwa narody, które współżyją na wspólnym terytorium, nie mając sobie nawzajem nic do powiedzenia. Pierwszy żyje z dolarów, jest bogaty i kpi ze wszystkiego, pewny swoich powodzeń. Drugi żyje ze złotych i, pomijając dość dobrze zarabiających górników, tkwi w nędzy. Połączyć te dwie Polski jest przedsięwzięciem tytanicznym, bo więcej niż jedna trzecia kraju jest skorumpowana dolarami i, nawet jeśli tego nie powie, opierać się będzie reformom.

W ten sposób większość pogrążona jest w fatalistycznym oczekiwaniu, błakając się wśród ruin ideologii. Ludność czeka na to, co zrobi Solidarność, Solidarność czeka na mannę z Zachodu, a partia, przyczajona w cieniu i chroniona przez Jaruzelskiego, czeka na chwilę, w której będzie się mogła odegrać, chwilę, która być może nigdy nie nadejdzie, a może nadejdzie, nie wiadomo. Komuniści mają zresztą pełne ręce roboty: są zajadłymi oskarżycielami ideologii, wyłaniają ze swoich szeregów wielu przedstawicieli nowej prywatnej inicjatywy i zapamiętałe wypierają się swych dawnych przekonań. Komunizm? — Doświadczenie historyczne, o którym mówić nie ma już sensu — odpowia mi Jerzy Urban. Komunizm przestał być modny. Partia w swojej dotychczasowej formie jest *out-of-date* — komentuje

inny komunista-reformator, Miller. A więc wszystko jest grą, a życie niczym innym niż następującymi po sobie modami. Tylko procesu nie będzie i wszelkie sądenie jest zakazane. *Panta rei* powiedział kiedyś Gorbaczow w wywiadzie udzielonym niemieckiemu pismu *Der Spiegel*. Skoro wszystko płynie, bezustannie się przekształcając, to przekształcają się, dzięki Heraklitowi, i komuniści. Zaczęli od pozbycia się odpowiedzialności, zrzucając ją na barki Mazowieckiego i Solidarności i licząc, że padną pod brzemieniem w pół drogi.

Barbara SPINELLI

Warszawa, październik 1989

(Przekład z włoskiego Marii i Bohdana PACZOWSKICH.)

BARBARA SPINELLI jest jedną z najwybitniejszych dziennikarek włoskich. Po okresie współpracy z *La Repubblica* i z *Corriere della Sera*, od paru lat jest ona autorką esejów i komentarzy politycznych publikowanych w gazecie *La Stampa* oraz jej wysłannikiem w Paryżu.

We wrześniu tego roku otrzymała nagrodę Capri za cykl artykułów dotyczących sprawy Jennera w Niemieckiej Republice Federalnej.

Jest ona córką zmarłego przed kilkoma laty znanego włoskiego męża stanu Altiero Spinelli, jednego z współtwórców Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i członka Parlamentu Europejskiego.

NOWOŚĆ BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 453 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ
1984 - 1988

Str. 394

Cena F. 170,00

Polemiki

Nie grać z szulerem *

Z rosnącym zaciekawieniem czytałem artykuł Pana Jana Nowaka „Czy warto grać z szulerem”, będący odpowiedzią na mój tekst, w którym zdecydowanie podkreślałem, że takiej gry podejmować nie należy. Wydawało mi się, że mój artykuł jasno przedstawiał powód, dla którego uznałem za konieczne polemizować z poglądami p. Nowaka, wyrażonymi w Jego artykule „Drogi do wolności”.

Jak powszechnie wiadomo, p. Nowak jest zwolennikiem tzw. linii Lecha Wałęsy, tj. dialogu i porozumienia z komunistami. Jego zdaniem tą drogą kiedyś, w dalekiej przyszłości, dojdziemy do niepodległości. Oczywiście p. Nowak ma prawo do takich poglądów i nie budzi to mojego sprzeciwu. Zaprotestowałem, ponieważ p. Nowak uznał inne działania na rzecz niepodległości za szkodliwe. Oskarżył zwolenników odmiennego niż On poglądu o chęć i brak rozsądku, a także tani werbalizm. Co gorsza uznał, iż przeciwnicy rozmów z komunistami są nieodpowiedzialnymi szaleńcami, którzy chcą „grać w ruletkę losami narodu”.

Taki był zasadniczy powód mojej polemiki, czego p. Nowak jakby nie dostrzegł, spierając się ze mną w sprawach drugorzędnych. Aby nie było wątpliwości, oświadczam, że nie jestem przeciwnikiem rokowań z wrogiem. Jestem natomiast przeciwnikiem dialogu z komunistami.

Rokowania podejmuje się z wrogiem, aby zyskać na czasie, w obliczu rozgrywki, do której nie mamy dość sił. Jest to więc sytuacja przymusowa. Nie rokuje się z wrogiem, kiedy on się cofa i idzie w rozsypkę. Twierdzę, że w obecnej sytuacji rokowania nie są naszej stronie potrzebne. Są one natomiast potrzebne komunistom. Dają im czas na wytchnienie i pozwalają skupić siły przed następnym

* Odpowiedź na artykuł Jana Nowaka, zamieszczony w nr 6/501 Kultury.

starciem ze społeczeństwem. Dlatego byłem i jestem przeciwny rozmowom przy „okrągłym stole”.

Dialog jest jednak czymś innym, niż rokowania. (Wątpię, by Clausewitz zalecał — jak twierdzi p. Nowak — „dialog z wrogiem”.) Mam prawo sądzić, że p. Nowak wie, co to słowo oznacza, jednak dla uniknięcia nieporozumień przypomnę: „DIALOG (*dialegein* rozmawiać); rozmowa mająca na celu wzajemne konfrontacje i zrozumienie poglądów, a także współdziałanie w zakresie wspólnego poszukiwania prawdy, obrony wartości ogólnoludzkich i współpracy dla sprawiedliwości społecznej i pokoju” (*Encyklopedia Katolicka*. T. III, Lublin 1987 r.)

Czym innym są rokowania z wrogiem, a czym innym dialog „jak Polak z Polakiem”. W rezultacie takiego „dialogu” z komunistami, „wspólnego poszukiwania prawdy”, ludzie uważani za przedstawicieli społeczeństwa *de facto* przechodzą na stronę przeciwną, do obozu władzy komunistycznej. Podtrzymuję to, co pisałem w swoim artykule: Piłsudskiemu nie przychodziło do głowy, by rozmawiać z bolszewikami „jak Polak z Polakiem”. Marchlewski i Dzierżyński byli, podobnie jak Jaruzelski i Kiszczak, polskiego pochodzenia. A mimo to Marszałkowi nie przychodziło do głowy, by w zamian za wstrzymanie pochodu armii sowieckiej na Polskę proponować Marchlewskiemu urząd prezydenta, a Dzierżyńskiemu kierowanie ministerstwem spraw wewnętrznych.

Można toczyć spory o przyczyny obecnych zmian w Polsce, jestem jednak przekonany, że to powszechny opór społeczny, a nie żebanina o porozumienia, zmusiły komunistów do ustępstw. Wielka szkoda, że nie dostrzegają tego zwolennicy „dialogowania”, przekonani, iż to ich nadzwyczajny spryt i przebiegłość doprowadziły PZPR do „okrągłego stołu”. Co gorsza, obóz ugody pozwala władzy na zachowanie instrumentów rządzenia, gwarantujących jej przejście do ataku w sprzyjającym momencie. Pamiętajmy, iż w rządzie Mazowieckiego resorty obrony, spraw wewnętrznych, komunikacji, łączności i handlu zagranicznego pozostają w rękach PZPR. Są to resorty gwarantujące skuteczność przy ewentualnym wprowadzeniu stanu wyjątkowego. A nikt zdrowo myślący nie wątpi, że komuniści nie zrezygnowali z rządzenia Polską i nie myślą kapitulować. Im bardziej obóz ugody pomoże PZPR w opanowaniu trudnej sytuacji gospodarczej i społecznej, tym pewniej będziemy mogli oczekiwać kresu obecnych „reform” i powrotu totalitaryzmu. Czechy po 1945 roku miały niekomunistycznego prezydenta, a Węgry niekomunistycznego premiera — niekomunistyczny premier PRL nie jest więc wcale czymś wyjątkowym w dziejach państw komunistycznych. Komuniści czescy i węgierscy mieli wówczas w swych rękach *tylko* aparat represji. I to im w zupełności wystarczyło do wprowadzenia systemu totalitarnych rządów.

Demokracja, to wolność zaczynająca się od drugiego człowieka. Chodzi o to, by nasze dążenie do wolności nie prowadziło w obszary niewoli. Aby nie było tak, jak w powiedzeniu: ogłosi się liberalizm, a kto nie będzie liberałem, to się go rozstrzela.

Urodziłem się w 1945 r. Cały czas byłem przekonywany przez komunistów, że Polska ma jedną „słuszną” drogę do wolności i dostatku. Tą „słuszną” drogą doszliśmy do ruiny gospodarczej i dewastacji życia politycznego. Dlatego właśnie Polacy sprzeciwiając się komunistom idą do niepodległości różnymi drogami. Tak samo jak różnymi drogami szli do Niepodległej przed 1918 rokiem. Jan Nowak chce nas przekonać, że mamy obowiązek poruszania się znowu po jednej, „słusznej”, drodze; drodze „dialogu” z Jaruzelskim i Kiszczakiem. Radio „Wolna Europa” nadało tekst p. Nowaka, potępiający nurt niepodległościowy. RWE odmówiło ogłoszenia dokumentów (w tym wezwania do bojkotu wyborów) i Konferencji Działaczy i Organizacji Niepodległościowych z maja 1989 r. Jedyna i „słuszną” linia święci więc tryumfy w RWE. Jestem pewien, że nie taka jest nasza „droga do wolności”!

Jan Nowak zatytułował swój artykuł: „Czy warto grać z szulerem?”, opatrując go wymownie znakiem zapytania. Odpowiadam więc raz jeszcze: nie, nie warto, a wręcz nie wolno!

Romuald SZEREMIETIEW

W Lesznie, dnia 9 września 1989 roku.

1. Litwini, Łotysze, Estończycy, Gruzini, Azerbejdżanie i inne narody ZSSR głośno domagają się niepodległości. Jest to postawa, która w przypadku Polski, zdaniem p. Nowaka, „prowadzi do werbalizmu, powtarzania w kółko niepodległościowych haseł”. Zwolennicy poglądów p. Nowaka nie uprawiają takiego „werbalizmu”. Wałęsa, na którego patrzy cały świat, nie potrafi publicznie wydusić z siebie żądania niepodległości dla Polski.

Listy do Redakcji

BEZKARNE GANGSTERSTWO

Dyrektor wydawnictwa „Alfa”, p. Jerzy Wysokiński, pozwolił sobie na zamieszczenie w wydanej miesiąc temu antologii pt. „My deportowani” kilku rozdziałów z książki Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi” i książki Gustawa Herling-Grudzińskiego „Inny świat” — nie tylko bez ich zgody, ale wbrew ich wyraźnej odmowie.

Pan Wysokiński — z którym mamy również smutne doświadczenia — uprzedzając jak gdyby ogłoszenie w prasie oburzonego listu Józefa Czapskiego, wysłał do *Gazety Wyborczej* i innych pism swoje „wyjaśnienie”.

Z naszej strony na prośbę autorów zamiast wyjaśnień zamieszczamy treść drugiego listu Józefa Czapskiego do p. Wysokińskiego oraz krótkie oświadczenie Gustawa Herling-Grudzińskiego, pisane jeszcze przed otrzymaniem egzemplarza „autorskiego?”. Wyobrażamy sobie, jak się ucieszy, stwierdzając, że z opublikowanych jakoby rozdziałów jego książki pozostała właściwie sieczka. Wydawca bowiem zamieszczał tylko to, co mu się podobało, ozdabiając tekst kropkami (...) często po dwa razy na jednej stronie. Dotyczy to zresztą tekstu wszystkich autorów, zamieszczonych w antologii. Ponieważ jest wątpliwe, aby któryś z żyjących autorów (trzeba przyznać, że większość nie żyje) zgodził się na takie obchodzenie się z jego tekstem — wydawca po prostu o zgodę nie pytał.

Jak dowiedzieliśmy się, ustawodawstwo PRL-u nie przewiduje obrony praw wydawcy, ale broni praw autorów. Autorzy więc zamierzają domagać się zadośćuczynienia.

REDAKCJA

11 września 1989

Mr. Jerzy Wysokiński
Dyrektor i Redaktor Naczelny
Wydawnictwa „Alfa”
Warszawa

Szanowny Panie,

Dzisiaj otrzymałem Pana list z 25 sierpnia br. (znak: DW/328). Jestem naprawdę oburzony. Na jakiej podstawie Pan pisze, że ma Pan prawo „samodzielnie dokonywać wyboru rozmaitych tekstów” i że to w niczym nie narusza „panujących obyczajów ani też niezbywalnych praw autorów do ich tekstów”? Bardzo jestem ciekaw, gdzie panują takie obyczaje — przypuszczam, że wyłącznie w Pana wydawnictwie.

Ponieważ nie jest to pierwsza historia, więc jak otrzymałem Pana poprzedni list z poprawioną o miesiąc datą, to od razu domyśliłem się, że jest to zrobione w celu bezprawnego wykorzystania moich tekstów. Pana obowiązkiem było czekać na moją odpowiedź, a w najgorszym razie zatelefonować. Rozumiem, że liczy Pan na to, że nikt Panu nie wytoczy sprawy, bo nie jest to proste rzeczywiście, prowadzenie sprawy w Polsce, jak się mieszka w Paryżu. Tym niemniej zapewniam Pana, że ta sprawa zostanie opublikowana i tekst rozestany do wszystkich zainteresowanych osób i instytucji.

Cały Pana list jest w zasadzie zupełnie zbędny. Nie mówiąc o tym, że jest pisany przedziwną polszczyzną. W pierwszych liniach pisze Pan, że dziękuje za list stanowiący odpowiedź na zawiadomienie o zamiarze włączenia fragmentu mojej książki do Pana antologii, aby potem napisać, że książka dawno już wydrukowana i że niczego nie można zmienić! To wszystko zakrawa na kpiny. Widocznie uprawiane przez Pana gangsterstwo wydawnicze wymaga ubierania go w „literaturę”.

Józef CZAPSKI

Maisons-Laffitte, 1 października 1989

OŚWIADCZENIE

Na początku września zatelefonował do mnie do Neapolu dyrektor wydawnictwa *Alfa*. Wystąpił do mnie jakoby już dwa listy, dziwił go brak odpowiedzi. Ani jednego z tych dwóch listów nie otrzymałem. O co w nich chodziło? Wydawnictwo *Alfa* przygotowało antologię *My deportowani* i włączyło do niej rozdział z mojego *Innego świata*. A ponieważ antologia „musi wyjść” 17 września, czy byłbym łaskaw dać teraz ustną zgodę? Odmówiłem kategorycznie. Dyrektor powiedział „no to trudno” i odłożył słuchawkę bez pożegnania. Co oznaczały słowa „no to trudno”? Mogły i powinny były oznaczać wycofanie rozdziałów mojej książki z antologii. Oznaczały, jak dowodzi wydana właśnie antologia, zignorowanie woli autora.

Inny świat ma się ukazać lada dzień w *Czytelniku*. Zanim, jak oczekuję, dyrektor *Czytelnika* stanie w obronie moich praw autorskich i swoich praw wydawniczych, chcę nazwać po imieniu postępowanie *Alfy*: uważam je, delikatnie mówiąc, za formę korsarstwa.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Thônex, 21.8.1989.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Mam głęboką nadzieję, że p. Czesław Miłosz żartował, pisząc w *Kulturze* 7/502-8/503, str. 21: „Otóż w 1945 roku nie było żadnych danych, które by mogły uzasadnić emigrację jako akt polityczny, chyba, że ktoś nie chciał rozumować trzeźwo”.

Rozumiiałbym, gdyby autor artykułu „Ksawery, Jane i inni” miał na myśli względy uczuciowe, które wielu nie pozwalały w 1945 decydować się na pozostanie na Zachodzie, ale zaprzeczanie istnieniu względów politycznych uzasadniających taki krok wydaje mi się co najmniej dziwne. Po

Katyniu, doświadczeniach Powstania Warszawskiego, po tym co działo się w Polsce i wokół spraw polskich w roku 1944 — oszczędź Panu Redaktorowi dalszego wyliczania faktów ogólnie znanych przed 1945 rokiem — które dla wielu ludzi, a wśród nich zapewne i dla Pana Redaktora, były dostatecznym uzasadnieniem emigracji jako aktu politycznego.

Więc chyba powyższa opinia p. Miłosza to jednak żart i dałem się nabrać jak „biedna Zofia Romanowicz w swoim wspomnieniu z 1951” (tamże str. 22).

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Jan VENULET

Czesław Miłosz odpowiada:

Akt moralny nie jest tożsamy z aktem politycznym. Zostanie w 1945 roku na emigracji było całkowicie uzasadnione jako akt moralny. Śmiem natomiast powątpiewać, czy otwierało się wtedy pole dla działalności polityków, trzeźwej, a więc nie opartej na złudnych rachubach. Toteż starając się odtworzyć stan umysłu Ksawerego Pruszyńskiego w owym okresie, powinienem był dodać, że nie wierzył w trzecią wojnę światową, która zdawała się być głównym, jeżeli nie jedynym, argumentem jego otoczenia. Przy jego ogromnych (cokolwiek o nich sądzimy) politycznych ambicjach, nie myślę, żeby mógł znaleźć dla siebie miejsce w ówczesnym emigracyjnym układzie. Wolę raczej uznać, że jego powrót do Polski był i logiczny i nieuniknienie prowadził do jego klęski, co przecie jest istotą wszelkiej tragedii.

Czesław MIŁOŻ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J.L., Kraków. — Książka „Na lewo jest Wschód” jest chaotyczna i mało ciekawa. Nie przyjmujemy do druku.

W.K., Warszawa. — Pana książki „Nikt inny tylko ty” nie przyjmujemy do druku. W naszym przekonananiu nie przedstawia ona żadnej wartości.

J.Z., Bonn (NRF). — Artykułu o stosunkach polsko-niemieckich nie zamieścimy.

M.A.R., Bruksela (Belgia). — Ma Pan zupełną rację, że oskarżanie Polski o antysemityzm szkodzi naszym interesom. Jednak Pana pretensje powinny być kierowane raczej pod adresem prymasa Glempa niż p. Ungera i redakcji *Le Soir*. Artykuł w *Le Soir* nie przeszkodził jednak, że Wspólny Rynek przyszedł ostatnio Polsce z pomocą gospodarczą.

A.L., Bazylea (Szwajcaria). — Pana listu nie zamieścimy, krzywdzi bowiem zarówno Ryszarda Kapuścińskiego jak i autora artykułu.

Krajowe wydanie «Kultury»

Od lipca 1987 r. niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje **KULTURĘ** paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje się z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Krajowe wydanie «Zeszytów Historycznych»

Niezależne wydawnictwo PoMost w Warszawie rozpoczęło reedycję **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH**. Ukazały się już roczniki 1985, 1986, 1987, 1988. W roku 1989 poszczególne numery **ZESZYTÓW** wydawane są w miarę ukazywania się edycji oryginalnej. Cena nr 88 — 2.150 zł; nr 89 — 3.000 zł + ewentualne koszty przesyłki — 250 zł.

KULTURA i **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH** są do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych. Ponadto zamówienia można składać w wydawnictwie TEST: 20-147 Lublin, Aleja Spółdz. Pracy 13.

Konto: II Oddz. PKO Lublin, Rachunek Nr 43-528-96902-136.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1989.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2060-1989

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1989			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B.L. Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073, Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 85,00	DM 160,00
NORWEGIA: Zb. Tyszk, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 135,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 4882346	K.S. 47,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POŁONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 448 — MARIA DANIŁEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA 1981-87

Zawiera pełną bibliografię „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” oraz działalności wydawniczej Instytutu Literackiego w latach 1981-87.

Str. 352.

Cena F. 150,00.

TOM 449 — WITOLD BEREŚ, KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych” ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkiem.

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 451 — KAZIMIERZ BRAUN

POMNIK

Powieść

Str. 112.

Cena F. 65,00.

TOM 453 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ 1984-1988

Str. 394.

Cena F. 170,00.